



Elizabeth White



Wojna i miłość

„Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”.

(Ewangelia wg św. Mateusza: Sąd ostateczny, 25:40)

Rozdział pierwszy

Mobile w stanie Alabama, rok 1862

Camilla Beaumont otworzyła po cichu okno sypialni i wyjrzała na podwórze. Była mroczna kwietniowa noc. Mobile spowijała mgła - gęsta i lepka niczym smoła. Zatokę na skraju miasta oblegały wojska federalne. Oddziały armii Północy od dłuższego czasu warowały na barykadach, wojsko Południa tłoczyło się w opustoszałych składach bawełny w położonym na obrzeżach Camp Beulah. W ten ponury czas żaden cywil o zdrowych zmysłach po zmroku nie wyściubiał nosa z domu.

Ukucnąwszy na parapecie, panna Beaumont postawiła nogę na gzymsie i zaczerpnęła głęboko tchu. Po chwili chwyciła oburącz pnącza glicynii i z wprawą zaczęła się spuszczać wzdłuż ściany.

To istny cud, że nie została schwytana i zesłana do więzienia na wyspę Ship. Początkowo odbywała eskapady w pośpiechu i bez uprzednich przygotowań. Liczyła wyłącznie na własny spryt oraz łut szczęścia. Ostatnio czuwał nad nią tajemniczy opiekun, który uparcie nakazywał jej rozwagę i pomagał skrupulatnie zaplanować każde, najbłahsze nawet przedsięwzięcie.

Chciałaby poznać owego anonimowego protektora, gdy wojna dobiegnie końca, Jankesi odjadą, a w ludziach Południa obudzi się wreszcie sumienie. Żywiła głębokie przekonanie, że jej krajanie przejrzą w końcu na oczy i wyrzekną się hańby niewolnictwa.

Gdy pędziła aleją na tyłach hotelu Battle House, raptem rozległ się płacz niemowlęcia. Zatrzymała się i spojrzała w kierunku domu, z którego dobiegało kwilenie. Oby nie trzeba było przemycać dziś żadnego oseska, modliła się w duchu. Dzieci czyniły jej zadanie stokroć trudniejszym i niebezpieczniejszym.

Ruszyła w dalszą drogę wyludnionymi ulicami. Przemykała od drzewa do drzewa, by jak najmniej rzucać się w oczy. Przed wzrokiem przypadkowych przechodniów chroniły ją rozłożyste dęby, cedry oraz pączkujące magnolie. Od ich intensywnego zapachu zakreśliło ją w nosie. Nie zdołała powstrzymać kichnięcia, które w głębokiej ciszy zabrzmiało prawie jak wystrzał z armaty. Zdjęta strachem, przystanąła. Rozejrzała się, lecz przy tak gęstej mgłę trudno było cokolwiek dojrzeć, nadstawiła zatem ucha. Nie usłyszawszy niczego poza cykaniem świerszczy, podjęła marsz.

Nabrzeże tętniło życiem. W większości okien paliły się światła, a z wnętrzbudynków niosły się rozmaite hałasy. Z naprzeciwka nadchodził patrol złożony z dwóch żołnierzy w szarych mundurach. Od dziewiątej wieczorem niewolników obowiązywała godzina policyjna. Na szczęście stróżów porządku bardziej niż jej przestrzeganie zajmowało podglądanie bezceństw, którym oddawali się bywalcy kasyn i barów.

Camilla skryła się w zaroślach przed biblioteką, po czym wróciła na drogę, próbując imitować chwiejny, męski chód. Widok zapijaczzonego włóczęgi nikogo nie dziwił i nie groziło mu większe niebezpieczeństwo pod warunkiem, że był biały.

Zatrzymała się na rogu ulic Water i Theater. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy nagle poczuła na policzku czyjeś palce. Zakryła dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

- Jużem myślał, że panienska nie przyjdzie - usłyszała tuż nad uchem zrzędlawy szept. - Stercę tu i stercę... - Rozmówca stał tak blisko, że czuła jego kwaśny oddech.

- Cii, Virgil. Chodź, nim ktoś nas zobaczy. - Chwyciła znajomka za chude ramię i pociągnęła go w mrok.

Z daleka nie sposób było ich rozróżnić. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i nosili tak samo podły przyodziewek, który składał się z ciemnej wełnianej czapki, połatanego kubraka, płóciennych spodni w nieokreślonym kolorze oraz ciężkich, podkutych ćwiekami butów.

- Gdzie masz torbę? - Odwróciła staruszka i ściągnęła mu z pleców zgrzebny worek. Potem ujęła w dłonie jego bezmyślną twarz i spojrzała nań z powagą. - Zapomnisz, że mnie dziś widziałeś, tak?

- Tak jest. W ogóle mnie tu nie było.

- Otóż to. - Sięgnęła do kieszeni po monetę i lekko wygniecioną ciagutkę. - Kup sobie coś do jedzenia, a ja sprzedam za ciebie gazety.

- Dobrze, panienko. - Virgil włożył cukierka do ust. - Ale potem odda mi panienska torbę?

- Przecież zawsze oddaję, prawda?

- Prawda - potwierdził i odszedł, nie oglądając się za siebie. Camilla patrzyła za nim z mieszaniną wdzięczności i współczucia. Szalony Virgil zwany także Gazeciarem uchodził za miejscowego głupka, mógł więc chadzać własnymi ścieżkami i robić, co mu się żywnie podoba. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Dzięki temu, gdy przybierała jego tożsamość, stawała się praktycznie niewidzialna.

Zarzuciwszy torbę na ramię, wyszła z powrotem na ulicę i skierowała się na północ, ku miejscu, gdzie rzeki Mobile i Tensaw wpływały do zatoki. Jeszcze do niedawna przystań oblegały okazałe statki, których maszty widać było z daleka. Potem generał Bragg wydał zakaz kotwiczenia w porcie frachtowców z bawełną. Miało to zapobiec rozgrabianiu załadunków przez Jankesów. Od tamtej pory widok parowca w dokach stanowił nie lada rzadkość.

Choć reda zwykle świeciła pustkami, na pomoście powinna być zacumowana co najmniej jedna łódź. Camilla wyteżyła wzrok i niebawem wypatrzyła kadłub

„Księżniczki Magnolii”. Z kajut dobiegały wesołe pokrzykiwania i śmiechy. Ów bodaj jedyny w mieście większy statek należał do objazdowej trupy aktorów, śpiewaków i tancerzy.

Trzymając w pogotowiu gazety na wypadek, gdyby ktoś ją zobaczył, panna Beaumont przebiegła pospiesznie przez trap. Znalazłszy się na pokładzie, chwyciła drabinę. Belki trzeszczały pod jej nogami, a dusząca woń oleju i palonej sosny nie pozwalała swobodnie oddychać. Gdy była mniej więcej w połowie drogi, czyjeś ręce złapały ją w talii i postawiły na ziemię.

- Horace - odetchnęła z ulgą.

- Jestem razem z chłopakiem, panno Camillo, ale musimy się spieszyć. Pociąg odchodzi za niecałe dwie godziny.

- Dziś ma ich być czworo - oznajmiła Camilla, po czym odłożyła torbę i wraz z pomocnikami zabrała się do inspekcji stłoczonych pod ścianą beczek. Po kilku minutach bezowocnych poszukiwań znecierpliwiony Horace nie wytrzymał i kopnął zamasyście jedną z nich.

- Ponoć Porter oznakował nasze literą X, ale tak tu ciemno, że niczego nie widać.

Nie mogli sobie pozwolić na pomyłkę.

Camilla nawet nie chciała myśleć o tym, co by się stało, gdyby wysłali niewłaściwe beczki. Zawahała się, lecz trwało to tylko chwilę.

- Wiem, że kazano wam siedzieć cicho, choćby się waliło i paliło - powiedziała - ale nie mamy zbyt wiele czasu. Musicie dać nam znać, gdzie jesteście.

Przez moment panowała niemal całkowita cisza, zmącona jedynie szumem wody i skrzypieniem pokładowych desek. Potem, z wnętrza baryłki, na której przysiadła Camilla, rozległo się ledwie słyszalne drapanie. Uśmiechnęła się szeroko do Williego i zeskoczyła na podłogę. Gdy w ten sam sposób odnaleźli pozostałe trzy osoby, pomogła mężczyznom wnosić cenny ładunek na górę.

Porter - członek załogi, a zarazem ich cichy wspólnik - spisywał się znakomicie. Trzymał kompanów z dala od tej części statku. Sprzyjała im również aura. Wykonywali swe zadanie w milczeniu i z należyтым skupieniem. Stawka była wysoka. Na twarzy panny Beaumont pojawiał się wyraz współczucia za każdym razem, gdy któraś z beczek zawadzała o szczeble drabiny. Ukryci w baryłkach pasażerowie nie narzekali na niewygodę. Znosili je bez słowa skargi.

Podczas załadowywania ostatniego uciekiniera na furgon, Camilla poczuła, że nie jest w stanie utrzymać ciężaru. Willie w lot pojął, co się święci, i w samą porę przyszedł jej z pomocą.

- Cii, już dobrze. - Usłyszawszy z wnętrza cichutkie zawodzenie, panna Beaumont pochyliła się nad baryłką. - Wiem, że się boisz, ale wytrzymaj jeszcze trochę. Niedługo będziemy bezpieczni.

Horace położył jej dłoń na ramieniu i skinął w kierunku oddalonej o ćwierć mili stacji kolejowej.

- Masz rację. Ruszajmy w drogę.

Wkrótce wóz sunął z wolna wzdłuż nabrzeża.

- Hej. Wy tam! - Raptem rozległ się schrypnięty męski głos. - Stać!

Camilla skuliła się odruchowo i zwiesiła głowę. Z mgły wyłonił się wartownik w szarym mundurze.

- Co wy tu robicie, czarnuchy? - zapytał tonem, który nie wróżył niczego dobrego. Wyciągnął odzianą w rękawiczkę dłoń i szturchnął Camillę w skroń. - Co wiecie w tych beczkach, dziadku?

- Nic, sir.

- Wracamy z targu - interweniował Horace. - Pani wysłała nas po zapasy do pieczenia.

- W środku nocy? - Żołnierz roześmiał się i przystawił ostrze muszkietu do ucha Horace'a. - A może chodzi o ciemne praktyki wudu, co?

Zdjęta trwogą Camilla sięgnęła po torbę z gazetami.

- Proszę nas puścić. My tylko rozwoziliśmy... - Urwała w pół słowa. Torba zniknęła! - Błagam, niech pan nie zagląda do środka! - krzyknęła rozpaczliwie.

- Co też wy tam macie? - Zainteresowanie strażnika sięgnęło zenitu. -
Wieziecie samogon?

- Przecie to nielegalne! - Oburzył się Horace.

Próbował za wszelką cenę odciągnąć uwagę wartownika od panny Beaumont.
Udało się.

- A jakże, czarny psie! Myślisz, że nie wiem? - Strażnik spojrział na niego spod oka i podrapał się w brodę. - Jeśli oddacie mi kontrabandę, może zapomnę, że widziałem was po godzinie policyjnej.

- Pułkownik Abernathy byłby wielce niezadowolony, gdybyśmy zapodzielili po drodze jego dostawę. Ale... gdyby pan zechciał poczekać... Za jakiś dwa, trzy dni znaleźlibyśmy coś i dla pana...

- Pułkownik Abernathy, powiadasz? Trzeba było tak od razu. - Oficer poprawił broń na ramieniu i odsunął się od wozu.

- Mam wartę cały zakichany tydzień. Radzę wam rychło wrócić tu z moją księżycówką, w przeciwnym razie przypomnę sobie, że przyłapałem dwóch smoluchów i białego durnia na włóczeniu się po nocy. Zrozumiano?

- Tak jest, sir! - odkrzyknęli zgodnym chórem Horace i Willie.

Camilli z wrażenia na moment odjęło mowę. Siedziała jak mysz pod miotłą, obejmując kurczowo najbliższą stojącą beczkę. Virgil będzie miał nieliczne kłopoty, jeśli nie odnajdę jego torby z gazetami, pomyślała.

Było ciemno choć oko wykol. Gabriel oparł się o balustradę na rufie „Księżniczki Magnolii”, jedyne statku wycieczkowego w zatoce Mobile. Od jakiegoś czasu cumowały tu niemal wyłącznie frachtowce przewożące owoce morza, głównie krewetki i ostrygi.

Odczekał, aż ostatni, hałaśliwi amatorzy hazardu i innych rozrywek zejda na ląd. Wkrótce było już słycać tylko donośne chrapanie załogi. Od strony trapu

dobiegały też odgłosy anemicznego skrobania. Najpewniej jakiś podpity maruder odłączył się od kompanów i teraz próbuje odnaleźć drogę do domu.

Gabriel Laniere - tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko - był z wykształcenia lekarzem. Swego czasu parał się również aktorstwem tudzież doglądaniem koni. Obecnie zaś podszywał się pod pastora. Uśmiechnął się pod nosem i dotknął przelotnie rozkwitłej czerwonej magnolii, która spoczywała w jego klapie. Kilka godzin wcześniej rzuciła mu ją, mrużąc porozumiewawczo oko, „niezrównana” Delia Matthews - wzięta gwiazda dwuaktówki „Simpson i reszta” oraz prześmiewczej farsy pod tytułem „Omnibus”. Panna Matthews istotnie dała się poznać jako pomysłowa i wszechstronna komediantka. Potrafiła bez najmniejszego wysiłku olśnić widownię pełną podchmielonych dżentelmenów z Południa. Miał nadzieję, że w roli kuriera spisze się równie dobrze. Nowiny, które miał do zakomunikowania admirałowi Farragutowi były niesłychanie ważne i wręcz naglące.

Znów usłyszał drapanie, a potem stłumione postękiwanie. Tym razem odgłosy wydały mu się nieco głośniejsze. Zmarszczył brwi i zrobił krok do przodu, zatrzymał się jednak, dostrzegłszy na pomoście majtka, który stapał ostrożnie w stronę doku, przerzucając w dłoniach płócienną torbę.

Gabriel wycofał się i zszedł po drabince pod pokład. Przypomniawszy sobie plotki krążące w Nowym Orleanie. Wciąż nie mógł uwierzyć w odszyfrowane słowa meldunku, który przechowywał w kieszeni. „Podwodna łódź z torpedą”. Flota wroga zbroiła się tuż pod nosem Farraguta. Zadaniem Gabriela było jak najprędzej ostrzec admirała o tym, że inżynierowie rzeczonoego kutra przenieśli tajne przedsięwzięcie z Nowego Orleanu do prowincjonalnego Mobile w Alabamie. Potem będzie musiał odnaleźć i zniszczyć łódź ze śmiercionośną bronią na pokładzie.

Dwie godziny później wciąż tkwił w ładowni „Księżniczki Magnolii”. Siedział na cuchnącej melasą beczułce, przeklinając w duchu konstruktora ciasnego

kontenerowca. Za każdym razem gdy statek się zakołysał, obijał się głową o belkę na suficie.

Zaczął powtarzać w myślach anatomię, aby utrzymać nerwy na wodzy. Wyrecytowawszy cały kościec, wspomniawszy raptem starego druha z akademii medycznej.

Harry Martin nie potrafił odróżnić łacińskich nazw kości strzałkowej i piszczelowej. Ponoć Martin służył teraz jako chirurg polowy pod generałem Grantem. Jak nic na prawo i lewo obcina rannym kończyny, pomyślał Gabriel, po czym ułożył się wygodniej na baryłce i przeszedł do wymieniania nazw poszczególnych mięśni.

Delia spóźniała się już bez mała godzinę. Mentor Gabriela - admirał Farragut, człowiek, który go zwerbował i przeszkolił - mawiał, że w pracy szpiega pięć procent stanowi działanie, dwadzieścia nadstawianie ucha, a pozostałe siedemdziesiąt pięć czekanie. Gabriel nie znośił marnować czasu i znany był ze swej niecierpliwości. Ileż można wypatrywać łączniczki, która już dawno powinna się stawić na miejsce spotkania? Co też mogło ją zatrzymać?

Stąpienie po pokładzie wyrwało go z zamyślenia. Ktoś uniósł pokrywę włazu i zszedł po drabinie do ładowni.

Gabriel tymczasem ześlizgnął się z beczki.

- Gdzie on może być? - Miała nieco wyższy głos niż ten, który zapamiętał ze sceny.

Otworzył usta, by wypowiedzieć hasło, lecz wtem nad ich głowami zawisł cień zwałistej sylwetki.

- Kto, do diaska, zostawił otwarty właz?! - zagrzemiał jakiś mężczyzna. - Harley, chodźże tu zaraz! Mówiłem ci, żebyś... - Jego pokrzykiwania przycichły, gdy oddalił się ciężkimi w krokami w stronę rufy.

Ciałem kobiety wstrząsnął dreszcz. Gabriel natychmiast pojął, że jego współpracowniczka zamierza wrzasnąć. Dopadłszy jej jednym susem, cofnął się do

ciemnego zakamarka pod schodami. Jedna z jego dłoni zakrywała usta aktorki, a druga obejmowała ciasno jej ramiona i talię.

Osunęli się razem na podłogę i wstrzymując oddechy, oczekiwali nadejścia nieuchronnej katastrofy.

Ich obawy okazały się zupełnie niepotrzebne. Przywołany majtek popatrzył w dół, zamamrotał coś pod nosem i głośno zatrzasnął pokrywę. Pomieszczenie pograżyło się w kompletnych ciemnościach.

Smukła postać w objęciach Gabriela wciąż drżała ze strachu. Odczekał, aż się odpręży, a potem rozluźnił uścisk. Na wszelki wypadek cały czas zakrywał jej usta dłonią.

Jej ubranie zionęło rybami i terpentyną, a głowę zakrywała naciśnięta na czoło obszarpana czapka, która drapała go w szczękę. Dobry pomysł z tym kostiumem, przemknęło mu przez myśl.

Zaczęła się wiercić, a on w odpowiedzi przytrzymał ją mocniej.

- Nie ma mowy - szepnął jej do ucha. - Nie puszcze cię, póki nie będę pewien, że będziesz trzymać tę swoją śliczną buzię na kłódkę.

W odpowiedzi ugryzła go w palec. Cofnął odruchowo dłoń, z trudem powstrzymując okrzyk bólu.

- Ty złośnico! - zaczął rozsierdzony i natychmiast zniżył głos. - Co robisz? Chcesz, żeby nas złapali i posłali na stryczek?

- Kim jesteś? Przedstaw się.

Cóż za ostrożność, pomyślał, nim wypowiedział konspiracyjny pseudonim.

- Joshua.

Ściągnawszy Delii z głowy czapkę, Laniere przez chwilę wdychał zapach jej loków, a potem objął ciaśniej ich właścicielkę.

- Przestań mnie obłapiać i mów, czego chcesz.

Zachichotał ubawiony.

- Tylko nie próbuj więcej żadnych sztuczek, bo pożałujesz. Żadnego gryzienia, zrozumiano?

- Dalej, słucham - ponagliła po krótkim milczeniu.

- Dam ci kazanie, które przekażesz człowiekowi na górze. Musi jak najszybciej trafić w jego ręce. Nie ruszaj się. Gdyby znów nam przeszkodzono, nie będziemy musieli się chować.

- Och... no tak. Dobrze.

Sięgnąwszy po tekst homilii, który ułożył tego ranka, wsunął jej go po omacku do kieszeni. Zdrętwiała, ale nie zaprotestowała.

- Szkoda, że kazałaś mi tak długo na siebie czekać. Chętnie zostałbym dłuższej i jeszcze z tobą pogawędził, ale przed świtem muszę zejść na ląd.

Wciągnęła ze świstem powietrze i odepchnęła jego ramię. Potem wcisnęła sobie na głowę czapkę i schowawszy pod nią włosy, poderwała się z podłogi.

- Muszę iść - oznajmiła, podchodząc do drabiny. Gabriel oparł się plecami o ścianę. Postanowił odczekać.

Nie warto niepotrzebnie ryzykować. Najważniejsze, że przekazał we właściwe ręce zaszyfrowany meldunek.

Camilla wspięła się na okalający posiadłość Beaumontów żelazny płot i przeskoczyła na drugą stronę. Wylądowawszy na trawie, przewróciła się na plecy i spojrzała w granatowoczarne, bezgwiazdne niebo. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Całą drogę powrotną z portu pokonała biegiem.

Co za noc. W ciągu czterech lat jeszcze nigdy nie byli tak blisko wpadki. Dziś nie dość, że omal ich nie schwytano, to jeszcze przysporzono im kolejnych kłopotów. Będą musieli znaleźć sposób na dostarczenie whisky nie tylko pułkownikowi Abernathy'emu, lecz także przebrzydłemu wartownikowi, który ich zatrzymał.

Westchnęła i zakryła ramieniem oczy. Właśnie wtedy zaszeleścił w kieszeni papier. Wzdrygnęła się i usiadła. Mężczyzna z ładowni zwrócił się do niej po

imieniu, choć wypowiedział je w dziwny, nieco zabawny sposób. Wiadomość musiała zatem pochodzić od Harry'ego. Z tego co wiedziała, kuzyn przebywał obecnie w północnym Missisipi.

Odkąd wyjechał z Mobile - zwłaszcza po rozpoczęciu działań wojennych - dla bezpieczeństwa za każdym razem kontaktował się z nią inaczej. Raz ukrył list w grzbiecie książki, którą przesłał następnie Jamiemu. Jej brat był mu przychylny, za to babka na każdym kroku potępiała na głos postawę „odszczepieńca”, jak zwykła o nim mawiać.

Najnowszy posłaniec Harry'ego wykazywał pożałowania godny brak manier, gotowa była jednak ścierpieć strach i zniewagi, byle tylko ujrzeć ponownie pismo kuzyna. Ostatnio coraz trudniej jej było przypomnieć sobie jego twarz.

Podniosła się z ziemi i ruszyła ukradkiem w stronę domu. Powoli zaczynało się przejaśniać. Kiedy wróciła po torbę, było ciemno jak w piekle. Gdyby ów gbur, który przedstawił się imieniem Joshua, nie złapał jej w porę i nie zakrył jej ust, bez wątplenia zaczęłaby krzyżeć. Majtek z pewnością by ją usłyszał...

Zatrzymała się na werandzie. Zza uchylonego okna dobiegały ściszone głosy. Czyżby papa nie spał o tej porze? Dziwne. Zazwyczaj kładł się wcześniej. Zasłonięte szczelnie kotary nie pozwalały jej zajrzeć do środka.

Podeszła do framugi w nadziei, że uda jej się coś podpatrzeć przez grubą koronkę. Ojciec rozmawiał z jakimś mężczyzną. Nadstawiła ucha. Już po chwili ich słowa zaczęły nabierać sensu. Rozprawiali o statkach. A może o jednym statku? Rodzinny interes Beaumontów opierał się w znacznej mierze na przewozie towarów, uznała więc, że to nic godnego uwagi. Już miała odejść, gdy wtem, rodzic zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Pewien jesteś, że Jankesi o niczym nie wiedzą?

- Nie mogą wiedzieć. Zatopiliśmy ją na kilka godzin przed tym, jak Butler ruszył za Farragutem na Nowy Orlean.

- A plany? Masz je nadal?

- Nie martw się. Są ukryte. Tylko nie zapominaj, że pierwszy model nie był w pełni zdalny do użytku. Śrubom napędowym zdarzało się zacinać. Nie testowaliśmy jej z pełną załogą na pokładzie. - Rozmówca ojca odchrząknął. - Niełatwo znaleźć ochotników, którzy odważą się zejść pod wodę. Nie jestem pewien, czy porwałbym się na coś takiego.

- Gadanie! Zrobiłbym to choćby i zaraz, gdyby nie mój słuszny wzrost i nazbyt wielka tusza.

- Oczywiście, nie wątpię, Zeke, że byłbyś do tego zdolny. - W głosie nieznajomego słyhać było wyraźne rozbawienie. - Szkopuł w tym, że nawet gdybyśmy rozpoczęli budowę jutro, upłynie co najmniej miesiąc, nim znów będzie gotowa do zwodowania.

- W takim razie zaczniecie z samego rana - zarządził stanowczo ojciec. - I skończycie nie później niż za trzy tygodnie. Pieniądze nie grają roli. Pomyśl tylko! Mamy okazję zniszczyć jankeskie kanonierki bez narażania na szwank własnych ludzi!

- Sądzę, że może nam się udać. Diron Lanier twierdzi, że potrafi naprawić wadliwą śrubę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przepędzimy Jankesów z zatoki.

- Znakomicie. Kiedy już wyślemy ich tam, gdzie ich miejsce, zamierzam zaskarbić sobie w mieście wpływową pozycję.

Po chwili mężczyźni pożegnali się i wyszli z pokoju. Camilla oparła się plecami o mur. Ojciec zamierzał wyłożyć masę pieniędzy na przebudowę jakiegoś tajemniczego statku. Statku tak ważnego, że trzeba było go zatopić, by nie wpadł w ręce nieprzyjaciela. Rozumiała, że rodzic musi spełniać żądania konfederatów: zapewniać transport ich wojskom i wspierać działania obronne, których słusność nie podlegała dyskusji, ale żeby inwestować rodzinne fundusze w spisek mający na celu skonstruowanie śmiercionośnej broni? Nie mieściło jej się to w głowie...

Okrzyżyła dom i wspięła się po krzewach do okna sypialni. Wskoczywszy do środka, czym prędzej zdjęła z siebie utyłane ubranie i cisnęła je pod łóżko. Cały

pokój cuchnął terpentyną. Oby tylko babci nie wpadło do głowy złożyć jej wizytę. Miała szósty zmysł. Rzadko się zdarzało, by cokolwiek umknęło jej uwagi. Jednak starsza pani nie wiedziała o potajemnej działalności wnuczki ani o tym, że pozostaje ona w kontakcie z Harrym.

Zapaliwszy lampę naftową, Camilla zdjęła koszulę i zaczęła pospiesznie odwijać płótno, którym przed wyjściem ścisnęła sobie piersi. Po chwili mogła już nieco swobodniej oddychać. Sięgnęła po kubrak i wygrzebała z kieszeni zwiniętą kartkę.

Ku swemu niemałemu zdziwieniu odkryła, że ma przed oczami tekst kazania. W dodatku niepodpisany - Harry zawsze podpisywał listy. Zdezorientowana, wsunęła przez głowę nocną koszulę i ukryła pismo w przepastnym koronkowym mankiecie. Mężczyzna z „Księżniczki Magnolii”... ten jego głos... Zapamięta go chyba do końca życia. Był taki wyrazisty i... słodki jak syrop na krup, którym w dzieciństwie raczyła ją Portia. Nie ulegało wątpliwości, że nieznajomy pozwolił sobie wobec niej na urągającą dobrym obyczajom poufałość. Trzeba jednak przyznać, że nie był szczególnie natarczywy. Poza tym tylko dzięki niemu nie wpadła w ręce majtka.

Co miał na myśli, każąc jej przekazać kazanie „człowiekowi na górze”? Cała ta nedorzeczna scena w ładowni była dla niej kompletnie niezrozumiała. Pogubiła się do tego stopnia, że zapomniała o torbie Virgila. Będzie musiała uszyć mu nową.

Zamierzała zgasić światło. Lampa omal nie wypadła jej z ręki, gdy raptem zachrobotła klamka. Z nadmiaru wrażeń wyleciało jej z głowy, że po każdej nocnej wyprawie Portia przynosi jej wodę do mycia i coś do zjedzenia.

- Niech mnie piekło pochłonie, jeśli widziałam w życiu zgraję większych matolów! - Odstawiwszy na stół przyniesione rzeczy, spiorunowała Camille wzrokiem. - Co wyście sobie myśleli? Doszczętnie wam rozum odjęło?

- Cii - odparła winowajczyni, przykładając palec do ust. - Obudzisz babcię. Wiesz przecież, że ma lekki sen!

- Spóźnia się panienka ponad dwie godziny - rzuciła nieprzejednanym tonem Portia, po czym bez ceregieli ściągnęła z niej koszulę. - Horace mówi, że złapał was jakiś mundurowy i cudem uniknęliście zdemaskowania, a kiedy już z bożą pomocą dostarczyliście przesyłkę na stację, ni z tego, ni z owego, bez słowa wyjaśnienia panienka ruszyła w swoją stronę! - Zmarszczyła nos. - Niech panienka prędko się umyje, bo inaczej ten fetor przylgnie do panienki na stałe. Potem panienka zje i opowie mi, gdzież to się podziewała.

- Przepraszam. Nie złość się na mnie. - Camilla posłusznie podeszła do balii.

- Mmm... - Służąca schyliła się i wydobyła spod łóżka cuchnące ubranie. -

Wpadła panienka do chlewika, czy co?

- To pokost ze statku.

Skończywszy toaletę, Camilla odwiesiła ręcznik i zaczęła rozczesywać włosy. Tymczasem Portia spakowała śmierdzące odzienie w tobolek, po czym wyjęła szczotkę z ręki Camilli.

- Szczęście, że to paskudztwo nie zaległo panience we włosach, bo jak nie trzeba byłoby je ściąć.

Camilla zamknęła oczy i zaciskając zęby, dzielnie wytrzymała niedelikatne zabiegi służącej. Zasłużyła sobie na karę za głupotę.

- Powie mi panienka, gdzie była przez te dwie godziny? - Pociągnięcia szczotki stały się o wiele wolniejsze i łagodniejsze. - Odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia...

- Zostawiłam coś na statku i musiałam wrócić.

- Lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego.

- Zapomniałam o... torbie Virgila. - Przygotowała się na wybuch, ale hebanowe oblicze Portii nie zdradzało żadnych emocji. Za to w oczach czaiła się iskierka rozbawienia.

- Święci Pańscy, dziecko drogie, wpakujesz ty się kiedyś przez tego starego capa w kłopoty. Wspomnisz moje słowa. Mam nadzieję, że stwórca wynagrodzi

twoje wysiłki. Wszak powiada Pismo: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili...”. Doprawdy ze świecą by szukać lichszego stworzenia boskiego niż Virgil Gazeciarz.

Rozdział drugi

Gabriel obudził się na dźwięk nieśmiałego pukania do drzwi. Nauczony sypiać z jedną nogą na podłodze, poderwał się i jednym susem dopadł klamki z bronią gotową do wystrzału.

- Kto tam?

- Wielebny Lelandzie, to ja... S-Sally...

Na wzmiankę o swym duszpasterskim alter ego Gabriel w jednej chwili się odprężył i odłożył pistolet. W progu stała, mnąc w dłoniach fartuch, młoda pokojówka. Ta sama, która wczoraj wskazała mu pokój.

- Czy aby nie jest trochę za wcześnie, by prosić o duchową poradę, moja droga? - zapytał oschle.

- Przynoszę pilną wiadomość.

- Ach tak. - Wciągnął pospiesznie szelki. - O co chodzi?

- Na dole czeka jakiś porucznik. Kazał mi biec po pana na jednej nodze. Mam przekazać, że pewna dama została zatrzymana przez pułkownika Abernathy'ego i potrzebuje pańskiego wsparcia.

- Powiedz owemu porucznikowi, że niebawem przyjdę i poproszę, by tymczasem podtrzymał moją zn... eem... moją kuzynkę na duchu.

Sally skinęła głową i zniknęła.

Gabriel niezwłocznie zabrał się do porannej toalety. Golił się w takim pośpiechu, że nie obyło się bez skaleczenia. Poirytowany odłożył brzytwę i obejrzał ranę w lustrze. Ostatnio w modzie były wąsy i broda, lecz w jego przypadku gładko wygolona twarz stanowiła część przebrania. Z trudem rozpoznawał swoje odbicie.

Zapomniał nawet o bliźnie na górnej wardze. Sprawił mu ją w dzieciństwie brat, Johnny, podczas jednej z bójek. Johnny... prawdopodobnie już nie żył. Jak powiadała matka, zaci ludzie umierają młodo. On sam zamierzał dożyć późnej starości.

W drodze do kwatery głównej konfederatów rozzłościł się na dobre. Zgodnie z planem Delia powinna już dawno wyruszyć wraz ze swoją trupą do kolejnego portu. Jeśli okaże się, że odpłynęli bez niej, nie będzie sposobu, by na czas oddać mel-dunek w ręce unitów. A jeśli ją przeszukali?

Długie oczekiwanie nie poprawiło mu nastroju. Z nudów przyglądał się dwójce ziewających raz po raz wartowników, którzy pilnowali wejścia. Wyglądali, jakby za moment mieli zasnąć na stojąco. Nic dziwnego, że wojna trwa tak długo. Grant i Sherman powinni tu zjechać i popędzić to stado ospałych nieudaczników.

Nagle usłyszał konspiracyjny szept jednego z wartowników.

- Słyszałeś, że dziś ma być dostawa whisky?

- Najwyższa pora. Gdybym wiedział, że będzie prohibicja, trzy razy bym się zastanowił, nim bym się zaciągnął. A skąd się właściwie wzięła ta gorzałka?

- Któryś z chłopaków przyłapał wczoraj w nocy paru czarnuchów ze starym Gazeciarzem. Wieźli kilka beczek. Obiecali, że jeśli puści ich wolno, następny transport będzie dla nas.

- Gazeciarz może i jest stuknięty, ale swoje w życiu wypił.

Gabriel zastanawiał się właśnie, kim jest ów Gazeciarz, gdy wtem piętro wyżej rozległy się krzyki. Przybrały na intensywności, kiedy otworzono drzwi i na szczycie schodów ukazał się podoficer z nietęgą miną. Otarłszy twarz z jakiejś beżowej cieczy, która spływała mu z oczu i wąsów, zapytał:

- Jest tu gdzieś wielebny Leland? Zawodzenie na górze natychmiast ustało.

Gabriel podniósł się z miejsca. Miał już obmyśloną odpowiednią historię na użytek Abernathy'ego.

- To ja. Widzę, że zapoznał się pan z moją kuzynką? Młodzian obejrzał się przez ramię.

- Jeśli ta wiedźma jest czyjąś kuzynką, to chyba tylko samego Belzebuba. Pułkownik Abernathy chce z panem mówić. Tędy proszę.

Pokonawszy schody, weszli do pokoju przerobionego na gabinet. Oprócz biurka znajdowało się w nim kilka regałów na książki.

- Wielebny Lelandzie! - Abernathy poderwał się na nogi, szurając krzesłem. - Moi ludzie zatrzymali wczorajszej nocy pewną młodą kobietę, która delikatnie mówiąc jest... odrobinę niesforna. Wprawdzie twierdzi, że jest damą, ale wiemy skądinąd, że podróżuje od portu do portu wraz z trupą aktorów.

Gabriel zajął zaofiarowane miejsce naprzeciw rozmówcy.

- Aktorstwo nie jest może wymarzonym zajęciem dla kobiety, lecz wykonywanie tego zawodu z pewnością nie jest zabronione - odparł z przekąsem.

- Naturalnie, że nie. Niemniej jeden z moich podkomendnych utrzymuje, że panna Matthews próbowała ciągnąć go za język.

- Ów podkomendny, jak rozumiem, był wówczas całkowicie trzeźwy?

Pułkownik uniósł z kałamarza doskonale wyostrzone pióro i zaczął ostrzyć je na nowo.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że sprzedawanie alkoholu personelowi wojskowemu jest zabronione.

- Oczywiście - zgodził się Gabriel, choć w jego głosie pojawiła się jawna drwina. - Czy zechciałby pan oświecić mnie co do okoliczności aresztowania kuzynki, panie pułkowniku?

Abernathy skrzywił się z rozdrażnieniem.

- Niestety, wygląda na to, że szeregowy Hubbard postanowił w czasie wolnym od służby zażyć rozrywek. W tym celu udał się na „Księżniczkę Magnolię”. Jako że jest... hm... roslym i przystojnym młodzieńcem, zwrócił na siebie uwagę panny Matthews, która po występie zaprosiła go do kajuty.

- Chce pan powiedzieć - rzekł tonem pełnym oburzenia Gabriel - że ta rozwiązła latawica uwiodła pańskiego niewinnego żołnierza i napoiwszy go alkoholem, usiłowała wyciągnąć od niego informacje, które zamierzała następnie sprzedać nieprzyjacielowi.

- To mniej więcej miałem na myśli. Chyba że pan znajdzie inne wytłumaczenie.

Gabriel wyprostował się z godnością na krześle.

- Nie jestem zobowiązany niczego panu tłumaczyć, panie pułkowniku. Słowo duszpasterza powinno być dla pana wystarczającą rękojmią niewinności kuzynki.

Komendant próbował zabrać głos, lecz Gabriel powstrzymał go ruchem ręki.

- Jestem przekonany, że historia mojej rodziny rzuci światło na sytuację i rozwiąże pański kłopot. Otóż panna Delia Matthews jest córką mojego wuja, owocem małżeństwa, które zawarł w podeszłym wieku ze służącą, jak się później okazało niegodną jego uczucia. Wkrótce po ślubie wyszło na jaw, że chodziło jej wyłącznie o majątek męża. Gdy ich córeczka ledwie odrosła od podłogi, matka zabrała ją i uciekła z innym mężczyzną, nie trzeba dodawać, dysponującym znacznie większym dochodem niż wuj. - Gabriel przerwał dla większego efektu, a także po to, by dać rozmówcy, czas na oswojenie się z opowieścią.

Udało się. Pułkownik był tak zaabsorbowany, że zapomniał o tkwiącej przed nim na biurku tacy ze śniadaniem. Gabriel uraczył go bajeczką o tym, jak to Delia stała się samotną i zagubioną duszyczką, która szuka miłości i zrozumienia w okrutnym świecie. Jak uciekła od matki i przyłączyła się do wędrownej trupy aktorów. On zaś - to jest wielebny Leland - jako jej jedyny krewny (ojciec nie potrafił żyć ze złamanym sercem i zmarł wiele lat temu ze zgrzyoty) od dawna próbował ją odnaleźć.

- Dopiero w zeszłym tygodniu udało mi się ustalić, gdzie przebywa - zakończył. - Moim zadaniem jest sprowadzić ją na łono rodziny.

- Popieram - oznajmił z zapalem pułkownik Sprawiał wrażenie wielce poruszonego.

Gabriel dyskretnie odchrząknął.

- Jak już wspomniałem, dotarłem niemal do kresu poszukiwań. Wystarczyło podążać śladem, że się tak wyrażę, porażonych jej urodą oficerów i dżentelmenów.

Abernathy krzywo się uśmiechnął.

- Cóż, pańska młoda krewna niewątpliwie potrafi owijać sobie mężczyzn wokół małego palca.

- Tym chętniej przejmę nad nią opiekę i tym samym zdejmę panu ciężar z barków. Nie sądzę, by miał pan coś przeciwko temu?

- Przeciwnie. Zwłaszcza że nie bardzo wiem, co z nią począć. - Pułkownik wstał i podszedł do okna. - Nie mogę puszczać płazem podobnych wybryków. Moi ludzie dobrze wiedzą, że za naruszenie tajemnicy wojskowej grozi surowa kara. Z drugiej strony, panna Matthews sprawia wrażenie zbyt roztrzepanej, by mogła spamiętać to, co usłyszała od Hubbarda. Tak więc ryzyko, że przekaze informacje wrogowi, jest raczej nikłe.

- Przesłuchiwał ją pan?

- Próbowałem, ale z marnym skutkiem. Szczerze mówiąc, jej nieskładne wypowiedzi są dla mnie kompletnie niezrozumiałe.

- Proszę pozwolić mi z nią porozmawiać w pańskiej obecności. Może uda mi się rozwiać pańskie obawy.

- To dobry pomysł - podchwycił Abernathy, po czym wrzasnął w kierunku drzwi: - Bowden!

Po chwili we framudze ukazała się głowa młodziana, który przyprowadził Gabriela do pułkownika. Jego czupryna wciąż była wilgotna i cała w lepkich strąkach.

- Sir?

- Sprowadź pannę Matthews.

Porucznik Bowden zrobił minę, jakby właśnie kazano mu ogolić jeża, i przestąpił z nogi na nogę.

- Tak jest, panie pułkowniku - wymamrotał i zniknął.

Delia nie kazała na siebie długo czekać. Wparowała do gabinetu z impetem. Stanąwszy na środku pokoju, oparła ręce na dorodnych biodrach. Jej ciemnobrązowe oczy ciskały gromy. W świetle dziennym wyglądała oszałamiająco. Spodnie, które miała na sobie wczoraj w nocy, zastąpiła suknią z obcisłym stanem i dużym dekoltem. Gabrielowi trudno było skupić wzrok powyżej jej karku.

Abernathy nawet nie próbował udawać, że patrzy jej w twarz.

Należała do tego rodzaju kobiet, których towarzystwo Gabriel cenił sobie najbardziej. Była bezpośrednia, rzutka i samodzielna. Świadomość własnej urody dawała jej pewność siebie, a to z kolei sprawiało, że nie siliła się na egzaltowaną skromność czy nieśmiałość. Nie była wyhodowanym w oranżerii kwiatem południowej arystokracji, gotowym zmarnieć w obliczu najmniejszej przeciwności losu. Nie lubowała się też w wytaczaniu męskiej krwi ukrytymi kolcami. Bardziej niż różę przypominała w pełni rozkwitłą, okazałą gardenię. Nawet pachniała jak gardenia.

- Gdzieś ty się podziewał? - zwróciła się z wyrzutem do Gabriela, splatając ramiona na piersiach.

Gabriel zmierzył ją wzrokiem pełnym marsowego podziwu.

- Gdybym się tak nie ucieszył na twój widok, przerzuciłbym cię przez kolano. W coś ty się znowu wpakowała?

Delia zerknęła z ukosa na komendanta.

- Jeśli ten nedorajda sądzi, że dbam o to, ile sztuk broni zgromadził w tej swojej zatęchłej dziurze, to się grubo myli. Co to za dowódca, który zajmuje się błahostkami, kiedy dokoła toczy się wojna?

- Widzi pan? - zaskamlał Abernathy. - Skaranie boskie z tą kobietą.

Gabriel z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Pułkownik robi, co do niego należy, droga kuzynko - oznajmił poważnym tonem, dyskretnie puszczając oko do współniczki. - Poza tym obiecał, że być może puści cię wolno. Stawia tylko jeden warunek. Musisz przysiąc, że nie powtórzysz nikomu tego, co ci powiedział szeregowy Hubbard.

W miejsce oburzenia na twarzy Delii pojawił się czarujący uśmiech.

- Tłumaczyłam im, że to jedno wielkie nieporozumienie. Szeregowy Hubbard opatrzenie zrozumiał moje słowa. Zapytałam go, czy jest wytrawnym strzelcem, a on zaczął mi opowiadać jakieś nonsensy o broni. Nie zapamiętałam z tego nawet połowy. - Przeszedłszy przez gabinet, ujęła pułkownika pod ramię. Gdy obejrzała się w stronę Gabriela, na jej długich rzęsach zaślnęły łzy. - Mam nadzieję, kuzynie, że pojmujesz, dlaczego troszeczkę się zirytowałam, kiedy mnie aresztowali. To było takie upokarzające!

Abernathy pogłaskał się po karku.

- Jeśli chce pani uniknąć w przyszłości podobnych nieporozumień, lepiej niech się pani trzyma z daleka od tego legowiska niegodziwości. „Księżniczka Magnolia” to nie miejsce dla szanujących się młodych dam. Wielebny Lelandzie, zwalniam pannę Matthews z aresztu i oddaję ją pod pańską kuratelę.

Delia zmarszczyła gniewnie brwi.

- Kuratelę?!

- Dziękuję, panie pułkowniku. - Gabriel pożegnał się pospiesznie i wyprowadził aktorkę za drzwi.

W drodze powrotnej do hotelu Battle House starali się jak najmniej rzucać w oczy. W każdym razie na tyle, na ile pozwalały na to powierzchowność oraz krewki temperament Delii. Kiedy zajęli stolik w hotelowej jadalni, cierpliwość Gabriela się wyczerpała.

- Przestań rzucać na prawo i na lewo te powłóczyście spojrzenia - wycodził przez zęby. - Mieliśmy się nie spotykać w miejscach publicznych, tymczasem musiałem zmyślić historyjkę o zbiegłej kuzynce! Spojrzała na niego z urazą.

- To ja spędziłam ostatnie dwanaście godzin w areszcie!

Gabriel zamarł z uniesioną dłonią, którą przywoływał lokaja.

- Dwanaście godzin? Kiedy cię zatrzymali?

- Tuż po przedstawieniu. Okazało się, że ten szeregowy nie jest aż tak naiwny, jak sądziłam. Zmylił mnie jego młokosowaty wygląd.

- Zatem sześć godzin temu nie mogłaś być ze mną na statku - powiedział, a w duchu modlił się, by to nie była prawda.

- Zabrali mnie o dziesiątej. - Rozłożyła ręce. - Może po pokładzie biegła jakaś inna kobieta? - Na widok jego miny zakryła ręką usta. - A niech to, dałeś kazanie komuś innemu, tak?

- Twoje perfumy mają zapach gardenii, nie konwalii.

- Dobrana z nas para, wielbny ojczy - odrzekła z drwiną Delia.

- To nie jest śmieszne. Co teraz zrobimy?

- My? - zapytała, unosząc brwi. - Nie mogę przekazać informacji, których mi nie przekazałeś. Odzyskaj kazanie, zanim moja trupa wyruszy w dalszą drogę. Jeśli ci się uda, doręczę je Farragutowi, jeśli nie, będziesz zdany wyłącznie na siebie.

Camilla obudziła się z okropnym bólem głowy. Tuż pod żebrami odkryła rząd siniaków, które nabiła sobie o szpiczaste ogrodzenie. Czuliła się jakby miała osiemdziesiąt, a nie osiemnaście lat. Przewróciła się w łóżku na wznak i jęknęła.

Wyklócała się z Portią ponad pół godziny o to, kto ma dostarczyć whisky pułkownikowi Abernathy'emu. Uważała, że to jej powinność, służąca upierała się jednak, że zrobi to Horace i nie zamierzała ustąpić. Była nieugięta. Poinformowała ją również, że od tej pory nie będą pomagać. Ponoć kapitan doszedł do wniosku, że misja stała się zdecydowanie zbyt niebezpieczna.

Kapitan. Mimo usilnych próśb i ciągłych nagabywań Portia nie chciała zdradzić Camilli nazwiska osoby, która organizowała przerzut niewolników najpierw rzeką do portu w Mobile, a potem koleją w głąb stanu. Prawdopodobnie był to jakiś świątobliwy kaznodzieja. Wyobrażała go sobie jako starca z długimi

siwymi włosami i okularami, takimi, jakie nosił Benjamin Franklin. Długi czarny płaszcz spowijał wątłe ramiona, a pod pachą tkwiła nieodłączna Biblia. Wygłaszał kazania z zapalem i kochał wszystkich bliźnich jednakowo, czarnych i białych.

- Camilla!

Gwałtownie wyrwana z zadumy usiadła na posłaniu. Tylko donośny głos jej brata mógł przebić się z dołu przez schody i ciężkie dębowe drzwi. Jamie często zapominał, że nie znajduje się na pokładzie „Lady C”.

Postawiła bosc stopy na posadzce.

- Czy w tym domu nie można porządnie się wyspać? - Dochodzi południe. Potrzebuję twojej pomocy. Zapomniałaś, że wieczorem wyruszam na Kubę?

Wprawdzie Jamiemu udało się już kilka razy niepostrzeżenie przekroczyć blokadę, niemniej zawsze istniało ryzyko, że zostanie schwytyany. Jankesi traktowali podobne wyczyny jako osobisty afront. Nie lubili, gdy kupieckie statki pod banderą konfederatów wraz załadunkiem, najczęściej bronią i racjami żywnościowymi, prześlizgiwały się przez blokadę.

Włożywszy spłowiałą suknię w kolorze indygo, Camilla usiadła przy toalecie. Gdy upinała włosy nad uszami, modliła się za brata. Za jego zdrowie, rozwagę i bezpieczny powrót do domu. Miał pod sobą licznych podkomendnych. Ciężka na nim ogromna odpowiedzialność. Zastanawiała się, czy ojciec powiedział mu o zatopionej łodzi, o której rozprawiał wczoraj z nieznajomym. Pewnie tak. Zawsze zwierzał się synowi. Poza tym miał bzika na punkcie wszystkiego, co poruszało się po wodzie, od kijanek po okręty wojenne.

Jamie nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że podsłuchiwała rozmowę papy. Obydwaj byli wobec niej nadopiekuńczy. Cóż, będą musieli się przyzwyczać do myśli, że jest dorosłą kobietą. Zamierzała poślubić Harry'ego i założyć rodzinę natychmiast po jego powrocie w te strony. Na razie nie mógł się pokazać na Południu. Większość miała go tu za zdrajcę. Najwyższa pora uwolnić się spod troskliwych skrzydeł rodziny. Miała dość nakazów i zakazów ojca i Portii, tudzież

utyskiwań babci, gdy zrobiła coś niestosownego. Zacisnęła powieki. Proszę cię, Panie, wysłuchaj mych próśb i zakończ tę wojnę jak najrychlej, poprosiła w duchu.

Odnalazła brata w holu. Instruował Williego i Horace'a podczas wynoszenia kufrów. Jasne włosy przylepiły mu się lekko do czoła, a na wąsach i brodzie osiadły kropelki potu. Spojrzał na Camille i powitawszy ją szerokim uśmiechem, otarł rękawem twarz.

- Jesteś nareszcie, śpiochu. Pewnie zmordowałaś się wczoraj dzierganiem i pisaniem listów?

Poprawiła ozdobne guziki u jego surduta. Jeden z nich trzymał się na włosku.

- Ojej! Zaczekaj, zaraz wrócę.

Pobiegła do salonu po własnoręcznie uszyty pikowany prostokąt ze złotej tafty. Był kilkukrotnie złożony i spięty na guzik z pętelką.

- Zrobiłam ci to na drogę.

- Dziękuję. A... co to właściwie jest?

Ujęła go za ramiona i posadziła przed sobą na schodach.

- Pokażę ci. - Rozłożyła zawiniątko. - To podręczna gosposia.

Roześmiał się w głos.

- Tego właśnie mi trzeba na statku.

Podsunęła mu przed oczy rząd kieszzonek i poduszczkę z zatkniętymi weń igłami i szpilkami.

- Masz tu niezbędne rzeczy do załatania munduru. Wszystkie dziewczęta szyją coś takiego swoim mężczyznom, nim ci wyruszą na wojnę.

- Wiesz przecież, że tak naprawdę nie jadę na wojnę. Może chcesz, żebym wysłał to Harry'emu?

- Nie. Zrobiłam to dla ciebie. Lepiej wróć razem z tym do domu.

- Taki mam zamiar. Żaden jankeski parowiec nie dogoni „Lady C”.

Camilla rzuciła mu niepewne spojrzenie spod spuszczonej rzęs.

- A gdyby tak udało im się skonstruować statek, którego nie widać podczas ataku?

- Masz na myśli mgłę? Wtedy musieliby celować do nas po omacku.

- Nie o to mi idzie. Myślałam raczej o statku, który porusza się pod wodą.

Mogliby zmieść was z powierzchni i nawet byście się nie zorientowali, że nieprzyjaciel jest w pobliżu.

- Okręt podwodny? - James się roześmiał. - Dobrze sobie. Oj, Camilla, Camilla. Naczytałaś się zbyt wielu tanich powieści. - Zamknął ją na chwilę w czułym uścisku. - Albo to wpływ marnej lektury, albo znów puściłaś wodze wybujałej wyobraźni. Dziękuję za podarunek. - Puścił siostrę i zwinąwszy przybornik, wsunął go za pazuchę. - Obiecuję, że zrobię z niego właściwy użytek. A teraz bądź grzeczna i zapakuj mi prowiant. Tylko nałóż wszystkiego od serca, bo sporo czasu upłynie, nim znów będę mógł skosztować chleba Portii.

Dobrze, że choć tyle mogła dla niego zrobić. Jamie zawsze był dla niej dobry i hojny. W drodze do kuchni dotknęła palcami delikatnych kamelii, które dyndały jej w uszach. Podarował jej te kolczyki w prezencie urodzinowym. Wiedział, jak uwielbia kwiaty kamelii. Co roku z niecierpliwością wyczekiwała, gdy na ich krzewach pojawią się pąki.

Portia zagniałała właśnie ciasto i nie była szczególnie uszczęśliwiona pojawieniem się Camilli.

- Ten urwis jak zwykle wybrał sobie najmniej odpowiednią porę na to, by wyruszyć w drogę - zaczęła utyskiwać, gdy tylko ujrzała pannę Beaumont w progu.

W głosie służącej wyraźnie pobrzmiwała troska, choć za wszelką cenę próbowała ją ukryć. Camilla uśmiechnęła się mimo woli i zabrała się do krojenia chleba oraz sera. Portia westchnęła ciężko i dołożyła do chlebaka placek jabłkowy i pęto kiełbasy.

- Mam nadzieję, że Jankesom pogorszy się dzisiaj wzrok.

- Ja też. Niech Bóg go strzeże.

Jamie niczego się nie bał. Nie straszne mu były zwłaszcza jankeskie fregaty. Nie brał życia na poważnie. Śmiał się nawet w obliczu największego niebezpieczeństwa. Kiedy zapytała o łódź podwodną, także zareagował wybuchem wesołości. Ciekawe, czy jego rozbawienie było autentyczne, czy chichotał wyłącznie na jej użytek? A może jej przypuszczenia były bezpodstawne? Możliwe, że ojciec jednak nie wtajemniczył go w swoje plany. Już miała wyjść, ale zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na Portię.

- Kiedy wracałam wczoraj do domu, usłyszałam coś bardzo dziwnego. Służąca poderwała głowę znad stolnicy.

- Cicho! Opamiętajże się, dziewczyno! Chcesz, żeby ktoś nas usłyszał? - Otarła dłonie z mąki. - Przejdźmy się po ogrodzie. Czemu to panienka nie powiedziała mi o tym od razu? - zapytała, gdy znalazły się przed domem.

- Zapomniałam - odparła Camilla. - Wyleciało mi z głowy. Byłam zbyt zajęta wysłuchiowaniem twojego łajania.

- A może nie zasłużyła panienka na burę? Więc co to takiego? Czego się panienka dowiedziała?

- Wiesz, że papa miał gościa w środku nocy? Przyjmował go w swoim gabinecie.

Portia spojrzała na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Nawet jeśli istotnie tak było, mnie nic do tego.

- Rozmawiali o statku, który pływa pod powierzchnią wody. Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

- A jakże. Czytałam w Księdze Jonasza.

- To naprawdę jest możliwe, a ojciec zamierza się na tym wzbogacić.

- Jakoś mi się to nie widzi. - Służąca wydeła sceptycznie usta.

- Papa finansuje całe to przedsięwzięcie. Kiedy statek będzie gotowy, chce go sprzedać konfederatom, by mogli wysadzać w powietrze okręty Jankesów. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale to prawda. Jeden taki już zbudowano w Nowym

Orleanie, ale kiedy wojska Północy zajęły miasto, trzeba było go zatopić. Teraz chcą go zrekonstruować u nas w Mobile.

Camilla spodziewała się, że Portia wyśmiejże ten koncept, podobnie jak wcześniej Jamie. Myliła się. Gospodyni zmarszczyła czoło i mruknęła:

- Mężczyźni i ich zabawki. Niech panienka zanieśe prowiant bratu i życzy mu szczęśliwej podróży.

- Ale... co ze statkiem? Co powinnam zrobić w tej sprawie?

- Nie jest już panienka dzieckiem. Usłyszała panienka coś, co nie było przeznaczone dla jej uszu. Radzę mieć oczy szeroko otwarte i trzymać język za zębami. - Portia przeszła ją srogim spojrzeniem. - I niech się panienka nie waży choćby kiwnąć palcem. Zrozumiano?

- A więc mi wierzysz? - Reakcja służącej była jeszcze bardziej przerażająca niż rozbawienie Jamiego.

- Wierzę, że ojciec panienki postanowił się zaangażować w jakieś ciemne sprawy. Poczekamy, zobaczymy. Może się okaże, że to zwykła błahostka.

Camilla wpatrywała się w oszołomieniu w plecy Portii, gdy ta zmierzała niespiesznym krokiem do kuchni. Mieć oczy szeroko otwarte i trzymać język za zębami. Ba! To pierwsze nie będzie takie trudne, ale jak sobie poradzić z tym drugim?

Rozdział trzeci

Gabriel przeszedł przez wahadłowe drzwi baru Ingersoll's Oyster i stanął w popołudniowej spiekocie. Z ramienia zwisał mu wypełniony gazetami płócienny worek. Prędzej czy później zwierzyzna wyjdzie z ukrycia.

Wczorajszego wieczoru wrócił z Delią na pokład „Księżniczki Magnolii” i kiedy współpracowniczka udała się do kajuty, by się odświeżyć i przebrać, przeszukał dyskretnie ładownię. Torba, którą znalazł wciśniętą za jedną z beczek, mogła okazać się cenną wskazówką. Może dzięki niej uda mu się ustalić tożsamość oszustki, która podszyła się pod jego łączniczkę.

Nim wyruszył rankiem na poszukiwania, stanął przed lustrem i przećwiczył repertuar min zatroskanego krewnego. Odwiedził każdy lokal mieszczący się przy ulicy Water. Centrum Mobile obfitowało w tawerny, puby oraz szulernie. Wypytał po kolei wszystkich właścicieli, lecz żaden się nie przyznał, że udziela schronienia kobiecie w męskim przebraniu.

Zbierał się właśnie do odejścia, gdy wtem ktoś zaczął ciągnąć go uporczywie za rękaw. Spojrzał w dół i zobaczył cherlawego człowieczka w czerwonej wełnianej czapce. Błyszczące jak paciorki oczy świdrowały go podejrzliwie spod krzaczastych brwi.

- S-s-kaąd... - zająknął się nieznajomy, wysuwając brodę - ...skąd to masz?

Gabriel spojrzał na niego w osłupieniu.

- Skąd co mam?

- To! - wrzasnął natręt i złapał za torbę. - Dałem ją panience, a teraz ty ją masz! Złodziej! Ukradłeś ją!

Gabriel wyszarpnął mu torbę z rąk i natychmiast poczuł na brzuchu grad zaskakująco mocnych ciosów. To truchło okładało go pięściami bez opamiętania!

- Ejże, hola!

Chwyciwszy napastnika za kark, unieruchomił mu ramiona. Przekupnie i ich klienci przyglądali się całej scenie z mieszaniną zaciekawienia i dezaprobaty.

- Uspokoisz się, jeśli cię puszczę? - wycedził przez zaciśnięte zęby.
- Oddawaj moją torbę! - zaskamlał chuderlak.
- Dam ci tę przeklętą torbę, tylko się przymknij i odpowiedz mi na kilka pytań.

Na widok jego groźnej miny starzec nieco się uspokoił.

- Nie muszę pytać, czy jesteś szalony, bo to widać na pierwszy rzut oka. Co cię opętało, człowieku?

Rozmówca wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym niechęci.

- Mówiłeś, że oddasz!
- Oddam, oddam. Chodź, kupię ci coś do jedzenia.

Wrócili razem do baru i usiedli za stołem. Gabriel zamówił dla siebie i osobliwego gościa kawę, którą ten ostatni wypił niemal duszkiem.

- Jak się nazywasz?
- Byrd. Virgil Byrd - odparł spokojnie. Gorący napój najwyraźniej złagodził jego gniew.

Cóż za poetyckie imię, pomyślał Gabriel.

- Skąd wiesz, że to twoja torba?
- Wiem, bo...znaczona jest.
- Znaczona? Jak znaczona?
- Ano, zapomniałem raz nakarmić Candy, to i wygryzła mi w niej dziurę.

Gabriel przyjrzał się workowi. Na dnie istotnie znajdował się otwór wielkości monety.

- Kto to jest Candy?
- Moja mulica.
- Dałeś torbę mulicy?
- Nie, mulica chciała ją zjeść. Dałem ją panience, a ty żeś ją ukradł, złodzieju

ty jeden!

- Niczego nie ukradłem - tłumaczył cierpliwie Gabriel, przykładając dłoń do skroni. - Znalazłem ją. Panienska to pewnie jakiś inny zwierz z twojej menażerii?

- Nic nie wiem o żadnej mna... mna-dzerii. Panienska to moja przyjaciółka.

Gabriel nie miał pojęcia, czy dokąś go to zaprowadzi, ale niewiele miał do stracenia.

- Moja też - oznajmił z zachęcającym uśmiechem. - Drobniotka ślicznotka z ponętnymi krągłościami?

Byrd skinął nieśmiało głową.

- Nosi męskie ubranie i pachnie konwaliami?

- Tak, sir! - Zarechotał Virgil. - To pewnością ona! Pachnie cudniej niż sklep z parr-fjumami!

- Zgadza się. - Gabriel pochylił się konspiracyjnie w stronę starca. - Rozmawiałem z nią wczoraj. Niestety, musiała odejść, nim zdążyłem jej coś dać. Powiesz mi, gdzie ją znajdę?

- Nie wiem. Widuję ją tylko w nocy, kiedy przychodzi pożyczyć ode mnie torbę.

- Pracujesz dla miejscowej gazety?

- I na kolei też robię - pochwalił się staruszek.

Gabriel przypomniał sobie rozmowę wartowników w kwaterze głównej Abernathy'ego. „Któryś z chłopaków przyłapał wczoraj w nocy paru czarnuchów ze starym Gazeciarzem... Gazeciarz może i jest stuknięty...” Dodał dwa do dwóch i nagle wszystko stało się jasne.

Gdy Virgil spojrział tęsknym wzrokiem na kelnera z tacą pełną jedzenia, Gabriel uśmiechnął się szeroko i zapytał:

- Zaczny panie Byrd, ma pan ochotę na ostrygi?

Camilla zdmuchnęła z twarzy niesforny lok i rozprostowała plecy. Od upału i wilgoci poskręcały jej się włosy. Było tak gorąco, że czuła pod ciasnym gorsetem spływające strużki potu. Zaniósła maszynę do szycia do pokoju przylegającego do

kuchni. Z tego miejsca mogła swobodnie gawędzić z Portią i w razie potrzeby usłyszeć wezwanie babki, która, gdy czegoś potrzebowała, zazwyczaj przywoływała ją dzwonkiem. Pomyślała, że powinna była usiąść na werandzie. Tam przynajmniej od czasu do czasu powiewał lekki wiaterek. Podłożywszy grube płótno pod igłę, nacisnęła pedał. Trzeba by masy worków, by zbudować fortyfikacje, które generał Butler rozkazał wznieść wokół miasta.

Poprawiła na nosie okulary. Prawdę mówiąc, darzyła pana Lincolna ogromnym szacunkiem, mimo że był Jankesem. Tuż po rozpoczęciu wojny zapytała ojca o jego stanowisko w kwestii secesji. Nie pojmowała, dlaczego nie dało się rozstrzygnąć spraw spornych odpowiednimi ustawami. Papa najpierw zwyczajnie ją zbył. Stwierdził, że materia jest zbyt skomplikowana, a ona za młoda, by cokolwiek zrozumieć. Nalegała, więc w końcu odłożył gazetę i spojrzał na nią uważnie.

- Legislacja nic tu nie pomoże, drogie dziecko. Szkopuł w tym, że ich jest więcej niż nas. Nie pozwalają nam wybrać takiego modelu życia, jaki nam odpowiada. Każdy ma prawo rozsądzić we własnym sumieniu, czy pragnie zatrzymać, czy uwolnić niewolników. Jankescy prawnicy, właściciele fabryk czy pismacy nie mają pojęcia o ekonomii ani tym bardziej o tym, jakimi prawami rządzi się system plantacyjny. Mimo to dyktują nam, jak mamy prowadzić interesy.

Camilla musiała sprawiać wrażenie skołowanej, bo ojciec poirytowanym gestem ściągnął binokle i dodał:

- Zastanów się, co by się stało ze wszystkimi niewolnikami, którzy pracują w polu, gdyby nagle puszczono ich wolno? Większość plantacji by upadła, a wtedy nie miałby kto wykarmić tych biedaków. Lepiej im będzie, jeśli utrzymamy obecny stan rzeczy.

Ona także nie znała się na ekonomii, ale uważała, że każdy człowiek powinien być wolny i stanowić o samym sobie. Niestety, jej argumenty nie znajdowały zrozumienia u ojca, którego zdaniem osoba o ciemnej skórze nie mogła uchodzić za pełnowartościowego przedstawiciela ludzkości. Wprawdzie dyskusja z papą nie

miała sensu, ale poprzysięgła sobie, że nie pozwoli rodzicowi zaprzedać duszy, a tym właśnie byłoby zbudowanie okrętu wojennego dla konfederatów.

Oderwała nitkę i rzuciła gotowy worek na stertę pod krzesłem. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Była to myśl szalona, niebezpieczna, a co gorsza zdradziecka. Dlatego próbowała ją od siebie odepchnąć. Na próżno. Camilla szyla jak opętana i wyśpiewywała hymny pod niebiosa, lecz to nie pomagało. Niewątpliwie sama prosiła się o kłopoty. Miałaby szpiegować własnego ojca?

Właściwie już zaczęła to robić. Mimowolnie, ale jednak. Czyżby to sam Pan Bóg pozwolił jej podsłuchać tę rozmowę po to, by mogła interweniować? By zapobiegła szaleństwu? Powinna przechwycić plany łodzi i przekazać je Jankesom. Ale jak zaufać tajnemu agentowi z Północy? Przecież żadnego nie zna. A nawet gdyby, skąd mogła mieć pewność, że skonfiskuje okręt, ale przy okazji nie doprowadzi jej rodziny do zguby? Jedynym znanym jej Jankesem jest Harry, a część jego rodziny pochodziła z Tennessee.

Usłyszała z kuchni jeden z dzwonek, które biegły na sznurkach wzdłuż ścian w całym domu i poderwała się z miejsca.

- Ja pójdę, Portio! - krzyknęła i pobiegła na górę. Byle tylko uciec od własnych myśli.

Jako że babka lubiła wiedzieć, co się dzieje w domu, drzwi do jej bawialni były zawsze otwarte. Camilla wpadła do pokoju jak burza i zatrzymała się na progu, by zaczerpnąć tchu. Na różowej atłasowej kanapie siedział uderzająco urodziwy młody mężczyzna. Podniósł się, by ją powitać, i choć w jego ukłonie nie dostrzegła niczego niestosownego, nie spodobało jej się taksujące spojrzenie, którym ją obrzucił. Miał wyraziste rysy i przenikliwe ciemne oczy. Był wysoki, co sprawiało, że w małym eleganckim pokoju babki wyglądał niemal jak olbrzym.

Camilla dygnęła i zmusiła się, by przenieść wzrok na zasiadającą w fotelu matronę.

Babka przechyliła głowę w stronę nieznanego i rzekła:

- Wielebny Lelandzie, przedstawiam panu moją wnuczkę, Camille, która czasem zapomina o dobrym wychowaniu. Camillo, to wielebny Gabriel Leland. Niedawno zakończył duszpasterską posługę w Bogue Chitto i zjechał do Mobile, by służyć Bogu i wiernym w naszym mieście. - Staruszka uśmiechnęła się i ponownie pociągnęła za sznurek z dzwonkiem. - Zamknij buzię, dziecko i usiądź. Portia zaraz poda herbatę.

Camilla zdjęła okulary i wsunąwszy je do kieszeni, opadła posłusznie na krzesło. Czarnowłosa i czarnooki czaruś, który wygląda jak kolejne wcielenie samego diabła ma być duchownym? Niewiarygodne.

Gabriel przyglądał się młodziutkiej wnuczce pani St Clair ze skrzętnie skrywanym rozczarowaniem. Virgil rozbudził jego nadzieje, gdy po długich namowach wyjawiał mu, że „panienka” mieszka w dużym białym domu na rogu ulic Dauphin i Ann. Łudził się, że bez trudu odnajdzie tajemniczą kobietę ze statku, choć wiedział, że mogła nią być niemal każda niewiasta mieszkająca pod tym dachem, od dziewcziczki po pomoc kuchenną.

Siwowłosa seniorka rodu odziana od stóp do głów w różowe jedwabie przyjęła go nad wyraz uprzejmie w saloniku pełnym przeróżnej wielkości porcelanowych motyli. Jak to ujęła: „Raduje ją niezmiernie obcowanie z młodymi ludźmi tak bardzo oddanymi służbie Bogu i ojczyźnie”. Na prośbę, by wskazała mu drogę do miejskiego szpitala i biblioteki wojskowej, odparła z żalem, że zdrowie nie pozwala jej poruszać się tak swobodnie jak niegdyś. Potem ku jego wielkiemu ukontentowaniu obiecała posłać z nim wnuczkę.

Spodziewał się, że zobaczy szczywaną amatorkę przygód, a tymczasem do bawialni wparowała nieokrzesana dzierlatka, która lewie odrosła od podłogi. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat.

Pani St Clair postukała delikatnie łyżeczką w brzeg filiżanki.

- Proszę nam opowiedzieć o pańskich bliskich, wielebny Lelandzie.

Gabriel postanowił trzymać się historyjki, którą zmyślił dawno temu i udoskonalął od kilku lat.

- Rodzina ojca ma plantację indygowca w Luizjanie. Matka zaś pochodzi z Faulknerów ze wschodniego Missisipi.

- Doprawdy? Moja córka mieszka w Columbus. Być może miała przyjemność poznać pańskich krewnych?

- To bardzo prawdopodobne, lecz nie mam pewności. Nie odwiedzaliśmy ich od... - Przerwał mu zduszony pisk wnuczki, której właśnie udało się rozlać herbatę. - Panno St Clair? - odwrócił się w jej stronę, próbując ukryć zniecierpliwienie.

Otarła z sukienki plamę.

- Nie nazywam się St Clair - wymamrotała z wypiekami na twarzy.

Gabriel zmarszczył brwi. Popularne na Południu małżeństwa wśród bliskich kuzynów najwyraźniej nie wychodzą na dobre ich potomstwu. Ta biedaczka nawet nie wie, kim jest.

- Camillo, staraj się używać spodka, a unikniesz w przyszłości podobnych katastrof - pouczyła ją babka, choć w jej głosie słyhać było raczej rozbawienie i czułość niż poirytowanie. - Winna jestem panu wyjaśnienie, wielobny Lelandzie. Otóż matką Camilli była moja najmłodsza córka. Camilla nosi zatem - być może ze szkodą dla siebie - nazwisko Beaumont, a nie St Clair.

Gabriel uświadomił sobie, że zna tę rodzinę. Wprawdzie nie osobiście, ale przynajmniej ze słyszenia. Beaumontowie byli krewnymi Harry'ego Martina. Panna musi być tą kuzynką, która w dzieciństwie uganiała się za Harrym i uprzykrzała mu życie.

Spojrzał na nią i zamarł. Wpatrywała się w niego z otwartą buzią, jakby zobaczyła ducha.

Przyjrzał się jej uważniej po raz pierwszy, odkąd się pojawiła. Wyraziste, trochę dziecinne czoło, ostry podbródek i burza jasnych loków upodabniały ją do

porcelanowej lalki. Wielkie rozumne oczy w kolorze karmelu z pewnością nie były oczami podlotka. Rozpoznała go. To pewne jak amen w pacierzu.

Nie potrafił sobie wytłumaczyć, jakim cudem udało mu się pomylić tę mało powabną chłopczycę z Delią Matthews.

- Panno Beaumont, mam nadzieję, że w niczym pani nie uchybiłem. Czyżby wiedziała pani o Faulknerach coś, czego ja nie wiem?

- Nie... Rzecz w tym, że poznałam wczoraj pewnego dżentelmena, którego bardzo mi pan przypomina. Pański głos...

Miałem rację. Będę musiał postępować z nią bardzo rozważnie, uznał Gabriel.

- Ach tak? Zapewniam panią, że to nie byłem ja. Przez ostatnie dwa dni zajmowałem się bowiem pewną niecierpiącą zwłoki sprawą rodzinną.

Pani St Clair posłała mu uśmiech pełen aprobaty.

- To godne pochwały, że postanowił pan zadbać o krewnych, nim przejmie pan posiadłość po świętej pamięci wielebny Tunstallu. Może mogłybyśmy panu pomóc?

Gabriel niechętnie przeniósł wzrok na starszą kobietę.

- Wątpię, niemniej z całego serca dziękuję. Mam kuzynkę, która zeszła na złą drogę i przyłączyła się do trupy aktorów, podróżującej statkiem. Podjąłem się misji odnalezienia jej i sprowadzenia na łono rodziny.

Zauważył, że brew Camilli lekko się uniosła. Czyżby na wzmiankę o statku? A może próbowała w ten sposób okazać zrozumienie?

- Proszę mi wybaczyć, panno Beaumont, jeśli obraziłem panią napomknieniem o upadłym stanie mojej krewnej.

Ku jego zdumieniu się roześmiała.

- Proszę się nie martwić, wiem, co się wyprawia na takich statkach. Dla pana jako osoby duchownej odwiedzenie tego miejsca musiało być, jak sądzę, wyjątkowo przykrym doświadczeniem, czyż nie? - Wydęła szyderczo usta.

Laniere spojrział jej w oczy i uśmiechnął się nieznacznie, by potwierdzić, że jej przytyk trafił w cel.

- Camillo, powściągnij język, jeśli łaska! - oburzyła się babka. - Chyba będę mogła panu pomóc - zwróciła się do Gabriela. - Choć to ze wszech miar godne ubolewania, większość żołnierzy przepuszcza pieniądze i marnuje czas na pokładach owych „przybytków rozrywki”. Znam ich wielu, jako że moja działalność dobroczynna obejmuje głównie szpitale i biblioteki wojskowe. Camilla zaprowadzi pana do naszych dzielnych wojaków, by mógł ich pan swobodnie rozpytać. Jestem przekonana, że któryś z nich zna miejsce pobytu pańskiej kuzynki.

Na czole dziewczyny pojawiła się zmarszczka.

- Babciu, przecież wiesz, że do końca tygodnia muszę dokończyć szycie worków. Możesz napisać list rekomendujący dla wielebnego Lelanda. Jestem pewna, że doskonale odnajdzie się w mieście bez mojej pomocy.

- Jak możesz tak mówić, dziecko? To bardzo nie po sąsiedzku. Sama bym go oprowadziła, lecz moje stare nogi nie są już tak sprawne jak dawniej. A worki mogą poczekać.

- Ale babciu...

- Panno Beaumont - przerwał jej gładko Gabriel - będę zaszczycony, jeśli zgodzi się pani dotrzymać mi towarzystwa. Pani przemiła obecność niewątpliwie podniesie w mych oczach ocenę waszego miasta.

Camilla obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem. Pani St Clair wystawiła w jej stronę pokrzywiony artretyzmem palec.

- Pójdiesz, moja droga, i to bez gadania. Zaraz po niedzieli.

- Dobrze - wymamrotała Camilla, skubiąc koronkowy mankiet - ale nie dlatego, że sama tego chcę.

Rozdział czwarty

Następnego ranka wciśnięta pomiędzy babkę a czternastoletniego brata Schuylera Camilla przyglądała się wielebnemu Lelandowi, gdy wsparty na lasce przechodził przez kościół. Utykał jakiś czas, szukając wolnego miejsca. W końcu pani St Clair przywołała go gestem i zaprosiła, aby usiadł w ich ławce.

Camilla domyśliła się, że go tu dziś spotka. Z pozoru wielebny wydawał się uosobieniem dobroci i wzorem wszelkich cnót. Babka uważała jego pojawienie się w Mobile za prawdziwy dar od Boga. Ale przecież przyznał, że był na statku. Camilla doskonale pamiętała, jak ją wtedy obłąpiał. Dlaczego ją odszukał? Czego od niej chce?

W połowie nabożeństwa odważyła się rzucić mu ukradkowe spojrzenie. Przysłuchiwał się nudnemu jak flaki z olejem kazaniu brata Lewisa z takim zachwytem, jakby przemawiał do niego sam Duch Święty. Miał śnieżnobiały wykrochmalony kołnierzyk i zaczesane do tyłu włosy, a na wyrazistej twarzy malował się wyraz pobożnego skupienia i powagi.

Co zrobić, jeśli będzie szukał sposobności do spotkania sam na sam? Jak powinna się zachować? Wczoraj sprawiał wrażenie, jakby chciał ją schrupać na obiad. Musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo nagle się do niej odwrócił. Popatrzył na nią ciepło, a mimo to poczuła na plecach ciarki. Boże, chroń mnie przed tym człowiekiem, pomyślała. Wielebny Leland uśmiechnął się i ponownie skupił uwagę na ołtarzu i słowach kaznodziei.

Po pieśni kończącej mszę Camilla zamierzała jak najprędzej uciec, lecz babka chwyciła ją za łokieć i siłą zatrzymała w miejscu.

- Mam nadzieję, że zechce pan zjeść z nimi obiad - zwróciła się do wielebnego. - Pieczeń wieprzowa i tłuczone ziemniaki naszej Portii są słynne.

- Dziękuję za zaproszenie. Będę uszczęśliwiony!

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu. Jeden z nich był lekko zakrzywiony, ale zupełnie go to nie szpeciło. Przeciwnie, przydawało mu uroku. Camilla postanowiła nie ulegać jego czarowi i spróbowała wyswobodzić ramię. Jej wysiłki spełzły na niczym. Babka nie zamierzała jej puścić.

- Camilla dotrzyma panu po drodze towarzystwa.

- Byłbym bardzo rad, ale przyjechałem wierzchem. Nie jestem pewien, czy mój koń byłby zadowolony z dodatkowego pasażera. - Pani St Clair zachichotała ubawiona żartem. - Przy najbliższej sposobności chętnie jednak zabiorę pannę Beaumont na przejażdżkę powozem - dodał, uśmiechając się do Camilli.

- Będzie zachwycona. - Pani St Clair pociągnęła wnuczkę do wyjścia. - Pojedziemy przodem. Zatem do zobaczenia.

Niedzielny obiad w domu Beaumontów był rodzinnym świętem; okazją do śmiechu i długiej rozmowy. Camilla przyglądała się wielebnemu Lelandowi, który siedział naprzeciw niej, gawędząc z panią St Clair. Rekompensował im nieobecność Jamiego ujmującą mieszaniną samokrytyki, humoru i niewymuszonej uwagi. Musiała przyznać, że jest fascynujący niczym niebezpieczne dzikie zwierzęta. Aby udowodnić pozostałym, że wielebny nie jest taki, za jakiego pragnie uchodzić, musiałyby zdradzić własne sekrety, a na to nie mogła sobie pozwolić. Ale... przecież musi być jakiś sposób... Odchrząknąwszy nieznacznie, zebrała się w sobie, by odeprzeć jego przenikliwe spojrzenie.

- Proszę wybaczyć moją ciekawość, wielebny Lelandzie - zaczęła śmiało - ale zauważyłam, że chodzi pan o lasce. Czy został pan ranny na wojnie?

- Camillo! - zirytowała się babka. - A cóż to za niedelikatne pytanie?

- Nic nie szkodzi, pani St Clair, doprawdy. Nie wstydzę się przyznać, że odniosłem rany, służąc ojczyźnie.

- Może zatem - zaświergotała przymilnie Camilla - zechciałby pan opowiedzieć nam o swych bohaterskich wyczynach na polu bitwy?

- Klęska pod Shiloh to chyba nie najlepszy temat do pogawędki przy obiedzie. Dość powiedzieć, że byłem jednym z nielicznych, którzy uszli z życiem.

Przy stole zapadło niezręczne milczenie.

Ojciec Camilli spojrział z wyrzutem na córkę, po czym zwrócił się do Gabriela:

- Może miałby pan ochotę na cygaro? Przejdźmy się do ogrodu.

- Owszem, nie odmówię.

Wspierając się ciężko na lasce, wielebny Leland wyszedł z jadalni wraz z panem domu i jego młodszym synem.

Pani St Clair uderzyła łyżką w stół i z miejsca przystąpiła do ataku.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie, młoda damo? Możesz mi wyjaśnić, skąd u ciebie ta jawna niechęć do wielebnego Lelanda? To pierwszy młodzian z prezencją, który przestąpił nasze progi od czasu rozpoczęcia wojny.

- Nie wydaje ci się dziwne i niedorzeczne, babciu, że taki młody, zdrowy i urodziwy mężczyzna jeździ po kraju jako kaznodzieja?

- Przeciwnie, dziecko, uważam, że to ze wszech miar godne pochwały. Spełnił obowiązek wobec ojczyzny, a teraz służy Bogu. A może twoim zdaniem istnieje jakieś niepisane prawo, które mówi, że kaznodzieja musi być niski, gruby i łysy?

Camilla wzruszyła ramionami. Nie uwierzyła w tę absurdalną historyjkę o zbiegłej kuzynce ani tym bardziej w rany odniesione na polu walki. Jeśli on jest bohaterem wojennym, to ona od dziś może przedstawiać się jako wróżka z bajki.

Gabriel rozparł się w wiklinowym fotelu, przyglądając się gospodarzowi, który z lubością pociągał kubańskie cygaro. Początkowo zamierzał wmanewrować w tete-a-tete Camille, lecz popołudnie spędzone w towarzystwie Ezekiela Beaumonta - potentata usług przewozowych - mogło się okazać bardzo owocne dla jego misji.

- Istotnie pod Shiloh ponieśliśmy ogromne straty. Miał pan szczęście.

- Owszem, sir. Bóg czuwał nade mną. - Gabriel uśmiechnął się, gdy Schuyler wyjął z pudełka cygaro, a ojciec natychmiast wyrwał mu je z ręki.

- Zamierza pan wrócić na służbę? - zapytał lekko zawstydzony chłopak.

- Chciałbym, ale raczej prędko im się nie nadam. - Gabriel poklepał się po prawym udzie.

- Ja zaciągnę się w przyszłym roku - oznajmił z dumą Schuyler.

Ezekiel Beaumont gwałtownie poczerwieniał, lecz syn najwyraźniej postanowił go zignorować.

- Mądrzej postąpisz, jeśli zostaniesz tutaj i wesprzesz ojca - interweniował Gabriel. - Ktoś musi zapewnić siłom konfederatów transport broni, ludzi i racji żywnościowych. To lepsza pomoc niż chowanie się w okopach przed kulami Jankesów.

Młodzian zrobił taką minę, jakby słyszał podobne argumenty wiele razy.

- Ma pan całkowitą rację, wielbny Lelandzie! - wykrzyknął Ezekiel, wymachując w powietrzu cygarem. - Bez nas działania wojska byłyby niemożliwe! Gdyby nie kolej i flota, wiele by nie zdziałali.

- Zatem armia planuje korzystać z portów w Mobile i Ohio? - zapytał od niechcienia Gabriel.

- A na cóż im się zdadzą takie malutkie zatoczki na prowincji? - zaproponował Schuyler.

- Słuchaj uważnie, synu, a może czegoś się nauczysz - zagrzmiał starszy Beaumont. - Odkąd Corinth przeszło w ręce Jankesów, właśnie przez nasze miasto przebiega jedyny dostępny dla konfederatów szlak kolejowy łączący wschód z zachodem. Chcesz brać udział w akcji, chłopcze? Radzę ci zatem zostać na tej, jak to nazywasz „prowincji”, bo wiele tu będzie się działo.

Gabriel był tak pogrążony we własnych myślach, że ledwie zarejestrował pełne niedowierzania parsknięcie Beaumonta juniora. Na razie nie mógł ciągnąć ich dłużej za język. Lepiej nie wzbudzać niepotrzebnie podejrzeń. Uzmysłowił sobie jednak, że rodzina Beaumontów może się stać dla niego źródłem bezcennych informacji.

W tej sytuacji jawna wrogość Camilli była mu nie na rękę. Między innymi dlatego żałował, że spotkali się na pokładzie „Księżniczki Magnolii”. Wiele by dał, żeby cofnąć czas i zapobiec tamtym wydarzeniom.

Rozdział piąty

Gabriel zatrzymał wynajętą bryczkę przed domem Beaumontów. Uwiązawszy konia, wbiegł po schodach na ganek i zapukał energicznie do drzwi. Camilla unikała go blisko tydzień. Za każdym razem wymyślała wymówkę, która nie pozwalała jej się oderwać od „naglących zajęć”. Pozostawało mu jedynie przechadzanie się ulicami i nadstawianie ucha w nadziei, że usłyszy plotki na temat podwodnej łodzi wyposażonej w torpedę, tajnej broni konfederatów.

Na szczęście pani St Clair nakazała krnąbrnej wnuczce rzucić wszystko i jechać z wielebnym do szpitala. Lokaj o imieniu Horace wprowadził go do salonu. Camilla siedziała w fotelu z wyrazem bezbrzeżnej nudy na twarzy. Z parą gustownych okularów w złotej oprawce zatkniętą na zgrabnym nosku wyglądała jak uczennica. W głębi pokoju wystrojona blondynka grała na pianinie. Na widok gościa oderwała ręce od klawiatury. Natomiast panna Beaumont wstała z miejsca i niechętnie podała mu rękę na powitanie.

- Niezmiernie mi miło znów panią widzieć - odezwał się Gabriel, unosząc jej dłoń do ust.

Przytrzymał ją znacznie dłużej, niż wypadało. Nie potrafił sobie odmówić tej drobnej przyjemności, zwłaszcza że dziewczyna się zarumieniła i usilnie próbowała wyswobodzić palce z jego uścisku. Gdy w końcu ją puścił, natychmiast wcisnęła piąstki do kieszeni.

- Mnie również miło - wycedziła przez zęby.

- Camillo, dlaczego mi nie powiedziałaś, że spodziewasz się gościa?

- Och, gdzie się podziały moje maniery? Wielebny Lelandzie, przedstawiam panu pannę Fanny Chambliss.

Dopełniwszy prezentacji, Camilla wróciła na fotel pod oknem. Gabriel pochylił się nad dłonią Fanny na wymagane zwyczajem dwie sekundy.

- Stwórca był łaskaw zesłać mi dziś na powitanie aż dwie urocze młode damy.

Ku jego rozbawieniu panna Chambliss uznała jego słowa za komplement skierowany wyłącznie pod swoim adresem. Widać przywykła do pochlebstw. Mizdrząc się, zaczęła układać jedwabne spódnice na kanapie, której wyrazisty ciemnowiśniowy kolor podkreślał jej złote loki i fiołkowe oczy.

- To prawdziwa przyjemność móc zaliczyć do grona znajomych kogoś tak szarmanckiego, prawda, Camillo?

Gabriel uznał, że to nie najlepsza pora na salonowy flirt.

- Panno Beaumont, jeśli jest pani gotowa, możemy ruszać w drogę - uciął dalszą pogawędkę.

- Fanny na pewno chętnie do nas dołączy - odparła Camilla. - Pójdę po kapelusz.

Ujął ją delikatnie za łokieć.

- Przykro mi, ale wynająłem mały powóz. Pomieści tylko dwie osoby.

Panna Chambliss posłała Gabrielowi złe spojrzenie. Dopiero po chwili powściągnęła emocje i skromnie pochyliła głowę.

- Jak zwykle to Camilli się poszczęściło. Może innym razem? - Posłała Gabrielowi zalotny uśmiech.

- Naturalnie - odwzajemnił się uśmiechem, by złagodzić zniewagę, która ją od niego spotkała. - Trzymam panią za słowo. Panno Camillo, pani kapelusz?

- Już po niego idę. Do zobaczenia jutro, Fanny.

Wyrwała mu łokieć i pobięła na górę. Zanim wróciła, panna Chambliss pożegnała się z ociąganiem i wyszła. Prowadząc Camillę do bryczki, Gabriel

przyglądał się niemodnemu nakryciu głowy, które uwydatniało gładkie, szerokie czoło i wielkie oczy. Zastanawiał się, czy z rozmysłem podkreśla dziecinny wygląd.

Gdy powóz toczył się po brukowanych ulicach, siedziała sztywno wyprostowana, bawiąc się rąbkiem kolorowego szala. Ani myślała zaszczyć go spojrzeniem.

- Panno Beaumont... Camillo, mogę zwracać się do pani po imieniu? - zapytał Gabriel i nie czekając na zezwolenie, ciągnął: - Jestem ci wdzięczny, że zechciałaś oderwać się na jakiś czas od szycia worków specjalnie po to, by mi towarzyszyć i pomóc.

Ironia poskutkowała. Udało mu się wreszcie ściągnąć na siebie jej uwagę. Popatrzyła na niego z niechęcią.

- Może mnie pan nazywać, jak się panu podoba, byle zostawił mnie pan w spokoju.

- Zawsze uciekasz, gdy trzeba stawić czoło problemom? W świetle twoich nocnych wyczynów nie pomyślałbym, że jesteś tchórzem.

- Proszę mnie wypuścić. - Siegnęła do klamki.

Gabriel popuścił wodze i gwizdnął. Wystraszony koń pognął przed siebie.

- O nie. Tak łatwo się nie wymigasz. Porozmawiamy, czy ci się to podoba, czy nie.

- Podobno chciał pan odwiedzić szpital.

- Do szpitala też pojedziemy. Najpierw jednak odpowiesz mi na kilka pytań.

Nie mam pojęcia, co robiłaś na statku przebrana za chłopca, ale wzięłaś coś, co należy do mnie, i chcę, żebyś mi to zwróciła.

- To pan wsunął mi to do kieszeni, wielbny Lelandzie - zauważyła z przekąsem Camilla. - A skoro już o tym mowa, ciekawa jestem, co pan robił w nocy w takim miejscu? Ponoć jest pan duchownym?

Zerknął na nią z ukosa.

- Już ci mówiłem. Szukałem kuzynki. Miałem odmówić pomocy zbłąkanej duszy? Czasem trzeba....

- Och, doprawdy! - Prychnęła ze złością. - Nie jestem pierwszą naiwną. Nie wiem, kim jesteś, przemytnikiem niewolników, alkoholu czy co tam jeszcze można przemycać, ale z pewnością nie jesteś duchownym!

Tym razem spojrzał na nią z niekłamanym podziwem.

- Nie owijasz w bawełnę. Skąd ci przyszło do głowy, że nie jestem tym, za kogo się podaje?

- Zapamiętałam, jak mnie obłapiałeś na statku. Trzeba czegoś jeszcze? Poza tym jesteś zbyt młody i zbyt... - Powstrzymała się w ostatniej chwili i sięgnęła dłonią do kapelusza.

Na twarzy Gabriela pojawił się drwiący uśmieszek.

- Wygląd bywa zwodniczy. Sama wiesz to najlepiej. Zajrzałaś chociaż do tego pisma, które na swoje nieszczęście dałem ci przez pomyłkę?

- Oczywiście, że zajrzałam.

- I co to według ciebie było?

- Wyglądało na kazanie.

- Właśnie. Wyglądało na kazanie, bo to jest kazanie. Napisałem je na swoje pierwsze nabożeństwo, które mam odprawić w sobotę w kościele metodystów. Rzecz jasna, mógłbym ułożyć je od nowa, proszę cię jednak najuprzejmiej, jak potrafię, byś mi je zwróciła.

- Może i jesteś kaznodzieją, ale z pewnością nie prawdziwym sługą bożym.

- A ty może i jesteś kobietą, ale z pewnością nie damą.

Fuknęła ze złością, po czym odsoniła zęby w szerokim uśmiechu. Na jej policzku pojawił się uroczy dołek.

- Zupełnie jakbym słyszała babcię. Popatrzył na nią w niemym osłupieniu.

- Gdzie jest ten szpital? - warknął poirytowany.

- Zaraz za rogiem. Skręć w następną ulicę.

- Przecież to Akademia Bartona.
- Zgadza się. Przed wojną to była akademія, a teraz jest szpital. Podobno jesteś nietutejszy?

- Mieszkałem tu, gdy uczęszczałem do szkoły.
- Naprawdę? Może znasz mojego brata, Jamiego?
- Owszem, ale nie sądzę, by mnie pamiętał. Obracaliśmy się w innych kręgach. - Gabriel zatrzymał powóz na dziedzińcu szpitala i pomógł Camilli wysiąść. - Poznałem za to twojego kuzyna, Harry'ego.

- Och! - Przypadła do niego i chwyciła go za rękę. - Wiedziała, że to musi być wiadomość od niego! Nie wiem tylko, jak ją odczytać. Proszę, pomóż mi ją rozszyfrować!

Minęła spora chwila, nim pojął, że wzięła kazanie za list od krewniaka. Rozejrzał się dookoła. Po placu kręcili się odwiedzający oraz personel medyczny.

- To nie jest odpowiednie miejsce do rozmowy. Cała w pąsach puściła jego dłoń.

- Przepraszam. Tak dawno nie miałam od niego żadnych wieści... - Poprawiła szal. - Wejźmy do środka. Babka prosiła, bym przedstawiła cię doktorowi Kinchowi, administratorowi szpitala.

Gabriel wspinał się za Camillą po schodach, czując, że tężeją mu wszystkie mięśnie. Konfrontacja z Kinchem była nieunikniona. Niemal się na nią cieszył.

Doktor Joseph Kinch podał rękę Gabrielowi i uśmiechnął się do jego towarzyszki.

- Panna Beaumont i pani St Clair to nasze dobre dusze. Obie regularnie nas odwiedzają i niestrudzenie organizują zbiórki pieniędzy na rzecz szpitala - wyjaśnił i uszczypnął Camillę w policzek. - Prawdziwe anioły miłosierdzia.

- Podobnie jak pan, doktorze. - Gabriel skłonił się lekko. - Pańskie zasługi są powszechnie znane.

Camilla otworzyła usta, by zapytać, czy panowie się znają, ale w spojrzeniu Gabriela było coś, co kazało jej się powstrzymać. Uznała, że chodzi o sekrety i postanowiła być ostrożna.

- Słyszałem o pańskich badaniach nad przyczynami i leczeniem żółtej febry. Często udzielam ostatniej posługi jej ofiarom i wspieram pogrążonych w żalobie krewnych. Zdaje się, że owa straszna choroba zebrała wśród młodych mężczyzn nie mniejsze żniwo niż wojna.

- Niestety, to prawda. Postawiłem sobie za cel, że wytypię tę podstępłą zarazę. Mam pewne podejrzenia co do jej źródła, pozostaje mi jeszcze udowodnić, że się nie mylę.

- W Bogu nadzieja, że się panu powiedzie. Będę się za to modlił. Wielu moich byłych parafian wyraziło chęć wsparcia pańskich badań datkami. Ma się rozumieć, kiedy wojna przestanie pustoszyć gospodarkę Południa.

- Obecnie największą bolączką jest to, że straciłem większość obiecujących studentów - odrzekł z westchnieniem doktor Kinch. - Odkąd zostali powołani do wojska, nie mam zbyt wiele czasu na pracę w naukową. Odwiedzam laboratorium sporadycznie w przerwach pomiędzy prowadzeniem szpitala a zaopatrywaniem chirurgów polowych. Co gorsza, coraz bardziej brakuje nam leków. Szczególnie trudno jest zdobyć chininę.

- Czy to znaczy, że liczba przypadków żółtej febry ostatnio wzrosła? - wtrąciła się do rozmowy Camilla.

- Obawiam się, że tak. Od kapitulacji Nowego Orleanu, kiedy do Mobile zaczęli masowo napływać uchodźcy, szpital jest pełny, często nawet przepełniony. Naturalnie nie możemy odmówić tym biedakom pomocy, niemniej...

- Pańskie miłosierdzie jest doprawdy godne uznania. - Gabrielowi bezwiednie zadrżały usta, gdy wypowiadał te słowa.

Camilla spojrzała na niego zdziwiona.

- Wielebny Lelandzie, obiecałam rannym żołnierzom, że przeczytam im listy z domu. Nie powinniśmy zajmować doktorowi Kinchowi więcej czasu.

- Istotnie, panno Beaumont, prawdziwy z pani anioł - odparł z ironią. - Doktorze, to dla mnie zaszczyt, że mogłem pana poznać.

Udali się na oddział znajdujący się na parterze. Obcowanie z ciężko rannymi i chorymi zawsze było dla Camilli ciężkim przeżyciem, mimo to przychodziła do szpitala regularnie. Wprawdzie nie była przeszkoloną pielęgniarką, lecz nikomu to nie przeszkadzało. Lekarze chętnie przyjmowali każdą dodatkową pomoc. Tym razem było jej jeszcze ciężej niż zwykle. Cały czas miała bowiem świadomość obecności Gabriela, który stapał z wolna tuż za jej plecami. Zatrzymała się przy łóżku siedmioletniej dziewczynki, która zaplątała się w zwój drutu kolczastego i mocno poraniła sobie nogę.

- To Lecy Carrolton, która... - Urwała, gdy Gabriel ujął ją za łokieć i bezceremonialnie odsunął na bok.

- Dzień dobry, kruszyno - odezwał się łagodnie, klękając u wezgłowia. - Przyśniło ci się coś złego? - zapytał, odgarniając małej pacjentce włosy z czoła. Na jej twarzy malował się nieopisany ból. Zatrzepotała z wysiłkiem rzęsami i uchyliła powieki.

- Tak, proszę pana. To był okropnie zły sen...

- Od jak dawna jest w takim stanie?

Gabriel ostrożnie przesunął opuszkami palców po opuchniętej, podrażnionej skórze wokół opatrunku.

- Ojciec przyniósł ją ponad tydzień temu - odparła Camilla. - Lekarze się starają, ale nic nie pomaga. Mówią, że trzeba będzie... - Zamilkła i pogłaskała stopę Lecy. - Potrzebna jej nasza modlitwa - dodała.

- Potrzeba jej czegoś więcej niż modlitwy. - Gabriel rozejrzał się po sali i przywołał starego pielęgniarza w poplamionym kitlu. - Proszę przynieść mi trochę...

- Urwał, napotkawszy wzrok Camilli, która wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Potem przeczesał dłonią włosy i westchnął.

- Kim ty naprawdę jesteś? - zapytała szeptem. Zerknął na cierpiącą dziewczynkę.

- Gdyby ci partacze przed każdą operacją myli narzędzia kwasem karbolowym, nie wdawałaby się gangrena. Wiem to, bo... bo przyglądałem się chirurgom polowym przy pracy.

- Doktor Kinch to jeden z najlepszych medyków na Południu. Jestem przekonana, że robi, co w jego mocy.

- Z pewnością. Robi wszystko, co w jego mocy, by wypchać sobie kieszenie.

Gabriel poderwał się i podszedł do drzwi. Camilla pobiegła za nim i chwyciwszy go za ramię, zajrzała mu w twarz.

- Nie pozwolę ci tak mówić o najznakomitszym lekarzu, jaki kiedykolwiek pracował w tych stronach. Nawet go nie znasz.

Świdrował ją chwilę nieprzenikniętym wzrokiem.

- Istotnie. Nie znam go.

Opuściła dłoń.

- Co to jest kwas karbolowy? Ta nazwa brzmi dość groźnie.

Odetchnął głęboko i odwrócił głowę.

- To środek odkażający. Jeśli czyści się nim narzędzia i przemywa rany, powstrzymuje zakażenia.

- Sądzisz, że moglibyśmy zdobyć trochę tego specyfiku? Może doktor Kinch nie wie, że coś takiego istnieje?

- Może. - Milczał przez długą chwilę, a potem rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

- Chciałbym pomóc tej dziewczynce, panno Beaumont, ale cóż, jestem tylko wędrownym kaznodzieją. Jeśli chcesz się rozpytać o kwas karbolowy, droga wolna. Kiedy będziesz go miała, postaram się przekonać waszego słynnego doktora, by go użył - powiedział oficjalnym tonem.

- Skoro istnieje sposób, by wyleczyć Lecy, powinniśmy...
- Powinniśmy, szkopał jednak w tym, że chcieć, nie zawsze znaczy móc.

W drodze powrotnej oboje milczeli. Nie wiedzieć czemu Camilli zrobiło się bardzo ciężko na sercu. Żywiła szczerą nadzieję, że jej zgryzota nie ma nic wspólnego z tym, jak potraktował ją wielebny Gabriel Leland. Poczula się tak, jakby zatrzasnął jej przed nosem drzwi.

Słońce miało się ku zachodowi, a nad bagnami zaczynały krążyć kłęby komarów, kiedy Gabriel zmierzał konno do chaty stryja Dirona. Nie mógł przestać myśleć o dziewczynce z zainfekowaną nogą. To okropne, że bez odpowiednich leków tak niewiele można dla niej zrobić. Miał nadzieję, że Camilli uda się zdobyć niezbędny specyfik. Wtedy zastanowi się nad ryzykiem. Był w pełni świadom, że jeśli zanadto zwróci na siebie uwagę doktora Kincha, może być zmuszony do ujawnienia swojej prawdziwej tożsamości.

Uwiązawszy konia, minął na ganku wychudzonego psa i wszedł do środka. Nie silił się na pukanie do drzwi. O tej porze dnia gospodarz i tak zazwyczaj kręcił po podwórzu.

- Stryju! To ja, Gabriel! - zawołał na wszelki wypadek.

Przeszedł przez ciemną izbę, po omacku omijając przeszkody w postaci najrozmaitszych rupieci. Nie zdziwiło go, że nie doczekał się odpowiedzi. Stryj był głuchy jak pień.

Otworzywszy drzwi z moskitierą, wyszedł na tylną werandę.

Siwa głowa Dirona spoczywała na oparciu wysłużonego bujaka, a dziurawe buty opierały się na sosnowej belce podtrzymującej dach. Duże żylaste dłonie dzierżyły nóż oraz kawałek cedru.

Gabriel zbliżył się do fotela i stanął w świetle ustawionej na balustradzie ganku lampy. Starzec podniósł głowę. Pomarszczoną twarz rozjaśnił promienny uśmiech. Odłożywszy nóż, poderwał się z miejsca i zamknął bratanka w niedźwiedzim uścisku, by zaraz potem huknąć go z całych sił w ucho.

- Auu! - jęknął młodszy Lanier, czując, że zakręciły mu się w oczach łzy. - A to za co?

Czarne źrenice Dirona błyszczały pod krzaczastymi brwiami niczym wypolerowany marmur.

- Jeszcze się pytasz za co, gałganie jeden?! Tyle czasu poza domem i nawet do mnie nie napisałeś! I na cóż ci były te twoje uczone nauki, skoro nie potrafisz nawet wziąć pióra do ręki i napisać, że żyjesz?

Gabriel przyłożył dłoń do obolałego ucha.

- Stryju, przecież nie umiesz czytać.

- Wielkie mecyje. A bo to nie znalazłbym kogoś, kto by mi przeczytał? -

Diron wrócił na fotel i wskazał gościowi krzesło.

- Siadaj, chłopcze.

- Przepraszam, że nie dawałem znaku życia - odparł ugodowo Gabriel. -

Doszedłem do wniosku, że nadeszła pora, żebyś ode mnie odpoczął. Sprawiałem ci tylko kłopoty.

- Ba! - prychnął Diron. Najwyraźniej nie zamierzał zaprzeczyć. Sięgnął po kozik i wrócił do rzeźbienia podobizny swego psa Ajaksa. - Zmężniałeś, szczeniaku.

- Zerknął na bratanka z uśmiechkiem. - Panny nadal uganiają się za tobą jak stado gęsi?

- Ostatnio nie mam czasu na kobiety - odrzekł Gabriel, choć przed oczami stanął mu obraz złotoookiej dziewczyny o bujnych lokach.

Prawdę mówiąc, przez ostatnie kilka dni myślał właściwie wyłącznie o tym, że Camilla uznała jego kazanie za wiadomość od Harry'ego Martina. Oznaczało to, że panna Beaumont od jakiegoś czasu koresponduje z oficerem armii federalnej. W dodatku w tajemnicy przed ojcem.

- Muszę cię o coś zapytać, stryju.

- Najpierw mi powiedz, gdzie się podziewałeś przez prawie dziesięć lat, nicponiu. Potem możesz zadawać mi pytania.

- Cóż, początkowo włóczyłem się tu i ówdzie i przepuszczałem ostatnie pieniądze na hazard. Potem stwierdziłem, że robota nie byłaby od rzeczy, więc pojechałem na zachód i pracowałem na ranczach. Tak długo zaganiałem krowy i ujeżdżałem konie, że teraz moje nogi wyglądają jakby były prostowane na beczce.

Diron łypnął na niego z powątpiewaniem.

- Pasłeś bydło? Z twoim wykształceniem?

- Krowy nie dbają o to, czy pastuch recytuje im łacińskie deklinacje, czy raczej je sprośnymi przyśpiewkami. - Gabriel splótł ręce na piersiach. - A wykształcenie zazwyczaj tylko mi przeszkadzało. - Uniósł dłoń, by powstrzymać tyradę stryja. - Nie żałuję, że pobierałem nauki, i jestem ci wdzięczny za to, że dzięki tobie mogłem przejść przez college, a potem studiować. Wiem, ile cię to kosztowało poświęceń, ale... zwyczajnie mi nie wyszło. Przykro mi z tego powodu. - Wstał i oparłszy się o balustradę, zapatrzył się na rzekę. - Rzuciłem medycynę dla religii.

- Co?! - zawołał z niedowierzaniem stryj. - A to niby dlaczego?

- Zapomniałeś, że pod koniec studiów wyrzucili mnie z uczelni? Nie mam ani dyplomu, ani prawa wykonywania zawodu. Musiałem znaleźć sobie zajęcie i zostałem wędrownym kaznodzieją. - Teraz czekała go najgorsza przeprawa. Należało poruszyć drażliwą kwestię nowej tożsamości. - Zmieniłem także nazwisko. Teraz nazywam się Leland.

- Zmieniłeś nazwisko i stałeś się pobożny - wycodził z goryczą Diron. - Nie jestem już dla ciebie wystarczająco dobry, co? Wstydzisz się mnie.

- Wiesz, że to nieprawda, stryju - zapewnił Gabriel. Kusilo go, by wyznać całą prawdę. Diron był wszakże najbliższym mu człowiekiem, przybranym ojcem. Mimo to nie mógł zdradzić mu pewnych tajemnic. - Odnalazłem Boga i pragnę rozpocząć nowy rozdział życia - dodał. - Dlatego chcę się odciąć od przeszłości, od tego, kim byłem kiedyś. To wcale nie znaczy, że nie pozostaniesz moim ulubionym staruszkiem.

Diron uśmiechnął się półgębkiem.

- Ciekawe, co by powiedzieli wierni, gdyby usłyszeli historie twoich dawnych wyczynów.

- Stryju...

- Och, nie obawiaj się. Potrafię trzymać język za zębami.

Gabriel zerknął na krewnego i rozejrzał się dokoła. Nawet w słabym świetle lampy naftowej wokół chaty dało się zauważyć wiele zmian na lepsze. Nowe, świeżo odmalowane schody, łódka zacumowana przy solidnym pomoście, który, gdy go ostatnio widział, był raczej dziurawą kładką...

- Widzę, że nieźle ci się powodzi. Poławianie nie jest chyba aż tak popłatne? Stary wzruszył ramionami.

- Dorabiam u braci Chambliss.

Gabriel wsunął ręce do kieszeni.

- Na Południu ludzie raczej teraz tracą pieniądze, niż je zarabiają.

- Beckham Chambliss to wyjątkowo zmyślny przedsiębiorca. Kuje żelazo, póki gorące, że się tak wyrażę.

- Żelazo powiadasz? Przypuszczam, że warsztaty mechaniczne radzą sobie całkiem nieźle w czasie wojny.

- Dobrze kombinujesz. Sekret tkwi w tym, by zaopatrywać armię we wszystko, co jej potrzebne. Gdybyś chciał zainwestować, mógłbym szepnąć słówko...

- Może... pod warunkiem, że to pewna inwestycja.

- Na tyle pewna, na ile czegokolwiek można być w tych czasach pewnym.

- Hm... Sam nie wiem. - Gabriel udał, że się waha. - Kto jest pomysłodawcą i głównym inwestorem?

- Powiem ci, ale musisz obiecać, że zatrzymasz to dla siebie.

- Masz moje słowo.

Diron zniżył głos do szeptu.

- Jeden z największych akcjonariuszy kolei w Mobile i Ohio.

A zatem, wywnioskował Gabriel, Ezekiel Beaumont siedzi w sprawach konfederatów po uszy, a jego córka przechwyciła poufny dokument przeznaczony dla unitów. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, pomyślał Gabriel, jeśli Camilla pozwoli, by kazanie wpadło w niepowołane ręce.

Rozdział szósty

Portia siedziała przy stole w kuchni, pochylając się nad Biblią. Camilla weszła do środka i usiadłszy w bujanym fotelu przy kominku, sięgnęła po robótkę.

- Co tam, kruszyno? - Gospodyni uniosła głowę znad tekstu. - Który fragment czytasz?

- List do Galarów - Owoce ducha. Czasem muszę je sobie przypomnieć.

- „Miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie. Przeciw takim cnotom nie ma Prawa” - wyrecytowała Camilla. - Tylko dlaczego tak trudno o nie w życiu? - spytała z westchnieniem.

- Dlatego, że można je osiągnąć tylko wtedy, gdy nawiedzi nas Duch Święty - odparła Portia.

Czy wczoraj, gdy byłam z wielbnym Lelandem, zastanawiała się Camilla, dziergając zawzięcie skarpetkę, był ze mną także i Duch Święty? Gabriel bardzo ją zasmucił i wprowadził w zakłopotanie. Do tego stopnia, że przez chwilę nie poznawała samej siebie. Wsunąwszy rękę do kieszeni, dotknęła pisma, które nosiła ze sobą od rana.

- Portio, jeśli ci coś powiem, obiecasz, że mnie nie zrugasz?

- Mogę panience obiecać, że pożałuje panienka, jeśli mi nie powie.

- Tej nocy, kiedy usłyszałam... no wiesz...

Służąca łypnęła na nią spod oka.

- Gdy wróciłam na statek po torbę, ktoś dał mi wiadomość. Myślę, że jest od Harry'ego, ale nie mogę nic z niej wyrozumieć.

Portia zrobiła srogą minę.

- Mówiłam paniczowi Jamiemu, żeby nie zachęcał chłopaka Martinów.

Zwłaszcza teraz, kiedy służy po stronie Północy.

- Tym razem nie przesłał listu przez Jamiego. Właściwie to nawet nie jest list. Nie podpisał się i... Zupełnie nie wiem, jak rozszyfrować tekst.

- Niech mi go panienka pokaże. - Portia rozwinęła kartkę, którą podała jej Camilla. - Nie pojmuję, czemuż to panienka musiała oddać serce temu nicponiowi...

- Przebiegłszy wzrokiem tekst, zmarszczyła brwi. - Jozue i ziemia Kanaan? Co to ma niby znaczyć?

- Nie mam pojęcia. - Camilla zaatakowała drutami włóczkę. - Może wysłali go na misję szpiegowską i chce mi przekazać, że przyjeżdża na Południe?

- Hm... Kto wie? Może to i prawda... Spędził dużo czasu z rodziną panienki, kiedy studiował medycynę. Zna te strony i z pewnością łatwo wtopiłby się w otoczenie. Mam tylko nadzieję, że nie umyślił sobie zatrzymać się u nas. I bez tego mamy dość kłopotów.

- Jak to?

- Plotka głosi, że teraz, gdy poddał się Nowy Orlean, armia federalna niebawem uderzy na Mobile. Abernathy chce zaostrzyć przepisy. Kiedy Willie zawiózł mu whisky, pułkownik zadawał bardzo dociekliwe pytania. Musimy być wyjątkowo ostrożni. Na razie wstrzymano działania. Nie będziemy pomagać Kolei Podziemnej aż do odwołania.

- Nie! Nie możemy zaprzestać...

- Musimy. Ryzyko jest zbyt wielkie. Niech panienka to spali. - Portia oddała jej kazanie i zamknęła Biblię.

Camilla wsunęła kartkę z powrotem do kieszeni.

- Dlaczego nie lubisz Harry'ego? - zapytała z wyrzutem. - Przecież jest po naszej stronie.

Służąca sięgnęła po nóż i zaczęła obcinać nim szypułki truskawek.

- Nie mam nic przeciwko niemu. Szkopuł w tym, że ostatni raz widziała go panienka wieki temu i wydaje mi się, że miesza panienka romantyczne uczucie z polityką.

- A cóż to niby znaczy?

Portia się skrzywiła.

- Pani St Clair jeszcze tego panience nie wytłumaczyła?

- Babcia nie pozwala mi wspominać o Harrym. Och, Portio, tak bardzo chciałabym... Nawet nie wiem, jak ci o tym powiedzieć... - Camilla podeszła do stołu i wyjęła z miski truskawkę. - Harry zawsze mnie słuchał i uczył tego, o czym Jamie i Schuyler nie chcieli rozmawiać. Traktował mnie jak dorosłą, a nie jak dziecko. Mówił, że kiedy będę pełnoletnia, ożeni się ze mną i zabierze mnie do Tennessee, gdzie zimą pada śnieg, a jesienią liście żółkną i opadają z drzew...

- Oj, dziecko, chodź tu do mnie. - Portia przytuliła swoją podopieczną do piersi. - Posłuchaj uważnie, co ci rzeknę. Harry Martin to poza twoimi braćmi jedyny chłopiec, którego lepiej poznałaś. Nie mówię, że nie wyrósł na uczciwego człowieka, ale nie widzieliście się tak dawno... Ile to już czasu upłynęło?

- Pięć lat.

Camilla przytuliła twarz do ramienia gospodyni. Do dziś drżała na wspomnienie dnia, w którym papa dowiedział się o jankeskich sympatiach Harry'ego.

Portia pogłaskała ją po włosach.

- To bardzo długa rozłąka.

- Ale przecież... piszemy do siebie.

Ciemne, pachnące truskawkami dłonie ujęły ją za policzki.

- Dziecko, a jeśli on wykorzystuje cię do własnych celów? Pomyślałaś o tym?

Camilla odsunęła się gwałtownie.

- Nie! To niemożliwe. Harry nigdy by...

- O czym zazwyczaj pisze?

- O tym, jak za mną tęskni. Wspomina też dawne czasy, kiedy się razem bawiliśmy, pyta o moje robótki, o to, jak Schuylerowi wiedzie się w szkole, o wyprawę Jamiego na Kubę...

Objęła się ramionami, przypomniawszy sobie ostatni list kuzyna. Zadawał w nim mnóstwo pytań na temat interesów ojca. Sądziła wówczas, że Harry zwyczajnie troszczy się o rodzinę, teraz nie była już tego taka pewna.

- Nie, on... nie byłby do tego zdolny...

- Oby nie. Tak czy owak, mam nadzieję, że nie zmarnuje panienka życia, czekając na mężczyznę, który własne dobro przedkłada nad dobro panienki. - Portia wróciła do obierania truskawek. - Bóg w swej mądrości z pewnością przeznaczył dla panienki kogoś odpowiedniego.

- Myślę, że Harry jest tym kimś.

Służąca wzruszyła ramionami.

- Będę się za to modlić.

Drzwi otworzyły się z impetem i do izby wpadł Schuyler. Najwyraźniej wracał prosto ze stajni, bo unosił się za nim zapach koni.

- Co dziś na obiad? - Zgarnął ze stołu dwie bułeczki i odskoczył jak oparzony, by umknąć rozgniewanej gospodyni. - Ależ jestem głodny! Zjadłbym konia z kopytami.

- Może nawet całe stado koni, co? - gderała Portia, sprzątnąwszy mu sprzed nosa resztę wypieków. - Paniczowi wiecznie tylko jeść się chce! Myślałby kto, że tu panicza głodzimy. Nie mogę się doczekać, kiedy panicz wreszcie przestanie rosnąć i skończy z zakradaniem mi się do kuchni we dzień i w noc.

Chłopak roześmiał się i chwyciwszy Camillę w pasie, zakręcił nią w powietrzu.

- Schuyler, puść mnie! Ściskasz mnie tak, że za chwilę ujdzie ze mnie życie.

- Przerosłem Camillę już rok temu. - Mrugnął do Portii. - Niedługo przerosnę i ciebie i będę mógł zarzucić cię sobie na ramię.

- Ha! Chciałabym to zobaczyć. Niech no panicz lepiej postawi siostrę na ziemi i pójdzie pomóc babci zejść ze schodów. Dzwoniła kilka minut temu.

Schuyler upuścił Camillę z takim łomotem, że aż zazgrzytała zębami. Trzepnęła go za karę w kościste ramię i mamrocząc pod nosem, zabrała się do składania serwetek.

- Zaraz pójde, ale najpierw przekażę wam nowiny. Widziano w pobliżu statek Jamiego! Jakiś inny statek, któremu udało się ominąć blokadę, wrócił niedawno do zatoki. Kapitan twierdzi, że „Lady Camilla” jest niedaleko i jeszcze dziś wpłynie do portu.

Camilla w jednej chwili zapomniała o swoich zmartwieniach.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknęła z ulgą.

- Podobno płyną powoli - kontynuował Schuyler. - Nie rozwinęli wszystkich żagli, ale kadłub wydaje się nieuszkodzony. Może mają duży załadunek.

Portia zacisnęła powieki.

- Niech ich Bóg prowadzi.

- Niniejszym otwieram posiedzenie Miejskiego Stowarzyszenia Pomocy Wojsku i Organizacjom Misyjnym - wygłosiła podniosłym tonem pani Chambliss.

Damy zebrane w saloniku pani St Clair natychmiast umilkły i wyteżyły słuch.

- Mój zięć - zaczęła gospodyni - zgodził się przewieźć zgromadzone przez nas zapasy żywności następnym transportem do Missisipi. Trzeba tylko wszystko zapakować, opisać i załadować do pociągu. Nie mamy zbyt wiele czasu, drogie panie. Pora zabrać się do pracy. - Na wszelki wypadek starsza pani przebiegła groźnym wzrokiem po twarzach pozostałych kobiet, aby zapobiec ewentualnym wykrętom.

Przelekła się nawet opieszala zazwyczaj Lottie Chambliss.

- Gdzie i kiedy mamy się zgłosić?

- Prowiant został złożony w magazynie kolejowym, proponuję więc, żebyśmy spotkały się na miejscu. - Pani St Clair przyłożyła palec do ust i zamyśliła się na

chwile. - Przyszło mi na myśl, że przydałoby się nam kilku mężczyzn do pomocy.
Camillo!

- Tak, babciu? - Camilla aż podskoczyła na krześle.

- Skontaktuj się, proszę, z wielbnym Lelandem i poproś go o pomoc.

Zaczynamy jutro z samego rana.

- Nie wystarczą nam Horace i Willie? - Camilla miała dość towarzystwa fałszywego kaznodziei. Wolałaby go przez jakiś czas nie oglądać.

- Będą zajęci czym innym - upierała się pani St Clair. - Poza tym drogi Gabriel sam mnie wielokrotnie namawiał, bym wezwała go bez wahania, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Skoro ty nie chcesz, może Fanny z nim porozmawia?

Panna Chambliss jak na zawołanie zrobiła przymilną minę.

- Chętnie wyęcę Camille...

- Nie o to idzie! - Camilla posłała jej rozdrażnione spojrzenie. - Po prostu pomyślałam, że nie należy nadużywać jego uprzejmości - dodała z przesłodzonym uśmiechem.

Przez chwilę wydawało się, że Fanny gotowa jest walczyć o Lelanda. Spór został jednak zażegnany przez jej matkę.

- Moja Fanny nie ugania się za młodymi mężczyznami - stwierdziła dobitnie, mierząc córkę pełnym przygany wzrokiem. - Prawda, kochanie?

Młodsza przedstawicielka rodu Chamblissów sprawiała wrażenie kompletnie osłupiałej.

- Naturalnie, mamó. - Skromnie pochyliła głowę, a rodzicielka poklepała ją czule po dłoni. - Może naleję nam herbaty?

- Trzymajże to w miejscu, chłopcze! Nie uczyłem cię, żebyś skakał po całej izbie niczym przypiekany na patelni chrabąszcz.

Gabriel chwycił mocniej cęgi i otarł nadgarstkiem pot z czoła. W zakładzie braci Chamblissów było gorąco jak w piekle. Stryj ściągnął go tu do pomocy.

- Mówiłeś, że mamy tylko sprawdzić, jak idą prace nad nowym projektem. Nie wspominałeś, że chcesz zamęczyć na śmierć kowadło.

Diron jeszcze raz uderzył ogromnym młotem, po czym obejrzał z bliska wygiętą płachtę metalu.

- Kiedy byłeś ledwie wyrostkiem, uwielbiałeś przychodzić ze mną do kuźni. Całymi godzinami wykuwaliśmy noże i tomahawki. Ta twoja świątobliwa profesja zrobiła z ciebie mięczaka.

- Może i tak.

Gabriel rozprostował odrętwiałe ramiona i rozejrzał się dookoła. Wnętrze warsztatu istotnie przywoływało w pamięci miłe wspomnienia. Nie miał jednak czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Był umówiony z Delią przed szpitalem, gdzie niebawem miała się odbyć cotygodniowa inspekcja wojsk konfederatów. Sięgnął po szmatę i zaczął wycierać ręce.

- Skoro mowa o pracy, na mnie już pora. Muszę odwiedzić w szpitalu pewną pacjentkę.

Stryj spojrział na niego z niedowierzaniem i wzruszył ramionami.

Gabriel wyszedł na zewnątrz. Tuż za progiem stała beczka z deszczówką. Naczerpawszy wiadro wody, wrócił do środka i przelał wodę do miednicy stojącej w odległym krańcu warsztatu. Gdy namydlał ramiona i tors, dostrzegł na stole zmiętą kartkę papieru, a na niej precyzyjne rysunki nakreślone ręką stryja. Przedstawiały ten sam trójwymiarowy przedmiot w kilku rzutach. Wyglądało to prawie jak kocioł, nad którym pracował właśnie Diron, choć gołym okiem widać było także znaczące różnice. Przede wszystkim zauważył coś na kształt włazu i steru, po bokach tkwiły zaś pociski! Wpatrywał się w szkic jak urzeczony, aż nagle doznał olśnienia. To właśnie była wyposażona w torpedy łódź! A jej budowę finansował Ezekiel Beaumont.

Świerzbiły go ręce, by zabrać projekt. Po namyśle uznał, że być może dowie się więcej, jeśli będzie bacznie śledził poczynania stryja. Poza tym chciał zobaczyć

gotową łódź, przekonać się na własne oczy, czy rzeczywiście spełnia zadania, które powstały w zamyśle jej pomysłodawców. Teraz jeszcze bardziej niż przedtem miał ważki powód, by kręcić się w pobliżu Camilli Beaumont.

Kiedy wczesnym popołudniem Camilla szykowała się do wyjścia, zauważyła, że przed domem szwenda się Virgil ze swoją nieodłączną mulicą. Poglaskała zwierzę po łbie i nakarmiła je wyjętą z bukiecika gardenią. Starzec obdarował ją uśmiechem pełnym uwielbienia.

- Candy to dopiero panienkę lubi. Jak nic uważa, że panienka to najcudniejsza istota pod słońcem! A to ci śliczniuteńka koszulina! Gari... gari... no... jakże je tam zwać?

- Garibaldi* - Camilla skubnęła cienki czerwony rękaw. Bluzka miała już kilka lat, ale wciąż uwielbiała ją nosić. Dała Candy kolejnego kwiatka. - Virgil, znasz wielebnego Gabriela Lelanda?

Byrd podrapał się po głowie.

- To ten, co to parę dni temu zjechał do miasta na takim ładniutkim gniadoszu? W jednej kieszeni miał Biblię, a w drugiej broń?

- Zgadza się. To on.

- Lubię gagatka! Był bardzo miły dla Candy. Oddał mi torbę z gazetami i ostrygi mi kupił...

* *Garibaldi blouse* (ang.) - luźna bluzka z długimi rękawami i kołnierzykiem w kształcie stójki, szyta na wzór czerwonych flanelowych koszul będących częścią umundurowania żołnierzy Garibaldiiego, noszona przez kobiety w czasach wojny secesyjnej (przyp. tłum.).

- Oddał ci moją... twoją torbę? Skąd ją miał?

- A bo to ja wiem? Oddał, jak mu powiedziałem, gdzie panienka mieszka.

Bardzo miły typek.

„Typek” jak najbardziej, ale z pewnością nie „miły”, pomyślała Camilla. Było to ostatnie słowo, jakim określiłaby kłamliwego kaznodzieję.

- Wiesz, gdzie go mogę znaleźć?

- Mieszka w tym dużym starym hotelu przy ulicy Government.

- W Battle House?

- No, ale teraz go nie ma. Jest w szpitalu.

- W szpitalu? - powtórzyła z zapartym tchem. - Coś mu się stało?

- Gdzie tam! Z wizytą poszedł. Poprosił, żebym mu wykombinował trochę kwasu karbolowego, to mu wykombinowałem.

- Naprawdę? Jak ci się udało go zdobyć?

- To nic trudnego. Jak się ma coś na wymianę, można wszystko załatwić. -

Spojrzał na nią stropiony. - Gdybym wiedział, że panienka też potrzebuje, nie dałbym mu całego flakonu.

- Nie szkodzi. Przypuszczam, że o wiele lepiej niż ja wie, jak zrobić z niego użytek. - Camilla wciągnęła rękawiczki. - Idę teraz do szpitala, ale mam do ciebie prośbę.

- Trzeba panienkę podwieźć? Candy byłaby zaszczycona...

- Nie, dziękuję. Chciałabym, żebyś poszedł na nabrzeże i wypytał o statek Jamiego. Sprawdź, czy wpłynął wczoraj do portu.

- Już się robi. Panienko?

Zatrzymała się na ścieżce prowadzącej do drogi.

- Co takiego, Virgil?

- Candy mówi, że w tej czerwonej koszulinie wygląda panienka apetycznie jak wisienka.

Gabriel odniósł wrażenie, że całym Mobile owładnęła militarna gorączka. Siły konfederatów wyległy w komplecie przed budynkiem, w którym obecnie mieścił się szpital, i zajęły dwie ulice. Niemal we wszystkich oknach i powozach powiewały flagi Południa. Wiele kobiet nosiło ich małe repliki naszyte na wstążkach lub

rękawach sukien. Piątkowe inspekcje były doskonałą okazją do zmanifestowania uczuć patriotycznych, Gabrielowi zaś oglądanie musztry dawało sposobność do zapamiętania numerów szwadronów oraz nazwisk ich dowódców. Zamierzał umieścić je w kolejnym meldunku dla admirała Farraguta.

- Miło widzieć cię w dobrym zdrowiu, drogi kuzynie.

Uklonił się Delii z kpiącym uśmiechem.

- Podobają ci się nasi dzielni wojacy?

- Och, niebywale. - Rzuciła mu wyzywające spojrzenie spod lekko przymkniętych powiek. - Mój pobyt w Mobile okazał się dzięki nim wyjątkowo opłacalny. - Zerknęła na płócienny woreczek w jego dłoni. - Co to takiego?

Był to kwas karbolowy od Virgila, który Gabriel zamierzał zanieść do szpitala. Żywił nadzieję, że jeszcze zdoła uratować dziewczynkę.

Delia nie musiała jednak wiedzieć, że marnuje czas, uganiając się za lekarstwami.

- To prezent. Wybieram się do kogoś z wizytą do szpitala. - Zmarszczył brwi, przyjrząwszy się jej kapeluszu, skromnej sukni i praktycznym butom. Gdyby nie jej dorodna figura i nieprzeciętnie urodziwa twarz, bez trudu wmieszałyby się w tłum przybyłych na defiladę kobiet.

- Rozumiem, że postanowiłaś dobrze się prowadzić?

- Jestem wzorem przyzwoitości - potwierdziła panna Matthews. - Kobieta, którą przysłałeś, by mnie miała na oku, okazała się nad wyraz skwapliwa. Musiałam użyć całej swojej pomysłowości, żeby jej się wymknąć. Chciała mnie ze sobą zabrać na jakieś zebranie szwaczek. Wyobrażasz sobie? Ja miałabym szyć kołdry z panią Chambliss!

- Trzeba było z nią pójść. Może dowiedziałybyś się czegoś ciekawego.

- Och, wierz mi, już dowiedziałam się aż za wiele. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak te damulki uwielbiają plotki. Wszystko wskazuje na to, że mój statek jutro wypływa z portu. Nie zostało ci zatem wiele czasu, drogi kuzynie.

- Nie możesz jeszcze wyjechać. - Przysunął się i zniżył głos do szeptu. -
Mógłbym napisać kazanie od nowa, obawiam się jednak, że pewnych rzeczy nie da
się odtworzyć. Daj mi jeszcze dwa dni.

- Nie mogę, Gabriel. - Spojrzała na niego łagodniejszym wzrokiem. - Wiesz
przecież, że Farragut mnie oczekuje.

Istotnie, admirał spodziewał się jej meldunku lada chwila. Nie ma innej rady.
Będzie musiał odzyskać zaszyfrowaną wiadomość, choćby przyszło mu uciec się do
porwania Camilli Beaumont.

- Dobrze. Spotkamy się o zmroku na nabrzeżu.

- Proszę cię, nie zrób tylko czegoś, co mogłoby narazić naszą misję na
szwank.

- Zwracam ci uwagę, że to nie ja dałem się aresztować. Mam coś do
załatwienia. Trzymaj się z dala od kłopotów. Zobaczymy się wieczorem.
Tymczasem.

- Bądź ostrożny - powiedziała na pożegnanie Delia i zniknęła w tłumie kobiet
pozdrowiających żołnierzy.

Gabriel odsunął od siebie myśl o utraconym raporcie i udał się do szpitala.

Lecy leżała na pościeli, bawiąc się szmacianą lalką. Była blada, ale o wiele
mniej apatyczna niż poprzednim razem. Spojrzał na jej nogi i odetchnął z ulgą. Na
szczęście pozostały nietknięte.

- Dzień dobry - przywitał się. - Jak się dzisiaj czujesz? Wielkie niebieskie
oczy rozjaśniły się radosnym blaskiem.

- Wielebny Gabriel! Niedługo wyzdrowieję. Noga już mnie nie boli. Przestała
zaraz po tym, jak mnie wielebny odwiedził. A dziś przyszła do mnie panna Camilla.

- To miło. - Przykucnął obok łóżka i wziął do ręki lalkę. - Gdzie twoja mama?

- Z braćmi i siostrzyczkami. Muszę szybko wracać do domu, żeby ich
pilnować, gdy mamusia pracuje w polu.

- Leczy ma siedmioro rodzeństwa. - Z drugiej strony łóżka pojawiła się Camilla Beaumont. - Urodziła się druga w kolejności. Najstarsze dziecko często choruje, więc to ona najczęściej pomaga rodzicom.

Rozjaśnione słońcem pszeniczne loki okalały twarz Camilli niczym aureola. Jaskrawoczerwona bluzka podkreślała zdrowe rumieńce na policzkach. Z trudem oderwawszy od niej wzrok, Gabriel spojrzął na dziewczynkę.

- Czuję się dziś o wiele lepiej, Bogu dzięki. - O dziwo mówił zupełnie szczerze. Naprawdę był wdzięczny stwórcy za ten mały cud i trochę go to przeraziło. Zdziwiony tym niespodziewanym przyływem emocji, odchylił pospiesznie kołdrę i odwinął bandaż. Po infekcji nie zostało ani śladu.

- Niedługo będzie całkiem zdrowa.

- Nie udało mi się zdobyć kwasu karbolowego, ale przychodziłam codziennie, żeby przemywać ranę. Zdaje się, że pomogło.

Pokazał jej woreczek, który położył na podłodze.

- Ja trochę przyniosłem. Byłem pewien, że zamierzają amputować nogę. - Nie lada zdumiony założył z powrotem opatrunek. Może jednak modlitwy Camilli zostały wysłuchane.

- Młody człowieku, proszę natychmiast odejść od łóżka - dobiegł ich pełen złości głos. - Przekracza pan swoje uprawnienia.

Doktor Kinch nie ukrywał oburzenia.

- Mogę wiedzieć, kto pana upoważnił do tego, by narażać zdrowie mojej pacjentki?!

Doprowadzony do ostateczności Gabriel poderwał się na nogi.

- Powiem panu, kto mnie upoważnił, Bóg Wszechmogący! A może pan ma większą władzę niż stwórca, doktorze?

Lekarz otworzył usta i natychmiast je zamknął. Camilla uśmiechnęła się półgębkiem i zajęła się poprawianiem pościeli.

- Zapewniam pana, że wielebny Leland nie miał złych intencji - wzięła w obronę Gabriela. - Po prostu... oboje nie mogliśmy wyjść z podziwu, jak szybko Lecy zdrowieje.

- Ach tak - burknął doktor Kinch. - Mimo wszystko nie powinniście byli zdejmować bandaża. Zanieczyszczone powietrze szkodzi otwartym ranom.

Gabriel podał doktorowi środek odkażający.

- Wiem skądinąd, że lekarze polowi używają tego specyfiku, by zmniejszyć ryzyko zakażeń. Proszę to przyjąć jako gest dobrej woli z mojej strony. - Zmusił się, by nadać głosowi pojednawczy ton. - Proszę mi wierzyć, nie chciałem zrobić niczego, co mogłoby spowolnić rekonwalescencję Lecy.

Kinch wziął do ręki woreczek, lecz nie potrafił ukryć rozdrażnienia.

- Zapewniam, że nie wątpię w pańskie szlachetne zamiary - rzekł.

Tymczasem pacjentka chwyciła Camillę za rękę.

- Obiecała pani przynieść mojej lali nową sukienkę.

Kinch na wszelki wypadek obejrzał opatrunek i odszedł, wymówiwszy się obowiązkami. Camilla podarowała uradowanej Lecy miniaturowe ubranko z tafty. Porozmawiali z dziewczynką o jej licznym rodzeństwie, a potem odwiedzili innych chorych. Przy niektórych łóżkach przystawali na dłużej, by się pomodlić, przeczytać rannemu list lub porozmawiać i pocieszyć tych, którzy cierpieli najbardziej. Choć Camilla była wobec pacjentów bardzo troskliwa i poświęcała im niemal całą uwagę, spojrzenie bursztynowych oczu błędziło czasem w kierunku Gabriela. Przyłapał ją na tym kilka razy. Sprawiała wrażenie, jakby chciała go o coś zapytać.

Raz kozie śmierć, pomyślał zdecydowany przejąć inicjatywę. Najwyżej mu się oberwie. Ujął ją za łokieć i pociągnął za sobą na balkon wychodzący na ulicę Government. Wojsko powoli kończyło musztrę i rozchodziło się do koszar położonych na obrzeżach miasta. Silny wiatr znad zatoki powiał wprost na Camillę i zdmuchnął do tyłu jej obszerną spódnicę i bluzkę. Poczowała się nieprzyzwoicie

obnażona. Gabriel dostrzegł jej zakłopotanie i uśmiechnął się, by pokryć własne zmieszanie.

- Zachodzisz do szpitala codziennie?

- Tylko wtedy, gdy jest tu ktoś, z kim muszę się spotkać. Zmarszczył lekko brwi.

- Przyszłaś dziś za mną?

- Cóż, można to tak ująć. - Oparła się o balustradę. - Babcia kazała mi zapytać, czy zechcesz pomóc nam przy załadunku żywności, którą zgromadziłyśmy dla potrzebujących.

- Pani St Clair, zdaje się, sądzi, że cierpię na nadmiar wolnego czasu. A ty, jak widać, wolałabyś, żeby znalazła sobie innego posłańca. Och, panno Camillo, ranisz moje uczucia.

- Jestem przekonana, że nie dbasz o to, czy darzę cię sympatią. - Odwróciła głowę i pokazała mu profil. - Mam powiedzieć, że przyjdiesz?

- Kiedy i gdzie?

- Jutro rano w składzie kolejowym. Ojciec oddał nam do dyspozycji jeden wagon pociągu, który rusza w południe w kierunku Północy. To ostatni w tym tygodniu.

- Chętnie pomogę.

- Dobrze, przekażę babci. Wielebny Le... to znaczy... Gabrielu, chciałam cię o coś zapytać.

- Tak? - Przysunął się na tyle, na ile pozwalała jej spódnica, pod którą kryła się nakrochmalona halka. - Co chciałabyś wiedzieć?

Westchnęła i obróciła w palcach kolczyk.

- Chodzi o mojego kuzyna, Harry'ego... Proszę, powiedz mi, co u niego? Czy jest cały i zdrowy? Czy myśli o mnie czasem?

Gabriel zapragnął nagle znaleźć się w skórze Martina. Gdyby to w nim kochała się taka dziewczyna jak Camilla Beaumont...

- Nie zaprzeczyłem wcześniej, kiedy myślałaś, że to Harry napisał kazanie, które ci dałem. Zrobię to teraz. Wierz mi, twój kuzyn nie miał z tym nic wspólnego.

- Utkwił wzrok w twarzy Camilli i dodał stanowczo: - Dawno go nie widziałem i nie mam pojęcia, gdzie przebywa. Rzekłbym, że nasze poglądy polityczne są zgoła odmienne.

Popatrzyła na niego w milczeniu. Wyczuł, że cała drętwieje z rozczarowania i żalu.

- Nie wątpię, że się w tym względzie różnicie... A jak usprawiedliwisz swoje postępowanie z Virgilem? - rzuciła oskarżycielsko. - Przekupiłeś niewinnego, prostodusznego włóczęgę, żeby wyciągnąć z niego informacje.

Delia miała rację. Współczucie i litość to źli doradcy. Kiedy sobie na nie pozwala, spotykają go same kłopoty. Ostatnio dręczyły go pytania, na które wolał nie odpowiadać i które coraz częściej spędzały mu sen z powiek. Czasem wydawało mu się, kieruje nim jakaś wyższa, niewidzialna siła.

- Po pierwsze, Byrd jest mniej więcej tak niewinny i prostoduszny jak grzechotnik. Po wtóre, wcale go nie przekupiłem. Kupiłem mu tylko solidny posiłek, podczas którego napomknął, że cię zna.

Prychnęła z niedowierzaniem, ale nie zamierzał się tym przejmować.

- Znalazłem w ładowni jego torbę. Rozpoznał ją i zaczepił mnie na ulicy, więc postanowiłem mu ją oddać.

Posłała mu przenikliwe spojrzenie, lecz zanim zdążyła wznowić przesłuchanie, na ulicy rozległy się rozzwierające wrzaski i porykiwania.

Oboje wychylili się za barierkę balkonu i spojrzeli w dół. Tuż pod nimi Virgil Byrd szamotał się w bramie z wielce niezadowoloną mulicą. Trudno było określić, czy próbowali wejść, czy też wyjść.

Zbiegli pospiesznie po schodach

- Co cię sprowadza, Byrd? - wtrącił zniecierpliwiony Gabriel.

Virgil natychmiast się ożywił i wypiął dumnie pierś.

- Panienska kazała się dowiedzieć, co ze statkiem pana Jamiego, to się dowiedziałem. „Lady Camilla” stoi w porcie i owszem, tyle że nie pozwalają nikomu zejść na ląd, bo ponoć wszyscyuteńkich na pokładzie wzięła żółta febra. Camilla zadrżała z przerażenia.

- Gdzie dokładnie cumuje statek? - zapytał Gabriel, ujmując ją delikatnie pod łokieć.

- W Forcie Morgan. Powiadają, że cała załoga jak nic umrze, bo w promieniu stu mil nie ma ani krztyny chininy, a nawet gdyby była, to nikt zdrowy na umyśle nie wniesie jej na statek, na którym panuje zaraza.

- Ale przecież żółtą febrę roznoszą... - Gabriel powstrzymał się w samą porę. - To znaczy, że nie doszło nawet do rozładunku?

- A jakie to ma znaczenie? - zdenerwowała się Camilla. - Nie możemy pozwolić im umrzeć! Tylko to się liczy! Znajdę tę chininę, choćbym miała wydobyć ją spod ziemi. Virgil, wracaj na nabrzeże, może dowiesz się czegoś więcej. - Uwolniła się z uścisku Gabriela. - Wielebny Lelandzie, babcia spodziewa się pana jutro rano. Żegnam.

Przyglądał jej się chwilę, gdy pędziła ulicą. Wielka to szkoda, że czar prysł, a ich porozumienie zostało zaprzepaszczone. Będzie musiał zacząć wszystko od nowa i jeszcze raz zabiegać o jej zaufanie. Miała coś, czego potrzebował. Gdyby zdobył to, za czym ona biega właśnie po mieście, mogliby dokonać transakcji wymiennej. Być może uda mu się wykorzystać jej niewiedzę na temat leczenia żółtej febry do własnych celów.

Pogwizdując pod nosem, ruszył śladem szalonego Virgila Gazeciarza.

Rozdział siódmy

Camilla oparła nogę na cedrowej komodzie i zawiązała sfatygowany but. Prawie straciła nadzieję, że odnajdzie nocny kostium. Przeszukała niemal cały dom, a natknęła się na niego dopiero w pralni: Portia ukryła go tam za balią. Zamierzała się wymknąć niezauważona do portu. Wprawdzie ani jej, ani Virgilowi nie udało się zdobyć chininy, ale i tak musiała za wszelką cenę zobaczyć się z Jamiem. Może zdoła mu jakoś pomóc. Otworzyła okno i postawiwszy stopę na parapecie, niemal straciła z pnąca glicynii Gabriela. W porę stłumił okrzyk zdziwienia i chwycił ją przytomnie za kostkę. Całe szczęście, że trzymała się mocno zasłony, w przeciwnym razie pewnie wypadliby oboje.

- Puszczaj!

- Wybacz, ale zmuszony jestem odmówić - odparł gładko. - Byłoby miło, gdybyś zechciała wciągnąć nas z powrotem do środka.

- Cicho! Chcesz, żeby usłyszała nas babcia?

- To dopiero byłby fascynujący zwrot akcji...

Zamachnęła się zamasyście butem. Prawdopodobnie udałoby jej się posłać nieproszonego gościa na dół, gdyby ten nie odznaczał się zwinnością małpy. Uchyliwszy się przed ciosem, złapał za parapet i wepchnął ich oboje do pokoju. Upadli obok siebie na podłogę, dysząc jak po ciężkiej walce.

Gabriel przeturlał się nieco bliżej Camilli i wsparł się na łokciach. Nasłuchiwał chwilę z głową przekrzywioną lekko na bok. Ciemne włosy opadały mu na półprzymknięte powieki. Camilla zorientowała się, że wpatruje się w jego usta. Były kształtne, a wzdłuż górnej wargi biegła niewielka blizna o dziwnym kształcie.

- W porządku. - Gabriel ściągnął jej z głowy czapkę.

Złote loki rozsypały się w nieładzie na dywanie.

- W porządku?! - Rozzłościła się i usiadła. - Zaraz zacznę krzyczeć i mój papa zastrzeli cię jak psa.

- A ciebie pośle do klasztoru. Racja, pomyślała niechętnie.

- Czego chcesz?

- Żebyś zwróciła mi moje kazanie.

- Nie sądzisz chyba, że uwierzę, że to tekst prawdziwej homilii.

- Nie dbam o to, czy mi wierzysz. Proponuję ci układ.

- Układ?

- Transakcję wymienną. Korzystną dla nas obojga.

- Ha! Nie masz niczego, co mogłoby mnie zainteresować.

- Owszem mam. Chininę.

Zwróciła się ku niemu raptownie i zajrzała w ciemne, głęboko osadzone oczy.

- Jak ją zdobyłeś? Virgil twierdzi, że w całym mieście nie ma ani grama.

- Powiedzmy, że mam własne źródła. Podniosła się z podłogi.

- Nie wiem, kim naprawdę jesteś... Nie ufam ci. Gdzie jest chinina?

Gabriel również wstał z podłogi.

- U mojego stryja. Wychodzi na to, że całkiem sprawny z niego przemytnik.

Posłała mu zdziwione spojrzenie.

- U twojego stryja? Nie sądziłam, że masz tu rodzinę.

- W każdym razie to nikt, kogo mogłabyś znać.

Camilla wciąż nie potrafiła się zdecydować. Prosiła w duchu Boga, by pozwolił jej dopomóc bratu, ale jak miała uwierzyć, że zesłał jej w tym celu tego kaznodzieję z piekła rodem"? Przyglądał się jej spokojnie, czekając, aż podejmie decyzję. Widział jej wahanie, a mimo to nie próbował w żaden sposób przekonać jej do swych racji, ani gestem, ani słowem. Być może właśnie to utwierdziło ją w przekonaniu, że postępuje słusznie.

- Dobrze, zgadzam się, ale zanim oddam ci kazanie, dostarczymy lek Jamiemu.

- Mogłem się domyślić, że będziesz nalegała, by ze mną pójść. Postradałaś zmysły? Co będzie, jeśli babka, której tak się obawiasz, dowie się, że paradujesz nocą po mieście przebrana za mężczyznę?

- Nie zamierzam się tym martwić. Idę z tobą. Chcę zobaczyć się z bratem. Może to ostatni raz, kiedy... - Urwała. - Proszę, zabierz mnie ze sobą. - Wytrzymała jego wzrok, choć czuła się upokorzona. Nie sądziła, że będzie musiała o cokolwiek go błagać.

Gabriel odwrócił się i odsłonił kotarę.

- Chodźmy więc. Musimy się spieszyć.

Na każdy krok Gabriela przypadały co najmniej dwa Camilli. Pędzili wyludnionymi ulicami miasta co sił w nogach.

- Wierzysz chociaż w to, co głosisz w kazaniach?

- Nie mamy czasu, żeby dyskutować na tematy religijne - odparł zniecierpliwiony.

- A widzisz? - Potknęła się o wyrwę na drodze. - Wiedziałałam, że żaden z ciebie duchowny.

Zachichotał i objął ją w talii, by złapała równowagę.

- Jeśli chcesz poznać moje poglądy na temat wiary, przyjdź w najbliższą niedzielę do kościoła.

Nie dała za wygraną.

- Dlaczego ta homilia jest taka ważna? Nie możesz napisać jej od nowa?

- Wyrzuciłem notatki.

- Ale czemu...

- Zadajesz stanowczo zbyt wiele pytań. - Przytrzymał ją za ramiona i zniżył głos. - Muszę odzyskać tekst jeszcze dziś, uwierz mi na słowo.

- Jesteś mi winien prawdę, Gabrielu Lelandzie.

- Sama wiesz najlepiej, że w czasie wojny prawda to niebezpieczny luksus, na który niewielu może sobie pozwolić.

Na widok wyrazu jego twarzy w głowie Camilli zrodziły się podejrzenia.

- Ty wiesz, prawda? - Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz zemdleje. -
Przysłano cię po to, żebyś zastawił pułapkę na mnie i... na innych!

Ktoś otworzył drzwi pobliskiej tawerny. Gabriel odciągnął ich z dala od światła padającego z jej wnętrza. Nim znaleźli się za ścianą budynku, Camilla dostrzegła w jego oczach wyraz triumfu.

- Skoro już wiesz, że ja wiem, to spokojnie możesz zdradzić mi szczegóły.

- Niedoczekanie! Nic ci nie powiem!

- W takim razie może ja opowiem twemu ojcu, jak za jego plecami przemycasz whisky - oznajmił. - Z pewnością będzie zachwycony, kiedy się dowie, że jego niewolnicy sprzedają samogon wojsku. Na kozła ofiarnego niechybnie wybierze Virgila Byrda. Swoją drogą, co zamierzasz zrobić z pieniędzmi, które zarabiasz na tym szemranym interesie? Znudzili ci się stare kiecki?

Camilla uniosła dłoń, by go spoliczkować, lecz złapał ją za nadgarstek i nim się zorientowała, przycisnął ją plecami do swojego torsu.

- Nienawidzę cię, ty... ty... zakłamany łotrze! - Szamotała się na próżno próbując mu się wyrwać. - Atakujesz za każdym razem, kiedy ktoś zadaje ci niewygodne pytania. To twoja strategia prowadzenia rozmowy?

- Zgadza się. Zapamiętaj to sobie, moja ty śliczna szmuglerko. Ciekaw jestem, skąd bierzecie alkohol. Byrd nie byłby w stanie w pojedynkę tyle wyprodukować.

- Niczego się ode mnie nie dowiesz. Nie licz na to, że coś ci powiem!

- Nie powiesz ty, to Virgil powie. Kocha tę swoją głupią mulicę prawie tak bardzo jak ciebie...

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie. - Zostaw go w spokoju! On nie ma z tym nic wspólnego. To nie był samogon. W tych beczkach byli ludzie! - Poczowała, że zastygł i objął ją jeszcze mocniej, ale dłużej nie potrafiła zapanować nad złością i strachem.

- Kolej Podziemna na razie zawiesiła działalność, możesz więc kazać mnie aresztować, jeśli sprawi ci to przyjemność. Ale, błagam cię, zlituj się nad innymi.

Nie mieszaj do tego Portii, Horace'a ani Virgila... - Nogi się pod nią ugięły i zawisła na nim całym ciężarem z głową wspartą na jego ramieniu.

Gabriel rozluźnił uścisk. Wsparłszy się o ścianę tawerny, osunął się powoli na ziemię. Niebawem siedzieli razem w chwastach i błocie.

- Jesteś abolicjonistką* - odezwał się ochryłym szeptem.

- Tak

- Masz na to jakieś dowody?

- A muszę mieć? Przecież od dwóch tygodni nie odstępujesz mnie na krok.

Nie mogę się ruszyć bez twojego cienia za plecami.

* Abolicjonizm - ruch ideowy, społeczny i polityczny w XVIII i XIX wieku w Europie i obu Amerykach, mający na celu likwidację handlu niewolnikami (przyp, red.).

Zamilkli. Camilla uprzytomniła sobie, że Gabriel trzyma ją w szachu. W jego rękach spoczywał nie tylko jej los, lecz także los najbliższych. Jeśli ją zaaresztują, cała rodzina poniesie konsekwencje. Portia nieraz ją przed tym przestrzegала. W dodatku Gabriel miał chininę.

W końcu zaczerpnął głęboko tchu i powiedział ściszym głosem:

- Chciałaś prawdy, powiem ci prawdę. Nazywam się Gabriel Laniere. Na razie niczego więcej nie mogę zdradzić, ale możesz mi zaufać. Nie wydam cię. -

Potrząsnął głową, gdy zerknęła mu w twarz. - Nie teraz. Nie mamy czasu na tłumaczenia. Musimy dostarczyć kazanie na „Księżniczkę Magnolię” przed świtem, nim podniosą kotwicę.

Gabriel słyszał, jak Camilla drepce zdyszana za jego plecami, ale nie zwalniał kroku. Delia nie będzie długo na niego czekać. Kiedy zamajaczyły pierwsze zabudowania na nabrzeżu, Camilla pociągnęła go za rękaw.

- Zapomniałeś, że jest godzina policyjna? A jeśli nas złapią?

- Mam przepustkę.

- Przepustkę? Skąd?

Zachichotał zadowolony z siebie.

- Komendant żandarmerii jest członkiem mojego Kościoła. Mogę zostać wezwany do umierającego o każdej porze dnia i nocy, więc pan Parker uznał, że zakaz nie powinien mnie obejmować.

- To dlatego możesz bezkarnie się przechadzać, kiedy dusza zapagnie -
Złapała go za ramię. - To dok, z którego odpływają frachtowce z bananami. Co my tu robimy?

Gabriel spojrział na horyzont. Bładoróżowa zorza ponad linią wody oznaczała, że niebawem zacznie świtać. Statek, na którym przebywała jego współniczka, zapewne szykuje się do wypłynięcia z zatoki.

- Tutaj jest punkt przerzutowy waszej Kolei Podziemnej? - zwrócił się do Camilli.

- Był do niedawna. Odkąd Jankesi zajęli Pensacole i Nowy Orlean, wszyscy sądzą, że kolejnym celem ataku będzie Mobile.

- Co to ma wspólnego z przemysłem niewolników?

Westchnęła ciężko i powiedziała:

- Muszę ci zaufać, chyba nie mam wyboru.

- Właśnie.

- No tak... oczywiście... - powtórzyła, posyłając mu gorzki uśmiech. -

Zapewne słyszałeś plotki o tym, że wkrótce do miasta ma zjechać nowy komendant.

- Owszem, obito mi się o uszy. Wiesz, kto to jest?

- Generał Forney. Został ranny pod Dranesville, więc przysyłają go tutaj na okres rekonwalescencji. W związku z jego przyjazdem zaostrzono przepisy. Dlatego nasze akcje zawieszono do czasu, gdy będzie nieco bezpieczniej.

- Kto je zawiesił? Kto kieruje całą operacją?

- Nie wyjawię niczego więcej, dopóki się nie dowiem, co takiego jest w tym kazaniu i co zamierzasz z nim zrobić.

Ile może jej zdradzić? Potrafi trzymać buzię na kłódkę, a co ważniejsze, jest abolicjonistką... Abolicjonistką, ale także niemal dzieckiem, wprawdzie nieustraszoną, ale... Ponadto jest córką człowieka, który inwestuje w wojsko konfederatów.

- Muszę wysłać je na Północ, i to zaraz.

- Ale...

Przetrwał im odgłos sprężystych kroków. Po chwili z mgły wynurzyła się kobieta. Gabriel zszedł, aż podejdzie bliżej.

- Widział cię ktoś, gdy schodziłaś ze statku? - zapytał bez wstępów.

- Naturalnie, że nie. Kto to jest?

- Delia Matthews, Camilla Beaumont. - Przedstawił je sobie i uśmiechnął się, gdy obie nieufnie kiwnęły głowami.

- Camilla strzegła naszego szyfru. Przyszła się upewnić, że zostanie wysłany. Panna Matthews zmarszczyła brwi.

- Będziemy mieli prawdziwe szczęście, jeśli zdążę z powrotem na statek.

Gdzie ten meldunek?

Camilla sięgnęła do kieszeni i z wahaniem podała kartkę Gabrielowi.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to ważne, prawda?

- Bez obaw, wielobny Lelandzie, wiem, co do mnie należy.

- Delia niemal wyrwała mu z ręki kartkę i okręciła się na pięcie. - Miło mi było panią poznać, panno Beaumont - rzuciła przez ramię i zniknęła.

Camilla podparła się pod boki.

- Rozumiem, że to z nią miałeś się spotkać tego dnia, kiedy przez pomyłkę przekazałeś mi kazanie?

- Bystra z ciebie panienska. Nic się przed tobą nie ukryje.

- Jak mogłeś mnie z nią pomylić?

Zmierzył ją od stóp do głów i westchnął.

- Nawet nie wiesz, ile razy sam zadawałem sobie to pytanie.
- Jesteś szpiegiem? To znaczy z... - Wykonała nieokreślony gest.
- A jak sądzisz? - Zawrócił w stronę hotelu.

Pobiegła za nim.

- Skoro tak... to znaczy, że możesz... przekazać ode mnie wiadomość

Harry'emu.

- Ani myślę być chłopcem na posyłki. Mam ważniejsze sprawy na głowie. - Martin to zacy człowiek, ale nie wiedzieć czemu irytowało go, że Camilla jest nim tak bardzo zainteresowana.

- A jakże, „wielebny” Lelandzie! - Zatrzymała się przed nim z szeroko rozstawionymi stopami i zadartą brodą. - Przesiadujesz na salonach z miejscowymi damulkami, popijasz herbatkę, a w niedzielne poranki wygłaszasz nabożne homilie! - Szturchnęła go palcem w tors. - Najwyraźniej znasz się dobrze na medycynie, choć tym darem nie dzielisz się z bliźnimi tak jak Harry. To niepodobna, żeby marnować taki...

- Nie mam prawa wykonywania zawodu, skoro koniecznie chcesz wiedzieć. Zresztą to nie twoja sprawa. - Ominął ją i ruszył w kierunku ulicy Government.

Pognała za nim.

- Ale to... zupełnie bez sensu... Przejąłeś się przecież losem Lecy Carrolton. Zadałeś sobie trud i zdobyłeś dla niej lekarstwo. Widziałam, jak jej dotykasz i jak się do niej uśmiechasz. Dziecka nie da się oszukać - perorowała, nagle potknęła się o kamień i runęła jak długa na ziemię.

Gabriel stał zwrócony plecami do Camilli i wsłuchiwał się w jej płaczliwy oddech. Powinien ją zostawić i odejść.

Przynajmniej do czasu, gdy wykona zadanie. Choć kazanie zostało wysłane na Północ, jego misja bynajmniej nie była zakończona. Musiał odnaleźć łódź wyposażoną w torpedę. Obiecał jej coś jednak.

Gdy się odwrócił, siedziała na trotuarze z głową wtuloną między kolana.

Wyciągnął dłoń.

- Chodź, musimy iść po chininę.

Przyklęknął i dotknął jej ramienia.

- Nic ci nie jest? - zapytał oschlej, niż zamierzał.

- Muszę wiedzieć, po czyjej jesteś stronie, Gabrielu. Myślę, że to Bóg mi cię zesłał, byś mi pomógł, ale chcę mieć pewność...

- Jestem po właściwej stronie.

- A co to znaczy? Która strona ma rację w tym sporze? Czy to słuszne i sprawiedliwe zniewalać ludzi, walczyć przeciw rodakom z powodów majątkowych albo głodzić innych na śmierć? Czy można usprawiedliwić zamknięcie portu i niewpuszczanie doń statków przewożących żywność i leki?

- Rację mają ci, którzy nie chcą dopuścić do rozłamu kraju. Utrzymanie jedności narodu jest w tych ciężkich czasach najważniejsze. Jeśli Stany Zjednoczone się podzielią, twoi czarnoskórzy przyjaciele, których tak kochasz, nigdy nie zazną wolności.

- Papa mówi, że kiedyś i tak by ich uwolniono. To znaczy, gdyby Południu pozwolono podejmować niezależne decyzje.

- Naprawdę w to wierzysz? Sądzisz, że jakikolwiek bogaty plantator świadomie doprowadziłby samego siebie do bankructwa z powodu garstki służących, których nie uważa nawet za godnych miana człowieka? Czy twój ojciec by się na to zdobył?

- Mam nadzieję, że tak. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Kogo obchodzi moje zdanie?

- Spójrz na mnie!

Kiedy podniosła na niego wzrok, oznajmił:

- Mnie obchodzi twoje zdanie. W tej chwili składam życie w twoje ręce.

Muszę zdobyć jak najwięcej informacji na temat potajemnej działalności wojsk

konfederackich w tym mieście, przede wszystkim na temat budowy łodzi podwodnej z torpedą. Chciałbym zjednać sobie twoją pomoc.

- O, Jezu Chryste - szepnęła. - Wiem.

- Co? - Popatrzył na nią zdumiony.

- Wiem o niej. Podśledzałam rozmowę ojca z jakimś mężczyzną tej nocy, kiedy spotkałam cię na „Księżniczce Magnolii”.

Rozdział ósmy

Camilla siedziała na koniu za plecami Gabriela. Obejmowała go niezręcznie w pasie, za wszelką cenę próbując się o niego nie opierać. Dama powinna zachować pewien dystans bez względu na okoliczności.

Jechali zalesionym szlakiem wzdłuż nabrzeża w kierunku fortów strzegących dostępu do portu. Fort Gaines znajdował się po zachodniej stronie, na obrzeżach wyspy Dauphin, Fort Morgan zaś leżał na wschodnim krańcu zatoki i zwykle dawał schronienie frachtowcom, którym udało się wymknąć poza blokadę. Tam właśnie przebywał Jamie.

Gabriel przez całą drogę zachowywał roztropne milczenie. Najwyraźniej domyślił się, że Camilla potrzebuje czasu, by oswoić się z ciężarem sekretów, które jej powierzył. Nie był prawdziwym kazyńcą ani przemytnikiem. Okazał się szpiegiem, którego pojawienie się nieopatrznie wymodliła. Miała pomagać jankeskiemu agentowi i donosić na własną rodzinę.

Gabriel ściągnął wodze i obejrzał się przez ramię.

- Zimno ci? Niedługo będziemy na miejscu.

Potrząsnęła głową.

- Nie, jestem tylko trochę zmęczona - odparła, opierając głowę o jego plecy.

Jakiś czas później przebudziła się, gdy brał ją na ręce, by pomóc jej zsiąść na ziemię. Mimowolnie objęła go za szyję i wtuliła się policzkiem w jego ramię. Po chwili poczuła na powiekach słońce i otworzyła na moment oczy.

- Już rano... Ale mi się dostanie, kiedy wrócę do domu... Gabriel spojrzął na nią rozbawiony.

- Nie martw się. Gdy poszliśmy do hotelu po konia, posłałem twojemu ojcu wiadomość.

Wniósł ją po schodkach na werandę i zatrzymał się przed drzwiami sponiewieranej żywiołami chaty. Poczula w nozdrzach apetyczny zapach kielbasy i usłyszała melodyjne pogwizdywanie.

- Postaw mnie.

Gdy stanęła na nogach, spojrzała na Gabriela.

- Co napisałeś papie?

- Prawdę. Wyjaśniłem mu, że udało się nam zdobyć chininę i że zamierzamy dostarczyć ją twojemu bratu. - Rozłożył ręce. - Jakże mógłby się sprzeciwić? W końcu jestem duchownym. Poza tym obiecałem, że odstawię cię do domu przed zachodem słońca.

- Czeka nas długa podróż.

- Nie, jeśli popłyniemy parowcem pocztowym. Zatrzymuje się w Deer River Point. Tam wysiadziemy. - Położył rękę na kłamce i schylił się do jej ucha. - Mój stryj nie wie, że jestem zwolennikiem unii, więc proszę cię, trzymaj język za zębami. Zabierzemy tylko chininę i ruszamy.

Camilla skinęła głową i ściągnęła czapkę. Kolejna osoba, którą trzeba będzie oszukiwać.

Stryj Gabriela miał zacną i prostoduszną twarz i był wielki jak dąb. Wyglądał na człowieka, który, gdyby tylko zechciał, mógłby bez trudu przenosić góry. Powitał Camillę staroświeckim ukłonem i ucałował jej dłoń. Zachichotała, gdy jego wąsy polaskotały jej skórę. Odwróciła się, by odszukać wzrokiem Gabriela. Ujrzała go

rozłożonego wygodnie na wiklinowym krześle, które stało pośród stosu najrozmaitszych rupieci: sprzętu do poławiania, sztalug, słoików z pędzlami i farbami oraz niespotykanych instrumentów muzycznych. Nie upłynęła nawet minuta, odkąd weszli, a on już smacznie spał. Diron posłał bratankowi komiczne spojrzenie.

- Jak panienka widzi, niewiele trzeba mu do szczęścia. Rozejrzała się dookoła.

- Nie mówił mi, że ma w Mobile rodzinę. Sądziłam, że pochodzi z... to znaczy, że nie jest stąd. - Zaburczało jej w brzuchu. - Czy mi się zdaje, czy czuję kiełbasę?

- Kiełbasę i kaszę. Zapraszam dalej. Zaraz panienkę nakarmię.

Poprowadził ją w drugi koniec podłużnej izby, w którym stał żelazny piec, i przetańczy krzesło szmatą, posadził ją na nim z wyszukaną galanterią. Poczuli się, jakby miała na sobie najlepszą balową suknię z tafty, a nie ciężkie, sznurowane buty i spodnie brata.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Gabriel jest raczej małomówny - kontynuował wątek Diron. - Rzadko zdradza innym, co mu się roi w tej jego mądrej głowie. Gdy był wyrostkiem, gadał jak nakręcony. Rozum się człowiekowi mącił od tych ciągłych pytań. - Podał Camilli talerz z jedzeniem. - Ma liczną rodzinę, ale większość jego krewnych mieszka w rezerwacie przy granicy stanu. Nie sądzę, by ich panienka знаła.

Camilla przełknęła kawałek chleba.

- Nie wiedziałam, że w pobliżu jest rezerwat.

Diron Lanierze usiadł naprzeciw niej przy wysłużonym stoliku. W wielkiej dłoni trzymał wyszczerbiony kubek napełniony kawą.

- W trzydziestym szóstym, kiedy urodził się Gabriel, przesiedlili tam ostatnich Krików.

- A więc Gabriel jest Indianinem z plemienia Krików. - To by tłumaczyło głęboko osadzone, ciemne oczy, wysokie kości policzkowe i śniadą cerę, pomyślała Camilla. - Jak to się stało, że zamieszkał z panem?

- Długo by opowiadać. Mój brat i ja wywodzimy się z francuskich Kanadyjczyków. Za młodu zajmowaliśmy się kupiectwem. Przyjechaliśmy do Ameryki w interesach i zostaliśmy. Jean ożenił się z Indianką, ale po jakimś czasie, kiedy przepędzili Krików z Alabamy, jego żona zaczęła tęsknić za rodziną. Chciała dołączyć do plemienia, a on nie potrafił ścierpieć życia w rezerwacie. Wyjechał z towarami na sprzedaż i nigdy nie wrócił.

- Zostawił matkę Gabriela samą z dzieckiem?

- Z trojgiem dzieci. Ojciec opuścił ich, gdy Johnny miał dwa lata, Gabriel był jeszcze w kołysce, a Sara czekała w kolejce na przyjście na świat.

- Boże drogi, co za człowiek, który porzuca na pastwę losu żonę i dzieci?

- Młody, głupi i skupiony wyłącznie na sobie - odrzekł Diron. - Jean kochał żonę na swój sposób, ale nigdy nie przywykł do nadmorskiego klimatu. Moim zdaniem, wiedział, że dzięki mnie i indiańskim obyczajom jego rodzina nie zginie. - Splótł krzepkie ramiona na piersi i spojrzał na śpiącego bratanka. - Był pewien, że ktoś się nimi zaopiekuje, i tak się stało.

- A pan? Nie miał pan własnej rodziny? Zarumienił się po same uszy.

- Nigdy nie miałem ani śmiałości, ani chęci, by wziąć sobie kobietę. Poza tym - zaśmiał się - która by mnie zechciała? Odkąd zamieszkał ze mną Gabriel, ten dom wyglądał, jakby stale nawiedzało go tornado. Żadna niewiasta o zdrowych zmysłach nie zbliżyłaby się do nas na milę.

- Dlaczego matka Gabriela oddała panu na wychowanie tylko jedno dziecko? Czemu nie było z wami starszego chłopca?

- Johnny był bardzo układnym dzieckiem i nie sprawiał matce kłopotu. Za to Gabriel... Cóż, można powiedzieć, że urodził się urwisem. Gdy skończył cztery lata, nauczył się czytać i pisać, i zaczął gadać jak profesor. Kiedy chciał sprawdzić, jak coś działa, rozbierał dane urządzenie na części, a potem składał je z powrotem. Czasem po jego przeróbce rzecz wyglądała lepiej niż na początku. Kiedy raz coś przeczytał albo zobaczył, zapamiętywał to na zawsze. - Diron potrząsnął z

uśmiechem głową. - A pytań zadawał tyle, że jego biednej matce życia by nie starczyło, żeby odpowiedzieć choćby na połowę z nich. Przysłała go do mnie, bo nie wiedziała, jak się przed nim bronić. Wkrótce po tym jak chłopak znalazł się pod moim dachem, zorientowałem się, że potrzebuje nauki, której sam nie byłem w stanie mu zapewnić. W szkołach katolickich nie było dla niego miejsca. Na szczęście namówiłem misjonarzy metodystów, żeby przyjęli go do siebie. Ukończył Akademię Bartona, gdy miał zaledwie piętnaście lat, i zdobył stypendium na naukę w szkole wyższej.

Camilla pochyliła się w stronę rozmówcy.

- To tam spotkał...

- Stryju, papłasz jak stara pleciuga. - Gabriel wyrósł nagle nad Camillą i sięgnął do jej talerza po chleb.

Podskoczyła zaskoczona.

- Ja tylko chciałam się dowiedzieć...

- To stare dzieje. Nie warto o nich wspominać. - Przeżuwał chleb spokojnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Stryju, gdzie ten woreczek, który przyniosłem ci kilka dni temu na przechowanie?

- Schowałem w bezpieczne miejsce, ale nim ci go oddam, oczekuję wyjaśnień.

- Diron popatrzył podejrzliwe to na jedno, to na drugie. Zastanawiał go zwłaszcza nietypowy przydzwiek Camilli. - Nie zadawałem pytań, bo uznałem, że sam mi powiesz, dlaczego pojawiłeś się w domu bladym świtem w towarzystwie tej oto ślicznej młodej damy. - Zmarszczył krzaczaste brwi. - Chciałbym wiedzieć, czy aby jej papa nie przybiegnie tu za tobą ze dubeltówką.

Gabriel parsknął śmiechem, a Camilli niemal zaparło dech w piersiach. To dopiero był widok - Gabriel Lanier z uśmiechem od ucha do ucha na twarzy.

- Przypuszczam, że papa rad by się jej pozbyć. - Zaśmiał się jeszcze głośniejsze, gdy spojrzała na niego z urazą i uniosła dumnie podbródek. - Jedziemy do Fortu

Morgan zawieźć jej bratu chininę... Nie mam zwyczaju wykradać dziewczątek z kołyski - dodał niepomiernie zadowolony z siebie.

- Jestem dorosła i sama o sobie decyduję! - zjeżyła się Camilla. - O wiele łatwiej podróżować w męskim ubraniu - zwróciła się do gospodarza. - A pański bratanek zgodził się mnie eskortować.

- Taaak... ten młodzieniec to szczerze złoto... chodząca dobroć... Siadaj, chłopcze nałożę ci coś do jedzenia.

Gabriel potrząsnął głową i poczęstował się resztkami z talerza Camilli.

- Musimy ruszać w drogę. Papa tej młodej damy rzeczywiście gotów użyć na mnie broni, jeśli nie odstawię jej przed zachodem słońca.

- Należałoby ci się, ty nicponiu. Przyniosę twój tobołek. - Diron zgarnął pozostałości śniadania na talerz i wystawił je na ganek. - Ajax, chodź no tu, nygusie! Podjesz sobie.

Spod mimozy wyłonił się psiak o sympatycznym pysku.

Diron wdrapał się na strych, który służył mu za sypialnię. Tymczasem Camilla obeszła izbę. Po chwili natknęła się na wyrzeźbiony w drewnie wierny wizerunek Ajaksa. Wyglądał jak żywy. Od razu było widać, że stworzyła go ręka kochającego pana.

- Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak twój stryj. - Gdy podniosła wzrok na Gabriela, zauważyła, że przygląda jej się bacznie spod przymkniętych powiek.

- Co się stało? Coś nie tak?

- Stryj ma rację. W tym stroju wzbudzisz nie lada sensację. Wzruszyła ramionami.

- Założę z powrotem czapkę. Nikt się nie domyśli, że jestem dziewczyną.

- Miejmy nadzieję, ale pamiętaj, że tym razem będziesz maszerowała ulicami za dnia. Radziłbym ci nie wyjmować rąk z kieszeni.

Odłożyła figurkę i przyjrzała się swoim drobnym, delikatnym dłoniom.

- Tylko ty zwróciłbyś uwagę na taką drobnostkę.

- Wierz mi, zauważy to każdy z odrobiną oleju w głowie. Zrobiła naburmuszoną minę. Był gorszy niż obaj jej bracia razem wzięci.

Diron odchrząknął głośno i wyrztał na dół z poddasza.

- Ponoć ktoś tu sobie życzył chininy?

Gabriel leżał z nogami wspartymi o reling pod płóciennym daszkiem na górnym pokładzie parowca. Płynęli już od godziny, a do Grant's Pass mieli dotrzeć za kolejne dwie. Z nudów przyglądał się Camilli, która stała nieopodal, wpatrując się z zadumą w taflę wody. Jej nos powoli robił się różowy. Szturchnął ją lekko w łokieć.

- Odpocznij chwilę w cieniu. Nie chcę, żebyś mi pod drodze zemdląła.

Wystawiła twarz do wiatru, przyciskając do piersi woreczek z chininą.

- Lubię słońce i nie jestem zmęczona. - Gdy na niego spojrzała, jej oczy były pełne lęku. - Jak długo umiera się na żółtą febrę?

- Nie ma na to reguły. Na Kubie zaraza zbiera ogromne żniwo.

- Kiedy ktoś wreszcie znajdzie sposób, by jej zapobiegać? Poczul, że wzbiera w nim od dawna tłumiona gorycz.

- Być może ktoś już znalazł przyczynę choroby, tyle że nikt nie chce go słyszeć.

- Mój brat jest takim dobrym człowiekiem... i tak bardzo umiłował Boga. Nie zasłużył na śmierć.

- Nikt nie zasługuje na śmierć. Czasem kostucha zabiera ludzi przedwcześnie. Pamiętaj, że trwa wojna domowa. Twój brat kilka razy wymykał się unijnej blokadzie. Z pewnością zdawał sobie sprawę z ryzyka.

- Nie rozumiesz... Jest coś, o czym nie wiesz. Nasza matka... padała ofiarą żółtej febry, gdy miałam cztery lata. Nie pozwolę, by to samo spotkało Jamiego!

Gdy statek przybił do wyspy Dauphin, Gabriel cieszył się, że nie miał czasu deliberować nad wyznaniem Camilli. Musiała być głodna i zmęczona, ale szła u jego boku bez słowa skargi.

Jako cywile przed wstępem do Fortu Morgan musieli okazać dowódcy placówki przepustki podpisane przez komendanta żandarmerii, G.M. Parkera. Major Hallonquist, mężczyzna w średnim wieku o miłej powierzchowności, przyjął ich w gabinecie.

Camilla na wstępie ściągnęła czapkę. Jej bujne włosy rozsypały się kaskadą na ramiona.

- Dzień dobry, panie majorze - zaczęła bez wstępów. - Jestem siostrą kapitana Jamesa Beaumonta. Chciałabym dostarczyć chininę na pokład jego statku. „Lady Camille” poddano kwarantannie w Forcie Morgan.

Zdumiony Hallonquist otworzył usta, a kiedy się opanował, spojrzał na nią jak na osobę niespełna rozumu.

Skonsternowany zuchwalstwem Camilli, Gabriel postanowił interweniować, nim będzie za późno.

- Pozwoli pan, że się przedstawię - rzekł układnie, tonem prawdziwego kaznodziei. - Wielebny Leland. Towarzyszę panie Beaumont na prośbę jej rodziny. - Rozłożył ręce. - Proszę wybaczyć najście i niestosowny strój panny Camilli. Bardzo nam się spieszyło, stąd to zaniedbanie...

- Mój brat jest bardzo chory.

- Pani brat to prawdziwy bohater - rzekł z uśmiechem Hallonquist. -

Chcielibyśmy jak najszybciej rozładować zapasy, które zdobył dla nas podczas rejsu, ale sama pani rozumie, że on i jego załoga muszą pozostać w odosobnieniu pełne dwa tygodnie. Takie są przepisy. Nie może pani wymagać, bym narażał życie całego garnizonu. Ta choroba to prawdziwa plaga. Ludzie padają od niej jak muchy.

- Mamy ze sobą chininę! Możemy im pomóc! - Camilla wyciągnęła woreczek z lekarstwem. - Proszę nam pozwolić wsiąść na prom. Sami będziemy się martwić, jak potem zejść na ląd.

Major potrząsnął głową.

- Sir - wtrącił Gabriel, unosząc dłoń w geście perswazji - jeśli na statku jest jeszcze choćby jeden zainfekowany, obiecuję, że nie zobaczy pan nas tutaj. Znajdziemy inny sposób, by wrócić do Mobile.

- Bardzo pana proszę o zrozumienie - odezwała się z godnością Camilla. - Zna pan wartość towarów, które wciąż znajdują się pod pokładem „Lady Camilli”. Jeśli mój brat umrze, być może nigdy nie dojdzie do rozładunku.

Hallonquist westchnął i wypisał im przepustkę.

- Dzięki temu wsiądziecie na prom, ale o tym, czy wpuścić was do Fort Morgan zadecyduje pułkownik Powell.

- Och, dziękuję z całego serca! - rozpromieniła się Camilla.

Gabriel ujął ją zdecydowanie za łokieć.

- Chodźmy, panno Beaumont. Nie chcemy przecież spóźnić się na prom. Jeszcze raz dziękujemy, panie majorze.

- Tylko nie wracajcie mi tu z tą zarazą! - krzyknął za nimi Hallonquist.

Rozdział dziewiąty

- Postradałaś zmysły? - Gabriel starał się mówić cicho, choć prawdę mówiąc, miał ochotę na nią wrzasnąć.

Obrażona Camilla odwróciła głowę. Jej włosy trzepotały na wietrze niczym podniesiony żagiel. Niewiele sobie robiła z tego, że inni pasażerowie wlepiają w nią oczy, jakby zobaczyli samego diabła. Większość była wyraźnie zgorszona widokiem bezwstydnego dziewczyny w spodniach.

- To ja powinienem był rozmawiać z majorem. Nie było potrzeby robić przedstawienia.

- Mój brat jest umierający! Miałam siedzieć jak mysz pod miotłą i czekać cały dzień, aż wreszcie się zbierzesz, żeby przejść do rzeczy?

Pochylił się do jej ucha.

- Odrobina cierpliwości i opanowania nikomu jeszcze nie zaszkodziły.

Przeciwnie, z reguły łatwiej dzięki nim osiągnąć cel.

- Nie ma o co kruszyć kopii. Hallonquist był pod wrażeniem mojej śmiałości i przywiązania do brata.

- O, tak, z pewnością był tobą oczarowany. Proszę cię, żebyś następnym razem nie próbowała podobnych wyczynów bez ustalenia strategii ze mną.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Ty tu dowodzisz, co?

- Zgadza się. Ja tu dowodzę. Posłała mu szeroki uśmiech.

- To jeszcze się okaże.

Gdy w oddali zamajaczyła sylwetka Mobile Point, Gabriel zaczął myśleć o tym, co przekaze admirałowi Farragutowi. Z tego, co zaobserwował do tej pory, wynikało, że w przypadku inwazji wojsk federalnych Mobile podda się co najwyżej po kilku dniach. Niezdrowe współzawodnictwo między siłami rebeliantów strzegącymi zatoki a dowództwem miejscowej marynarki nie wróżyło konfederatom niczego dobrego. Morale szeregowych żołnierzy było wprawdzie wysokie, niemniej ich uzbrojenie i przeszkolenie pozostawiało wiele do życzenia. Koszary na wyspie Dauphin bez wahania można było nazwać kompletną katastrofą, choć major Hallonquist starał się, jak mógł, by uporządkować panujący tam bałagan. Niebawem miało się okazać, czy sytuacja w warowni podlegającej pułkownikowi Powellowi przedstawia się lepiej.

Kiedy wysiedli na nabrzeżu, ujrzeli solidne przedpiersie i bastion zaopatrzone w liczne działa. Fort Morgan sprawiał wrażenie fortecy. Tylko liczne i dobrze zaopatrzone jednostki floty zdołają się przezeń przedrzeć.

Za Camillą szli dwaj żołnierze w szaroniebieskich mundurach. Przyłączyli tym samym promem, co oni, a teraz ciągnęli za sobą wózek z jakimś zaopatrzeniem. Poszturchiwali się za jej plecami i na przemian szczerzyli zęby w sprośnych uśmie-

chach. Gabriel, który trzymał się z tyłu, nie zwracał na nich uwagi dopóty, dopóki jeden z nich nie zagwizdał.

- Hej, złociutka, może chcesz się przejechać?

Camilla przyspieszyła kroku. Nie zdołała jednak uciec.

Nim dotarła do tunelu wiodącego na wzgórze, poczuła, że ktoś chwyta ją z tyłu za włosy.

Stała jak wryta i otworzyła szeroko oczy.

- Puść mnie! Mam coś do załatwienia.

- Tak? - Napastnik spojrzał na rechoczącego kompana. - Chętnie obejrzymy twoją przepustkę, ślicznotko.

Gabriel podbiegł do nich, gdy zaczęli przeszukiwać kieszenie Camilli.

- Ta dama jest ze mną. Proszę ją puścić.

- Ładna mi dama. Zwykła latawica, ubrana jak... Auu!

Nastąpiwszy mu z całej siły na nogę, Camilla uciekła w głąb tunelu. Gabriel nie usłyszał od niej ani słowa podzięk.

- Nawet o tym nie myśl! - zawołała, gdy ją dogonił.

- O czym?

- O tym, co właśnie zamierzałeś powiedzieć. Sama świetnie bym sobie poradziła z tym prostakiem! Pozwoliłam ci ze sobą pójść tylko dlatego, że mogę potrzebować twojej pomocy, kiedy będę musiała wydostać się ze statku Jamiego. Ale to jeszcze nie znaczy, że możesz mi rozkazywać! Zrozumiano?

W odpowiedzi ujął ją za podbródek i pochylił się nad nią tak nisko, że mógłby ją bez przeszkód pocałować.

- Ja to widzę trochę inaczej. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Możesz nie pochwalać moich metod - ja z pewnością nie pochwalam twoich - ale osiągniemy znacznie więcej, jeśli będziemy działać razem. - Odczekał chwilę, by dać jej czas do namysłu. Na jej twarzy pojawił się kolejno wyraz buntu, a potem opornej akceptacji.

- Wydaje mi się, że twój ojciec finansuje budowę łodzi podwodnej, którą mam za

zadanie odnaleźć. Liczę na to, że jeśli pomogę twojemu bratu, wasz papcio zaufa mi na tyle, na ile trzeba, by dopuścić mnie do swoich interesów. Jeśli, jak cały czas twierdzisz, jesteś po mojej stronie, musisz mi zaufać. Masz mi pomagać, a nie wierzyć i narowić się na każdym kroku. Zrozumiano?

- Tak. - Kiedy objęła go za nadgarstek, poczuł dreszcz w całym ciele. - Tak się boję o Jamiego... i o ojca...

Opuścił rękę, by Camilla go nie dotykała.

- Rzeczywiście są powody do obaw, ale myślę, że mogę temu zaradzić.

Chodźmy poszukać - Gabriel zajął do przepustki, którą otrzymali od Hallonquista - pułkownika Powella.

Camilla była wstrząśnięta sposobem, w jaki potraktowali ją dwaj mundurowi na nabrzeżu, choć naturalnie za nic w świecie by się do tego nie przyznała. Kiedy Gabriel przedstawił ją dowódcy garnizonu, kiwnęła grzecznie głową i usunęła się w cień. Jak przypuszczała, jej towarzyszowi bez trudu udało się namówić pułkownika, by wydał im pozwolenie na wizytę na dotkniętym zarazą statku.

Jakiś czas potem płynęli niewielką łódką ku „Lady Camilli”. Gabriel zdjął do wiosłowania surdut i podwinął rękawy koszuli. Camilla przyglądała się zafascynowana męską siłą Gabriela. Musiała przyznać, że radzi sobie w każdej sytuacji. Doszła do wniosku, że musi być wyjątkowo dobrym szpiegiem z tym swoim darem przekonywania. Na ogół dostaje to, czego chce. A czego chce od niej? Przede wszystkim informacji na temat tej nieszczęsnej łodzi, na której uparł się zarobić jej ojciec. Westchnęła, odruchowo muskając palcami tafłę wody.

- Od jak dawna twojemu bratu udaje się z powodzeniem omijać blokadę? - zapytał Gabriel między jednym mocnym pociągnięciem wiosła a drugim.

- To dopiero trzeci raz. Za pierwszym razem poszło gładko, za drugim niewiele brakowało, by ich schwytali. Ponoć ostatnio wzmocnili wartę.

- Gdyby blokada istotnie spełniała swoje zadanie, w mieście byłoby znacznie trudniej o jedzenie i ubranie.

- Co masz na myśli?

- Zastanawiam się, czy przypadkiem między wartownikami a łamiącymi zakaz nie ma zmowy. Gdyby wszystko działało jak należy, frachtowiec twojego brata od dawna leżałby zatopiony na dnie zatoki.

- Jesteś kompletnie bez serca! - Spojrzała na niego oburzona.

- Mówiłem ci, że wojna to nie przelewki.

- Jamie nie jest oficerem armii konfederatów, tylko zwykłym, kupcem.

Dlaczego mieliby otwierać ogień do jego statku?

Posłał jej sceptyczne spojrzenie.

- Nie sądzisz chyba, że twój brat zwozi do Mobile wyłącznie zapasy żywności i ubrań?

- Może i nie, ale... - Urwała, lecz po chwili się ożywiła. - O, spójrz, prawie jesteśmy na miejscu!

Wierciła się jak na rozżarzonych węglach, gdy podpływali do „Lady Camilli”. Tuż nad linią wody w kadłubie łodzi znajdowała się dziura, na oko na dwanaście cali. W szalupach widać było ślady po postrzałach. Stenga i hak holowniczy zostały zerwane, a omasztowanie zwisało smętnie za burtę. To cud, że statek przetrzymał atak.

Na pokładzie pojawiło się kilku zaciekawionych ich widokiem marynarzy. Któryś z nich zrzucił im drabinkę. Camilla wspięła się po niej, gratulując sobie w duchu, że wybrała męskie odzienie. W spódnicach nie dałaby rady wejść na górę.

Pozostawiwszy Gabriela, podała dłoń jakiemuś uradowanemu mężczyźnie.

- Panno Camillo! Skąd się pani tutaj wzięła? Kapitan nic nam nie mówił, że pani przyplynie.

- Jak on się czuje, Rudy? - Zajrzała w wymizerowaną twarz pierwszego oficera. - I jak ty się czujesz?

- Ze mną, Bogu dzięki, jest coraz lepiej, ale kapitan mocno niedomaga. Przetrzepie mi skórę za to, że pozwoliłem pani wejść na pokład. Kwarantanna potrawa jeszcze tydzień.

- Myślę, że rad będzie nas zobaczyć - wtrącił Gabriel. - Przywieźliśmy chininę.

Camilla chwyciła go za rękaw i pociągnęła do przodu.

- Rudy, przedstawiam ci wielebnego Lelanda. Zdobył dla was lek i pomógł mi się tu dostać.

Rudy Van Zandt zmarszczył brwi, mimo że obecność Camilli wyraźnie go ucieszyła.

- Czy pani ojciec wie o tej wyprawie?

- Naturalnie, wielebny Leland jest przyjacielem rodziny.

- Hm. Zobaczymy, co powie kapitan.

Pierwszy oficer poprowadził ich do kajuty Jamiego, mamrocząc pod nosem i obrzucając Gabriela podejrzliwymi spojrzeniami. Na widok prowizorycznie załatanej dziury w ścianie kwatery brata Camilla, zdjęta trwoga, przystanąła. A jeśli jest ranny?

Rudy zapukał do drzwi, po czym wsunął głowę do środka.

- Goście, sir!

- Kimkolwiek są, każ im natychmiast zejść ze statku!

Camilla przepchnęła się obok Van Zandta i podeszła do brata, który siedział za biurkiem, sporządzając jakieś zapiski.

- Przypląnąłam tu aż z Mobile specjalnie po to, żeby dać ci lekarstwo, Jamie Beaumont. Myślisz, że skoro umierasz, wolno ci zapominać o manierach? Radzę ci sobie o nich przypomnieć, bo nie ręczę za siebie! - Postanowiła udawać zagniewaną, żeby się nie rozplakać. Lewie powstrzymała szloch na widok wycieńczonej i bladej twarzy brata.

- Na miłość boską, co tu robisz?!

- Mówię przecież, że przywiozłam ci chininę.

- Wspaniale, a teraz zrób w tył zwrot i wracaj do domu. - Jamie pochylił się nad notatkami, jakby uznał dyskusję za zakończoną.

- Nic z tego. Nie wpuszczą nas z powrotem. Jamie wstał i oparł się ciężko o krzesło.

- Co za dureń wydał samotnie podróżującej kobiecie pozwolenie na wejście do warowni?

- Nie jestem.

- Przyłąnęła ze mną. - Gabriel podszedł do nich, kryjąc rozbawienie.

- A kim pan jest, jeśli wolno spytać?

- Gabriel Leland. Słyszałem o panu wiele dobrego, kapitanie Beaumont. Jamie uścisnął wprawdzie jego dłoń, ale przyglądał mu się raczej podejrzliwie.

- Miło mi, panie...

- Wielebny Lelandzie - wtrąciła Camilla. - Gabriel jest nowym pastorem metodystów. Przyjechał do miasta dwa dni po waszym wypłynięciu w morze. Beaumont zachwiał się na nogach.

- Proszę mi wybaczyć, wielebny Lelandzie, ale muszę spocząć. Nogi wciąż odmawiają mi posłuszeństwa.

- Mówmy sobie po imieniu.

Jamie kiwnął głową.

- Lek z pewnością nam się przyda, nie przeczę, ale nie podoba mi się, że narażasz na szwank zdrowie mojej siostry. Jeśli się zarazi.

- Próbowaleś kiedyś powstrzymać siostrę przed czymś, co sobie umyśliła?

- Raz - przyznał ze śmiechem.

- I słono za to zapłaciłeś - dorzuciła cierpko Camilla.

- Hm... bardzo ciekawe. - Gabriel spojrzał na nią spod uniesionych brwi. - Chętnie posłucham, jak to było.

- Nie wspominały tego najlepiej. - Camilla dotknęła pokrytej zarostem brody brata. - Jak się czujesz?

- Najgorsze mam za sobą, ale federalni zabili mi kilku ludzi, a wielu pozostałych przy życiu nadal trawi gorączka. Zrobiłem dla nich, co mogłem, choć Bóg świadkiem, nie mogłem zbyt wiele. - Oparł głowę na dłoni.

- Potrzebujesz wytchnienia. Powinieneś przekazać dowodzenie Rudy'emu, a sam zostać w kajucie, dopóki nie wydobrzejesz.

- To ja jestem kapitanem. - Wyprostował się i spojrzął na nią stanowczo. - Przeprowadziłem statek przez blokadę i doprowadzę go do portu.

- Jak udało się wam wymknąć? - zainteresował się Gabriel.

- Wszystko poszło jak z płatka - odparł Jamie - gdyby nie ten piekielny kogut, którego wzięliśmy ze sobą z Cardenas.

- Do czego był wam potrzebny kogut na pokładzie? - zapytała zdziwiona Camilla. Kiedy zorientowała się, że Jamie jednak nie umrze na jej oczach, odczuła tak wielką ulgę, że aż zakręciło jej się w głowie.

- Żeby tylko jeden. Mamy całą ładownię kurcząt. Pan Chambliss...

- To on wynajmuje statek. - Camilla zwróciła się do Gabriela. - Poznałeś jego córkę Fanny.

- Co to ja mówiłem? Aha, pan Chambliss wymyślił sobie, że zbije majątek na jajkach i kurczakach. Kazał nam kupić kilkanaście sztuk, gdy będziemy na Bermudach. Tak też zrobiliśmy, a potem zapomniałem na śmierć o tym przeklętym kogucie. Wpłynęliśmy spokojnie do zatoki i już niemal minęliśmy wartowników, gdy ten nagle zaczął się wydzierać.

- Jak szybko ukręciliście mu łeb?

- Nie więcej niż w pół minuty. Tyle że po chwili spod pokładu znowu rozległo się przeraźliwe „kuuukuuurykuuu”. Okazało się, że po ciemku ubiliśmy nie tego ptaka.

Camilla roześmiała się w głos.

- Sądząc z tego, w jakim stanie jest teraz „Lady C”, unitom nie spodobała się przedwczesna pobudka.

James w jednej chwili spowaźniał.

- Żałuję tylko, że nie mogliśmy odpowiedzieć ogniem.

- Co wam stało na przeszkodzie? - zapytał Gabriel.

- Nie przygotowaliśmy należycie oręża. Mieliśmy mniej niż osiemnaście godzin na to, by przetransportować na nasz pokład broń i amunicję z brytyjskiego szkunera. Niestety, już wtedy zmagalem się z gorączką. Nie zdołałem wszystkiego dopilnować. Nie zabraliśmy ze sobą części osprzętu. Nie mieliśmy wyciorów, celowników ani rygla. Bez podnośników luf nie mogliśmy też użyć działek.

Camilla przyjrzała się bratu z niemym przerażeniem.

- Byliście zupełnie bezbronni!

- To cud, że was nie zatopili - dorzucił Gabriel.

Przypomniała sobie o jego teorii spiskowej. Przecież Jamie nie mógł być w zмовie z Jankesami... To do niego niepodobne, żeby... Z drugiej strony, sama miała problemy z określeniem, po której stronie się opowiedzieć. W czasie wojny wszystko jest możliwe. Napotkała wzrok Gabriela i niemal natychmiast uciekła spojrzeniem w bok.

- Widać Bóg był po naszej stronie. - Jamie podniósł się ociężale z krzesła. - Skoro już przywieźliście chininę, chętnie zrobimy z niej użytek. Gdzie ją macie?

- Zostawiliśmy ją pierwszemu oficerowi. Wydaje się kompetentny.

- To najlepszy człowiek, na jakiego mogłem trafić. Będzie wiedział, jak rozdzielić lek. Nie chcę wydać się niegościnnie, ale byłbym ci wdzięczny, gdybyś odstawił moją siostrę do domu.

Camilla chwyciła brata za rękę.

- Jamie...

- Żadnego ale - uciał kategorycznie kapitan. - Przekaż ojcu, że dzięki tobie i pastorowi będę w domu za tydzień. - Spojrzał na Gabriela i zmarszczył brwi. - Czy my przypadkiem się nie znamy? Wyglądasz znajomo.

- Nie sędzę, byśmy się wcześniej spotkali. Cała moja rodzina pochodzi z Missisipi.

Beaumont podszedł z nimi do drzwi.

- Jesteś bardzo podobny do pewnego postrzelonego mieszańca, z którym prowadzał się swego czasu nasz kuzyn. Ech, jakiż ten świat mały. - Mrugnął do Camilli. - Powiedz Van Zandtowi, że jeśli jeszcze raz wpuści na pokład jakichś gości, zdegraduję go do majtka.

Późnym popołudniem wpłynęli promem na wody zatoki Pelikan, która oddzielała Fort Morgan od Fortu Gaines. Camilla rzuciła Gabrielowi zaniepokojone spojrzenie. Schroniła się przed słońcem pod płóciennym daszkiem.

- Major Hallonquist zabronił nam wracać przez wyspę Dauphin.

- Opłyniemy garnizon dookoła. Nie zauważy nas. Zresztą nie udałoby się nam nikogo zarazić, nawet gdybyśmy chcieli.

- Przecież byliśmy z chorymi. Jamie nadal niedomaga.

- Nie można zarazić się żółtą febrą od człowieka. Przenoszą ją komary.

- Co ty mówisz? Wszyscy wiedzą, że to najbardziej zaraźliwa...

- Nie wszyscy. Zapytaj wielce uczonego doktora Kincha, jeśli mi nie wierzysz. Z pewnością ci powie, że od lat próbuje udowodnić teorię, którą wysunął niegdyś jeden z jego dawnych studentów. - Wzruszył ramionami. - Dodam, że ów student doskonale wie, jakie jego „profesor” popełnia błędy podczas przeprowadzania doświadczeń.

- Chcesz powiedzieć, że byłeś tym studentem i że potrafisz dowieść, co wywołuje żółtą febrę? - spytała zdumiona Camilla.

- Byłem na najlepszej drodze, żeby to udowodnić. Niestety, miał miejsce pewien... skandal. Kinch przez dwa lata wyśmiewał i podważał moją teorię. Gdy do

ukończenia studiów pozostało mi ledwie kilka egzaminów, skonfiskował moje papiery. Do tej pory nie wiem, co z nimi zrobił.

- Jak to się stało, że teraz cię nie rozpoznał?

- W czasach studenckich miałem znacznie dłuższe włosy, nosiłem wąsy i brodę. Byłem też młodszy i nieco węższy. Nie wspominałem ci o tym, ale powinnaś wiedzieć, że byłem wówczas biedny jak mysz kościelna. Mogłem się uczyć tylko dzięki temu, że ktoś zauważył, iż jestem zdolny, i dostałem stypendium dla ubogich. Gdybyś widziała, w jakich wtedy chodziłem łachmanach... Kinch był dziekanem i nie przepadał za takimi jak ja. Robił, co mógł, by mnie nie zauważać.

Camilla milczała, zapatrzona w wodę. Mimo dokuczliwego skwaru założyła czapkę i okryła się obszernym surdudem przed oczami ciekawskich. Miała ciężkie powieki, a nad górną wargą zebrały jej się kropelki potu. Przez całą dobę znosiła ogromne niewygody, a do domu pozostał im jeszcze szmat drogi.

Popatrzyła na Gabriela.

- Harry znał twoją teorię? - zapytała ze zmarszczonymi brwiami.

- Koncentrował się na tym, by szczęśliwie dobrać do rozdania dyplomów.

Nie uśmiechało mu się marnotrawienie czasu na badanie komarów w laboratorium.

- Cały on.

- Przynajmniej się ze mnie nie śmiał, jak robiła to większość studentów.

Zajmowały go inne sprawy, na przykład twoja rodzina. Spędzał z wami mnóstwo czasu.

- To prawda. Często bywał gościem w naszym domu, ale zawsze kogoś ze sobą przyprowadzał. Dlaczego ciebie nigdy z nim nie było?

- Owszem, zapraszał mnie, ale wolałem się trzymać od was z daleka. -

Uśmiechnął się na widok jej zakłopotania. - Widziałaś chatę mojego stryja. Nie miałem ani wystarczających środków, ani ochoty na to, by się ubierać i zachowywać w sposób, który zaakceptowałyby twoja rodzina.

- Ja na pewno powitałabym cię z otwartymi ramionami jako przyjaciela Harry'ego.

- Byłaś wtedy małą dziewczynką. - Spojrzał na nią przeciągle. - Twój brat pokazał mi raz, gdzie moje miejsce.

- Chyba cię rozpoznał.

- Przypomniałby sobie, kim jestem, znacznie szybciej, gdybym miał upaśćknaną twarz. Namalowali mi kiedyś barwy wojenne.

- Niemożliwe! Jamie nie byłby zdolny do takiego okrucieństwa!

- Dla nich to był tylko kawał. Poza tym trzeba oddać twemu bratu sprawiedliwość. Próbował powstrzymać innych, ale było ich zbyt wielu, byśmy we dwóch dali im radę. Nie trwało to długo...

- A Harry? Gdzie był wtedy Harry? Zgorszenie Camilli poruszyło Gabriela do głębi.

- Twój kuzyn był zajęty wtykaniem mi piór we włosy. Znakomicie się przy tym bawił. Posłuchaj, Camillo. - Ujął jej dłoń i ku zaskoczeniu obojga podniósł ją do ust i ucałował. - Nie zmieniłbym niczego, co mi się w życiu przytrafiło, nawet gdybym mógł, bo to właśnie dzięki temu stałem się tym, kim jestem. Nauczyłem się polegać wyłącznie na sobie. Nikt i nic mnie nie zdziwi ani nie zaskoczy. Pamiętaj, nikomu nie można ufać - podkreślił, a jednocześnie uświadomił sobie, że Camilli też nie powinien ufać, a jednak w ciągu dwóch dni zdradził jej o sobie więcej niż komukolwiek przedtem. Puścił jej dłoń. - Żałuję, że nie dane mi było udowodnić mojej teorii o komarach.

- Nikt ci nie uwierzył?

- Ludzie wierzą w to, w co chcą.

- Kto wie, może kiedyś ci się uda.

- Zrobi to za mnie doktor Kinch albo ktoś inny. - Odwrócił wzrok ku zachodzącemu słońcu. W oddali majaczyła piaszczysta plaża wyspy Dauphin i powiewały flagi Fortu Gaines. - Za kilka minut dobijamy do brzegu.

- Gabrielu, czy... czy ty jesteś wierzący?

Zatrzymał się w pół drogi, choć to nie jej słowa, lecz ton, jakim je wypowiedziała, przykuły jego uwagę.

- Owszem, wierzę w Stany Zjednoczone Ameryki, w to, że silni powinni chronić i wspierać słabych. I wierzę w siebie.

- To dobrze. Trzeba w to wierzyć, ale... - Zawahała się i zajrzała mu z przejęciem w twarz. - Pytałam, czy wierzysz w Boga. W to, że przeznaczył cię do jakiegoś celu, że kocha cię tak bardzo, iż poświęcił dla ciebie swego syna?

Ujęło go to proste pytanie. I światło, które biło z jej oczu. Wysłuchał wielu płomiennych kazań, ale większość z niech straszyla ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem. Kaznodziejom rzadko zdarzało się w jednym zdaniu wspominać o Bogu, celu i miłości. Camilla sprawiała, że pragnął uwierzyć. Poderwał się gwałtownie.

- Lepiej się pospieszmy. Musimy się dostać niepostrzeżenie na statek pocztowy. Lepiej, żebyśmy nie wpadli na ludzi Hallonquista.

Camilla zwiesiła głowę.

Kiedy schodzili z promu na pomost, Gabriel spojrzął na nią ukradkiem. Sprawiała wrażenie nieporuszonej i spokojnej, ale zdradziły ją zaschnięte smugi na policzkach.

Zacisnął zęby, tłumacząc sobie, że pora, aby dziewczyna dorosła.

Rozdział dziesiąty

Zanim statek z wyspy Dauphin wpłynął do zatoki w Mobile, nad miastem zawisły ciemne chmury, które niemal całkowicie przesłoniły słońce. Ponura aura doskonale pasowała do nastroju Camilli.

„Ludzie wierzą w to, w co chcą”. Gorzkie słowa Gabriela utkwily jej w głowie na dobre. Jeśli rzeczywiście tak jest, to dla nikogo nie ma nadziei, a cała ludzkość skazana jest na pozostawanie w niewoli doczesnych doznań. Jak w takim świecie znaleźć miejsce dla Boga i prawdziwej wiary?

Szła za Gabrielem wzdłuż ulicy Water, starając się nadażyć za jego zamaszystym krokiem. Postanowił odprowadzić ją do domu. Oboje wiedzieli, że kiedy dotrą na miejsce, nie obejdzie się bez kłopotów. Już teraz ze zdenerwowania ścisnął się jej żołądek

- Co zrobić z ubraniem? - Pociągnęła go za nerwowo rękaw. - Nie mogę się pokazać w takim stanie.

Przypuszczała, że wygląda jak dzikuska. Za to on, gdyby nie cień zarostu na policzkach, mógłby uchodzić za wzór elegancji. Zatrzymał się, by zlustrować ją wzrokiem w wąłym świetle zmierzchu.

- Istotnie, rzekłbym, że jest pani odrobinę umorusana, panno Beaumont.

- Och, wiesz przecież, o co mi idzie! Babka zarządzi areszt domowy na co najmniej miesiąc, jeśli stanę przed nią w tym stroju. Może powinnam wejść przez okno i się przebrać.

- Radziłbym ci wmaszerować do domu frontowymi drzwiami i powiedzieć prawdę. Im więcej kłamstw, tym gorzej.

- I mówi to człowiek, którego życie to jedno wielkie pasmo kłamstw.

- Zgadza się. Jestem ekspertem, nie sądzisz? Nie bój się. Wejść z tobą.

Gabriel zapukał do drzwi.

Portia wyszła im na spotkanie i zawołała od progu, najwyraźniej na użytek pani St Clair:

- Wielebny Gabriel i panna Camilla! - Podparła się pod boki i zrobiła groźną minę. - Gdzie wyście się podziewali? Ojciec panienki odchodzi od zmysłów!

- Jeśli to Camilla - rozległ się z bawialni głos starszej pani - każ jej natychmiast do mnie przyjść!

Camilla spojrzała na Gabriela.

- Ale nam się dostanie...

Popchnął ją delikatnie do środka.

- Tylko pamiętaj, mów prawdę.

Uniosła brodę i ściągnawszy czapkę, wmaszerowała zamasyżycie do holu. Jej ciężkie buty dudniły głucho o drewnianą posadzkę. Odgłos kroków Gabriela za plecami dodawał jej otuchy. Po chwili wkroczyła do salonu.

- Babciu, przepraszam, że tak długo mnie nie było, ale wielebny Ga- yyy, o jej...

Kilku wojskowych w szarych mundurach zastygło z filizankami w połowie drogi do ust i wlepiło w nią zdumione spojrzenia. Babka siedziała w fotelu w szafranowej sukni, kryjąc twarz za jedwabnym wachlarzem. Zapadło pełne konsternacji milczenie.

- Jak widzisz, mamy gości, moja droga - odezwała się po pewnym czasie pani St Clair, po czym zwróciła się do dżentelmena mającego w klapie liczne ordery. - Generale Forney, przedstawiam panu moją wnuczkę. Domyśla się pan zapewne, że Camilla słynie ze spektakularnych wejść.

Tydzień później Camilla zasiadła do niedzielnego śniadania w towarzystwie babki. Podpierając ręką policzek, bezmyślnie bawiła się łyżką zanurzoną w talerzu z owsianką.

- Ślicznie dziś wyglądasz, moje dziecko - zauważyła pani St Clair.

- Dziękuję, babciu.

Miała na sobie najlepszą suknię w kolorze żonkili, na szyi medalion matki, a w uszach nieodłączne kamelie. Złote loki spięła na karku perłową klamrą. Z pewnością prezentowała się znacznie lepiej niż w sobotę wieczorem, kiedy skompromitowała się przed gośćmi.

- Odkąd wróciłaś z wyprawy do Fort Morgan, jesteś markotna i milcząca. Mam nadzieję, że to nie początki febry.

- Jestem tylko trochę przemęczona. To wielki zaszczyt, że generał Forney zdecydował się dojechać do zdrowia w naszych skromnych progach, ale Jamie też jeszcze jest chory, a dogłądanie dwóch rekonwalescentów oznacza ogrom dodatkowej pracy.

Starsza pani uważnie przyjrzała się wnuczce.

- Coś mi się zdaje, że ta zadumana mina to nie owoc nadmiernej fadygi.

Camilla poczuła, że pieką ją policzki.

- Chodzi o wielbego Lelanda, prawda? Odwróciła głowę, by ukryć rozgoryczenie.

- Nawet nie przyszedł zapytać o zdrowie Jamiego!

- Owszem, przyszedł. Prosił też o rozmowę z tobą.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Przecież właśnie mówię. Zaproponowałam, by zabrał cię po kościele na przejażdżkę po Bay Shell Road i na piknik.

- Jak to? I nie zapytałaś mnie o zdanie? Obiecałam Jamiemu, że poczytam mu po obiedzie i...

- Za późno, żeby się wycofać. Msza już za godzinę - powiedziała pani St Clair i wyciągnęła ku niej rękę. - Możesz dać mi na chwilę nóż do masła? Zdaje się, że mój gdzieś zniknął.

Camilla podniosła sztuciec i wciągnęła głośno powietrze. Leżał na stole do góry nogami. Portia od lat przekazywała jej w ten sposób wiadomości dotyczące działań Kolei Podziemnej.

- Co się stało? - spytała starsza pani, marszcząc brwi.

- Nic takiego. - Camilla odsunęła gwałtownie krzesło i spróbowała wstać. -

Źle się czuję. Idźcie do kościoła beze mnie.

Babka położyła wnuczce dłoń na ramieniu.

- Co jest w tym nożu? - zapytała stanowczo.

- Nic!

- Pokaż mi go.

- Ależ, babciu, daj pokój, to tylko nóż.

- Daj mi go natychmiast.

Nadszedł dzień, którego Camilla obawiała się od dawna.

Pani St Clair odczepiła ostrze, po czym z rękojeści wyjęła niewielki zwitek papieru. Przebiegłszy wzrokiem tekst, podała go z powrotem przerażonej wnuczce.

- Zostawiłam na górze okulary - odezwała się płaczliwie Camilla. - Mogłabyś mi przeczytać?

W oczach pani St Clair pojawiło się zdziwienie. Zawahała się, a potem rozłożyła ponownie kartkę.

- „Najdroższa Camillo” - zaczęła - „Modłę się, by nikt nie przechwycił tej wiadomości...”.

Camilla wyrwała babce papier i przystawiła go sobie pod nos. Na próżno usiłowała odczytać rozmazane literki. Łzy ulgi zamgłiły jej oczy, zdołała jednak wychwycić na dole strony podpis Harry'ego. Źle się stało, że babka dowiedziała się o ich potajemnej korespondencji, ale przynajmniej nie wyszła na jaw jej działalność na rzecz Kolei Podziemnej.

- To od Harry'ego - poinformowała zupełnie niepotrzebnie i oddała list pani St Clair.

- „Modłę się, by nikt nie przechwycił tej wiadomości. Gdyby wpadła w niepowołane ręce, cały mój regiment znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie. Domyślam się jednak, że chciałabyś wiedzieć, jak mi się

wiedzie. Zapewne niełatwo ci utrzymywać nasze kontakty w sekrecie. Mam nadzieję, że twoje uczucia się nie zmieniły - moje z każdym dniem stają się coraz silniejsze. Im dłuższa rozłąka, tym bardziej za Tobą tęsknię. Jak głoszą plotki, Grant zamierza wkrótce uderzyć na Pascaguolę. Wielce mnie to martwi i zasmuca. Do Mobile stamtąd jest bardzo niedaleko, a Grant to ambitny i nieustraszony dowódca. Co dzień proszę Boga, by czuwał nad Tobą i Twoją rodziną. Oby wuj Ezekiel wykazał rozwagę i zabrał Was w porę z miasta, bo - głos starszej pani wyraźnie zdrżał - Corinth to była prawdziwa rzeź".

- Harry został ranny? - zapytała zdenerwowana Camilla.

- Nie. Posłuchaj dalej: „Stwórca postanowił zachować mnie przy życiu, być może po to, bym ratował innych. Dniami i nocami zszywam rany i odejmuję roztrzaskane kończyny. Oby nigdy nie było Ci dane oglądać okropności, których widok towarzyszy mi stale od trzech dni. Jestem do cna wyczerpany, ale jak tylko ranni zostaną przetransportowani do najbliższego szpitala, dołączę do swojego regimentu, który rozpoczął marsz na południe. Generał Grant podjął decyzję o przejęciu najważniejszych portów Południa. Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś okropniejszego od najazdu na region, który jest mi niemal równie bliski jak rodzinne Tennessee. Niemniej nie potrafię wyrzec się obowiązku wobec ojczyzny. Dlatego proszę Cię, moja droga, jeśli wojska unii zagrożą Mobile, uciekaj jak najdalej od domu. Będę modlił się za Ciebie codziennie, dopóki nie zyskam pewności, że jesteś bezpieczna. Tymczasem wstaw się za mną w swych rozmowach z naszym Ojcem w niebie. Zawsze twój, Harry".

Camilla zakryła usta dłonią, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Spostrzegła, że babka upuściła list i zacisnęła powieki.

- Nie sądziłam, że dożyję dnia, w którym dojdzie do tego, że rodzina będzie walczyła przeciwko sobie. Jak lekarz, człowiek przeznaczony do ratowania istnień ludzkich, może dobrowolnie pójść na wojnę?

- Przykro mi, babciu. Wiesz, że zawsze go kochałam.

- Jak brata. Zapomniałaś już, że nas zostawił? Harry dokonał wyboru, moja droga. Opowiedział się po stronie wroga.

- To nie zmienia jego uczuć do nas... do mnie.

- Spójrz na mnie, dziecko! Zapamiętaj sobie, że wojna zmienia ludzi bardziej, niż jesteś w stanie ogarnąć umysłem. Kiedy skończy się ten koszmar, a twoje mniemanie o Harrym nie ulegnie zmianie, jeśli nadal będziesz go wielbić i szanować ponad wszystkich innych mężczyzn i będziesz przekonana, że to Bóg wybrał go dla ciebie na męża, poślubisz go z moim błogosławieństwem. Proszę cię tylko o jedno, nie daj się zwieść pozorom. Nie pozwól, by w tym najważniejszym wyborze kierowały tobą litość, sentyment czy też źle pojęte poczucie lojalności. Rozumiesz, o co mam na myśli?

- Tak, babciu, rozumiem - odparła Camilla, choć wcale nie była tego pewna.

Gabriel pomógł Camilli wysiąść z wynajętej w hotelu bryczki i przywiązał konia do rozłożystej mimozy.

- Wymarzona pogoda na piknik - wygłosiła nadętym tonem i skierowała się w stronę wijącego się nieopodal strumyka.

- Istotnie, piękny mamy dzień. - Wrzucił kapelusz do powozu, zdjął surdut i ruszył za nią z pledem i koszem pełnym jedzenia, które przygotowała dla nich Portia. - Ostrzegam cię, że jeśli zamierzasz kontynuować rozmowę w równie błyskotliwy sposób, oddam się w ramiona Morfeusza jeszcze przed posiłkiem i zrobię to bez najmniejszych skrępułów.

Podparła się pod boki.

- Wypchaj się!

- Taki właśnie mam zamiar. Czekam tylko, aż do mnie dołączysz. -

Uśmiechnął się zachęcająco, usiadłszy na kocu. - Jestem bardzo głodny.

Po namyśle Camilla uklękła obok Gabriela spowita dookoła żółtą bawełną.

- Ciekawe, co tam mamy w koszyku? - spytała, uchylając wiklinowe wieko.

Wkrótce zajadali się pieczonym kurczakiem, ciasteczkami z konfiturą z truskawek oraz plackiem z jagodami. Kiedy ogryźli wszystkie kosteczki i spałaszowali ciasto do ostatniego okruszka, Gabriel oparł się plecami o pień drzewa i splótł ręce na brzuchu. Camilla leżała obok niego wsparta na łokciach. Wyjęła z kieszeni wachlarz z piór i paciorków. Jej kompan sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał zasnąć, wiedziała jednak, że jeśli tylko zechce, natychmiast się otrząśnie i znów będzie czujny.

- Po co mnie tu zaprosiłeś? - zapytała. Gabriel otworzył leniwie jedno oko.

- Chciałem sprawdzić, co ci chodzi po głowie. Wychodziłaś ostatnio przez jakieś okna?

- Nie, ale dziwię się, że jeszcze o tym nie wiesz.

- Och, nie martw się, miałem cię na oku, ale byłem bardzo zajęty. Cały tydzień nic tylko śluby, pogrzeby i wizyty w szpitalu. Żebyś wiedziała, jak mnie to wszystko męczy...

- Babka wspomniała, że wpadłeś zapytać o zdrowie Jamiego. Nawet nie przyszedłeś się ze mną przywitać. - Nie udało jej się ukryć rozgoryczenia w głosie.

- Biegałaś po mieście za sprawunkami. A jednak za mną tęskniłaś...

- Równie mocno jak za bólem zęba! - odparowała bez namysłu.

Gabriel się roześmiał, a Camilla przesunęła się na kocu odrobinę bliżej niego.

- Bądź choć przez chwilę poważny. Wiele się wydarzyło i... muszę z tobą porozmawiać.

Natychmiast otworzył drugie oko.

- Wystarczy, że po mnie poślesz, a przyjdę do ciebie o każdej porze dnia i nocy. Będiesz o tym pamiętać?

Skinęła głową.

- To dobrze. Co takiego ważnego chciałaś mi powiedzieć?

- Myślałam o tej łodzi...

- O której łodzi? O tej z torpedą? Wiesz coś o niej?

- Niewiele. Tej nocy, kiedy się poznaliśmy - pamiętasz?
- Wierz mi, ta noc wryła mi się w pamięć na zawsze.
- Kiedy wróciłam wtedy do domu, musiałam przejść koło okna gabinetu ojca.

Było otwarte i usłyszałam, jak papa rozmawia o jakimś mężczyzną o łodzi. Mówili, że jej plany są ukryte w warsztacie mechanicznym.

Gabriel natychmiast się ożywił.

- Co jeszcze słyszałaś?

- Podobno był gotowy prototyp, ale go zatopili, gdy Jankesi zajęli Nowy Orlean. Mają odbudować łódź w Mobile i... wymienili nazwisko człowieka, który zajmie się naprawą wadliwej śruby. - Camilla zawahała się. Im dłużej o tym rozmyślała, tym mniej widziała w tym sensu. Być może coś źle zrozumiała. - Powiedzieli, że nazywa się... Lanier.

- Chodziło im o stryja. To on czuwa nad konstrukcją metalowych części łodzi. Kilka tygodni temu widziałem te plany w odlewni.

Camilla zaczęła składać na czworo serwetkę.

- Wychodzi na to, że ja szpieguję ojca, a ty stryja. Co powinnam zrobić? - zapytała z cichym westchnieniem.

- Miej oczy i uszy szeroko otwarte. I nikomu ani słowa na temat łodzi. -

Zerknął na nią podejrzliwie. - Chyba nie mówiłaś o tym nikomu poza mną?

- Zapytałam Jamiego, czy o czymś takim słyszał, ale mnie wyśmiał.

- Kto jeszcze wie?

- Pytałam też Portię, czy coś jej wiadomo o...

- Pytałaś piastunkę o łódź podwodną?!

- Portia to jedna z najmądrzejszych osób, które znam, jeśli chcesz wiedzieć! I jest znacznie wyższa rangą ode mnie w organizacji Kolei Podziemnej. - Popatrzyła na niego z wyrzutem. - Kto jak kto, ale ty nie powinienes mieć do ludzi uprzedzeń.

- Nie w tym rzecz. Ta kobieta to niewykształcona niewolnica. Takie są fakty.

- Jest tak samo wykształcona jak ja.

Gdy prychnął z niedowierzaniem, zatrzęsała się z oburzenia.

- Babka nauczyła ją czytać i pisać. Portia zna na pamięć obszerne fragmenty Biblii.

- To ci dopiero użyteczna wiedza. Z pewnością ma szerokie zastosowanie w życiu.

- Jesteś beznadziejny! - Camilla poderwała się na klęczki i rzuciła serwetką w Gabriela. - Już nigdy więcej niczego ci nie powiem!

- Dobrze, już dobrze. Uspokój się. - Oparł ramiona na podkurczonych kolanach. - Pozwól mi się zastanowić. Brat pewnie nawet nie zwrócił uwagi na to, co mówisz, a Portia ma własne powody, by zachować milczenie. W tym nasza nadzieja. Na przyszłość, proszę cię, trzymaj język za zębami. To, co wiemy o łodzi, musi pozostać między nami, rozumiesz?

- Rozumiem i chciałabym pomóc.

- Jeśli chcesz mi pomóc, wprowadź mnie do gabinetu ojca. Nie wiem, gdzie ją budują, a ze stryja niczego nie wyciągnę. Muszę ją znaleźć i obejrzeć, sprawdzić, czy istotnie stanowi poważne zagrożenie. Jeżeli się okaże, że tak...

- Co wtedy zrobisz?

- Zniszczę łódź, jej konstruktorów i tych, którzy sfinansowali budowę, a plany zabiorę do Waszyngtonu, na pewno się przydadzą.

Spojrzała na niego oniemiała.

- Ale to znaczy, że... podpiszesz wyrok na stryja i mojego ojca!

Gabriel uciekł spojrzeniem w bok.

- Myślisz, że generał Forney może być w to zaangażowany?

- Generał Forney? Nie mam pojęcia. Prawie go nie widzimy, odkąd przyjechał. Za bardzo niedomaga, by wychodzić. Odniósł liczne rany. Przez większość czasu doglądają go jego ludzie.

- Spróbuj się dowiedzieć, czy dostał rozkazy z Richmond. Może istnieją plany fortyfikacji miasta, zwłaszcza fortów i zatoki. Znalazłaś się w idealnej sytuacji, by zbierać informacje dla naszego wywiadu.

Camilla skinęła głową.

- Jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Chodzi o Harry'ego. Dziś rano dostałam od niego list, ale babcia go przechwyciła.

Złapał ją za nadgarstek.

- Jak to się stało?

- Portia przekazuje mi czasem ważne wiadomości w nożu do masła. Babka musiała podejrzewać coś od dłuższego czasu i... po prostu zabrała mi go i wyjęła kartkę.

- Zatem twoja rodzina dotąd nie wiedziała, że z nim korespondujesz? Co powiedziała pani St Clair?

- Zareagowała bardzo dziwnie. Nie była nawet w połowie tak wściekła jak w ubiegłą sobotę, gdy pojawiłam się w domu w spodniach. Sprawiała wrażenie, jakby mi współczuła.

- A więc jej zdaniem chodzi jedynie o zakazaną miłość? - zapytał z ironią Gabriel.

- Tak. Harry jest w Corinth. Przygotowuje się do wymarszu na południe.

- Rozumiem, że ma się dobrze?

- Nic mu nie jest, ale czuje się zmęczony. Sądzi, że generał Grant zaatakuje Pascagoulę, a potem Mobile.

- Wątpię. Ze strategicznego punktu widzenia nie ma tu niczego godnego uwagi poza tą nieszczęsną łodzią podwodną.

Rozdział jedenasty

- Jak się dzisiaj czujesz?

Camilla zatrzymała się przy łóżku brata i postawiła na stoliku tacę ze śniadaniem. Zapachniało kielbasą i świeżo upieczonymi biszkoptami. Minął tydzień, odkąd Jamie wrócił do domu, lecz gorączka i osłabienie wciąż nie ustępowały. Rekonwalescent spędzał całe dni w swoim pokoju, zajmując się niemal wyłącznie wyglądaniem przez okno. Rodzina niepokoiła się jego stanem, ale najważniejsze było to, że jest znowu z nimi i że wkrótce na pewno wyzdrowieje. Dziękowali Bogu, że przeżył.

Spojrzał na nią znad książki i natychmiast się rozpogodził.

- Jakie wspaniałe zapachy! Chyba wraca mi apetyt.

- To dobry znak.

Uśmiechnęła się promiennie i usiadła obok niego na krześle. Do tej pory jadł bardzo niewiele. Gabriel twierdził, że powrót łaknienia to oznaka powrotu do zdrowia. Jamie zabrał się do jedzenia z zapalem, ale ściśnięty żołądek szybko się zapełnił.

- Więcej nie dam rady. - Odłożywszy widelec, Jamie oparł się wygodnie o poduszkę.

- Portia wpadnie tu zaraz jak burza i zmyje mi głowę za to, że cię głodzę. Założę się, że własnoręcznie by cię nakarmiła, gdyby nie była taka zajęta doglądaniem generała Forneya i jego świty.

Jamie uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

- Przydałoby ci się strzyżenie. - Camilla odgarnęła bratu z czoła potargane włosy. - Może przyniosę nożyczki?

Uchylił powiekę.

- Przyszłaś tu, żeby mnie rozweselić, czy chcesz wpędzić mnie do grobu marudzeniem?

Westchnęła i dała za wygraną.

- Proszę cię, Jamie, obiecaj mi, że więcej nie wypłyniesz poza blokadę. Już raz ledwie uszedłeś z życiem.

- Jankesi nie zdołają powstrzymać „Lady C” przed żegluga. Chambliss słono mi płaci za każdy rejs.

- Czy to prawda, że generał Forney rozkazał spalić albo zmagazynować całą bawełnę? Jeśli tak, nasze kontakty handlowe z Europą znacznie podupadną.

- Po co zaprzątasz sobie śliczną główkę tymi sprawami? - Zmarszczył brwi. - Forney wie, co robi.

- Ale przecież to kompletnie nie ma sensu!

- Generał się obawia, że duże zbiory bawełny mogłyby zachęcić federalnych do ataku. Dlatego zamierza ją schować. Słyszałem, że Forney początkowo planował ewakuować miasto, ale zmienił zdanie i obiecał bronić Mobile.

Camilla podniosła ze stolika lunetę brata i przyłożywszy ją do oka, wyjrzała przez otwarte okno.

- Coś takiego! Ależ to wspaniałe wynalazek! Można stąd zobaczyć nawet... Ojej, Jamie, toż to sypialnia Mayelli Honeycutt!

Wyrwał jej przyrząd z ręki i cisnął go do szuflady.

- Uwierz mi, nie jestem w nastroju, by zaglądać do cudzych sypialni. Zdaje się, że chciałaś coś powiedzieć?

Zafascynowana działaniem szkła powiększającego, Camilla przez chwilę wpatrywała się w brata niewidzącym wzrokiem.

- Uważasz, że Jankesi nie zaatakują Mobile? Ludzie mówią, że Grant rozpoczął marsz na południe przez Missisipi.

- Też o tym słyszałem, ale wątpię, by zaszedł aż tak daleko.

- A jeśli jest z nim Harry? Nie przeraża cię myśl o tym, że może będziesz musiał walczyć ze swoim najlepszym przyjacielem, a zarazem kuzynem?

- Harry dokonał wyboru. - Jamie powtórzył słowa babki. - Ja również.

Opowiedziałem się po stronie niezależności i wolnych praw dla każdego stanu. Nie głosowałem na pana Abrahama Lincolna. Nie pozwolę, żeby prezydent, którego nie wybrałem, dyktował mi, jak mam żyć.

- A potrafisz spojrzeć w oczy Horace'owi, Portii i Williemu? Przecież dyktujemy im, jak mają żyć, i nie pytamy, czy im się to podoba, czy nie.

Obrzucił ją rozgniewanym spojrzeniem. Natychmiast pojęła, że posunęła się za daleko.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Może i nie mam... - wycofała się wystraszona. - Po prostu się zastanawiam...

- Zupełnie niepotrzebnie. Polityka to sprawa mężczyzn. - Zamknął oczy, jakby uznał dyskusję za zakończoną. - Chyba zjem jeszcze jednego biskopta, zanim pójdziesz. Aha, i powiedz papie, żeby zajrzał do mnie po powrocie.

Camilla miała szczerą ochotę rozbić bratu na głowie tacę. „Sprawa mężczyzn”, myślałby kto! Gdyby mężczyźni słuchali tego, co się do nich mówi, równie ochoczo jak wydają rozkazy, świat byłby o wiele lepszy. Była o tym przekonana.

Ziemia była nadal wilgotna po popołudniowej ulewie, gdy Camilla postawiła na ścieżce wiadro z nawozem. Odziana w najstarszą suknię w czarno-żółtą kratę i obszerny bawełniany fartuch, przyklękła obok rabatki z ukochanymi liliami babki, która komenderowała wnuczką z zacienionej werandy.

- Tylko nie żałuj obornika moim cudeńkom!

Camilla wciągnęła rękawiczki i zabrała się do pracy, próbując nie oddychać.

Od rozmowy z Jamiem upłynęło kilka dni. Kiedy przy posiłkach podnoszono kwestię planów obrony Mobile, brat rzucał jej wprawdzie nieufne spojrzenia, lecz wkrótce zaczęły go zajmować własne sprawy i przestał zaprzętać sobie głowę siostrą. Im szybciej wracało mu zdrowie, tym bardziej niecierpliwie wyczekiwał powrotu na statek.

Camilla powitała tę zmianę z niemałą ulgą i znalazła inny sposób zdobywania informacji. Zauważyła, że wojskowa świta generała Forneya jak jeden mąż lekceważy niewolników. Rozprawiali w ich obecności zupełnie swobodnie, między innymi o - jak je lubili nazywać - „pozał się Boże działkach” Randolpha, które rozmieszczono na peryferiach miasta. Nieraz zastanawiali się na głos, czy rzezone „armaty” będą w stanie odeprzeć atak wojsk federalnych.

Była też mowa o masowym przewozie regimentów konfederackich koleją. Dla Camilli było oczywiste, że pociągi z żołnierzami będą musiały przejeżdżać przez Mobile. Po przejęciu Corinthu przez nią przedsiębiorstwo transportowe Ezekiela Beaumonta obsługiwało jedyny szlak kolejowym pomiędzy wschodem a zachodem.

Camilla przerwała na moment kopanie w ziemi i poprawiła na nosie okulary. Szkopuł w tym, że choć sporo się dowiedziała, niewiele z tego wszystkiego rozumiała. Zapamiętywała liczebność oddziałów i nazwiska dowódców, czasem nawet biegła do swojego pokoju, by coś zanotować albo naszkicować mapę fortyfikacji, której opis przypadkiem usłyszała. Niemniej jej niewycwiczony umysł przyjmował ten natłok wiadomości jak jednolitą papkę niepowiązanych ze sobą danych. Co do łodzi... Cóż, jedynym sposobem na jej odnalezienie wydawało się przeszukanie gabinetu ojca.

- Halo, młody człowieku! - rozległo się raptem z werandy. Byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał zabrać swoje wielkie buciorzy z mojej rabatki! - Pani St Clair uniosła groźnie laskę.

Przerażony oficer zdążył zamordować jeszcze jedną lilię, nim uskoczył na ścieżkę obok Camilli.

- Najmocniej przepraszam, proszę pani... panno...

- Nic się nie stało. Dzięki panu szybciej skończę. - Kiwnęła głową w stronę werandy. - Są oczkiem w głowie babki. Nieszczęśliwie za nimi przepadam.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią sobie twarz.

- Nie patrzyłem pod nogi. Jestem tu nowy. Niedawno przydzielono mnie do generała Forneya. Trochę się spieszę i... pomyślałem, że pójdę na skróty. Czy... panie tutaj mieszkają? - spytał, patrząc z podziwem na Camillę.

Zerknęła na umorusaną błotem sukienkę i cuchnące rękawiczki.

- Owszem. Camilla Beaumont, miło mi - przedstawiła się żołnierzowi.

Nie sprawiał wrażenia urażonego tym, że nie podała mu ręki.

- Podporucznik Israel Duvall. - Uśmiechnął się szeroko i złożył przed nią szarmancki ukłon. - Jeśli zaraz nie stawię się przed dowódcą, mogę znów zostać szeregowym Duvallem. Mam nadzieję, że wkrótce panią zobaczę. - Odwróciwszy się do pani St Clair, zawołał: - Jeszcze raz bardzo przepraszam! - Następnie pogwizdując pod nosem, ruszył do drzwi frontowych.

Kiedy zniknął im z oczu, Camilla nie wytrzymała i zaczęła chichotać.

Babka spojrzała na nią z figlarnym półuśmieszkiem.

- Jesteś dziś wyjątkowo mało pojętna, moje dziecko.

- Nie bardzo rozumiem. - Camilla sięgnęła z powrotem po motykę. - Co masz na myśli, babciu?

- Fanny Chambliss z pewnością zdążyłaby umówić się z nim na popołudniową przejażdżkę.

- Stać mnie na więcej.

- Ach tak? Możesz to z łatwością udowodnić. Niebawem wydajemy przyjęcie dobroczynne. Będziemy zbierać fundusze na rzecz wojska, ma się rozumieć. Pierwsza panna, która zatańczy walca z przystojnym podporucznikiem, zostanie królową balu.

- Miałabym fory, bo już go poznałam.

- Nie sądzisz chyba, że Fanny jeszcze go nie poznała? Jeśli tak, to nie doceniasz przeciwniczki.

Gabriel stanął przed drzwiami Beaumontów w nowym czarnym surducie, marszczonej białej koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem i wieczorowych

spodniach. Kiedy Horace wprowadził go do środka i wziął od niego kapelusz, zatrzymał się przed lustrem w holu i poprawił węzeł fularu. Camilla dotrzymała obietnicy i stworzyła mu znakomitą okazję do tego, by wmieszać się w tłum odprężonych, przy odrobinie szczęścia może nawet podpitych, konfederackich oficerów.

Przedarłszy się przez gąszcz bufiastych krynolin, przystanął, by się rozejrzeć. Gustownie urządzona sala była udekorowana kwiatami, a wprawna wojskowa orkiestra przygrywała melodyjnego walca. Okna zdobiły draperie w kolorze burgunda. Poprzetykano je złotymi nićmi, które mieniły się w świetle okazałych kryształowych kandelabrow. Wystrój okazał się kosztowny, ale nie krzykliwy.

Prześlizgnął się wzrokiem po zebranych w nadziei, że wypatrzy pana domu. Pani St Clair, spowita w różowe jedwabie, gawędziła z wojskowym w randze generała - zapewne Forneyem, który zasiadał w fotelu obok niej. Laniere wymieniał właśnie uprzejmości z jednym z napotkanych znajomych, gdy nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się, by napotkać roześmianą twarz Jamiego.

- Beaumont! - Uśmiechnął się i podał mu rękę. - Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu.

- Dzięki tobie i Camilli wydobrzałem na tyle, że jestem prawie gotów ponownie wyprowadzić „Lady C” w morze.

- Miło mi to słyszeć, choć przypuszczam, że wyzdrowiałbyś i bez chininy. Zatem planujesz kolejną wyprawę przez blokadę. Czy to na pewno rozsądne?

- Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

- Nie. Wydaje mi się tylko, że człowiek z twoimi zdolnościami powinien raczej mieć inklinacje ku temu, by wykorzystywać swoje talenty bezpośrednio na rzecz konfederacji. Dziwię się, że nie zaciągnąłeś się do marynarki...

Uprzejmy wyraz znikł z twarzy Jamiego.

- Doprawdy męczy mnie już to ciągle kwestionowanie lojalności naszej rodziny.

- Ależ, drogi przyjacielu...

- To, że mój kuzyn opowiedział się po stronie unii, nie znaczy jeszcze, że...

- Jaki kuzyn? - Gabriel uniósł pojednawczo dłoń. - Nie słyszałem o żadnym kuzynie.

- Camilla ci nie mówiła? - zmieszał się Jamie. - Jest chirurgiem polowym w armii federalnej.

- Twoja siostra nie wspominała mi o nim, a nawet gdyby to zrobiła, nie zmieniłoby to mojej opinii o was. Jestem przekonany, że waszej rodzinie niczego nie można zarzucić.

Jamie wyraźnie się odprężył.

- Zastanawiałem się - ciągnął Gabriel - czy nie lepiej byłyby inwestować w intratne przedsięwzięcia bliżej domu? Zwłaszcza że ponoć wzmocniono wartę na blokadzie.

- Jestem przekonany, że ojciec nie da mi długo odpocząć. Z pewnością znajdzie mi zajęcie w Mobile.

- Miałem nadzieję, że uda mi się zamienić z nim słowo.

- Obawiam się, że wróci dopiero za kilka dni. Interesy związane z naszą działalnością transportową wezwały go w głąb stanu.

- Rozumiem. - Gabriel robił, co mógł, by sprawiać wrażenie zawiedzionego. - Znalazłem ostatnio znakomite kubańskie cygara i chciałem zasięgnąć jego opinii na ich temat, ale będę musiał odłożyć to na inną okazję.

- Nie wątpię, że będzie ich wiele. Poznałeś już naszego stałego rezydenta? - Jamie wskazał głową Forneya.

- Spotkaliśmy się przelotnie dwa tygodnie temu.

- W takim razie nie będzie potrzebna oficjalna prezentacja.

Gabriel ruszył śladem gospodarza. Gdy przechodzili przez salę, w kierunku Jamiego co chwila padały tęskne spojrzenia licznie zgromadzonych panien. Młody Beaumont zdawał się zupełnie ich nie dostrzegać.

Generał John Forney podał Gabrielowi rękę na powitanie.

- Wybacz pan, ale nie jestem w stanie wstać. - Był przystojnym mężczyzną w sile wieku, z ciemną brodą i posiwiałymi skrońmi. - Cieszyłem się na ten wieczór rozrywek, ale postanowiłem oszczędzać siły.

- Doskonale pana rozumiem, generale. - Gabriel uważał Forneya za budzącego respekt dowódcę. Odznaczył się męstwem w bitwach pod First Manassas, Dranesville i Richmond. Dzięki zasługom awansował na komendanta wojsk stacjonujących w Mobile. - Cała nasza parafia modli się o pański rychły powrót do zdrowia.

- Będę wdzięczny za każdą pomoc Wszechmogącego, jaką zdoła pan dla mnie wybłagać, wielbny Lelandzie. - Forney wskazał na łaskę Gabriela. - Zdaje się, że własne przetrwanie również zawdzięcza pan usilnym modłom. Pani St Clair wspominała, że walczył pan pod Shiloh.

- Owszem. Nie wyróżniłem się jednak niczym szczególnym. Noga prawie mi nie dokucza.

- Przypuszczam, że trzeba ją jedynie nieco rozruszać, a będzie jak nowa - stwierdziła zdecydowanie pani St Clair, po czym, posługując się własną łaską, posłała łaskę wielbnego na podłogę.

Gabriel odruchowo złapał równowagę i posłał staruszce osłupiałe spojrzenie.

- O mój Boże, wielbny Gabrielu! - Gdyby chodziło o kogoś innego, nazwałby to, co błąkało się w kącikach jej warg zgryźliwym uśmiechem. - Byliśmy świadkami cudu! Może dla uczczenia tego niebywałego wydarzenia zatańczy pan z moją wnuczką?

Camilla stała nieopodal za filarem, wydając polecenia wynajętej z okazji balu służbie. Na widok wstrząsających poczynań seniorki rodu odprawiła lokaja i wyłoniła się zza kolumny. Podparłszy się pod boki, spojrzała na babcię na poły z rozbawieniem, na poły z wyrzutem.

Tego wieczoru panna Beaumont z pewnością nie prezentowała się jak dziewczynka. Szeroki koronkowy kołnierz, udrapowany tuż poniżej barków, odsłaniał jej mlecznobiały kark i bajeczny dekolt. Gdy oniemiały Gabriel przeniósł wzrok na jej twarz, powitał go ironiczny uśmiech, podobny do tego, który gościł niedawno na pomarszczonym obliczu jej babki.

- Panno Beaumont, będę zaszczycony - Skłonił się niezgrabnie i pozostawiwszy laskę w rękach służącego, ujął odzianą w rękawiczkę dłoń i poprowadził Camillę na parkiet do kadryla.

- Jesteś pewien, że dasz radę? - Zerknęła na niego, gdy czekali na pierwsze takty muzyki.

Przyjrzał jej się od stóp do głów na tyle dokładnie, na ile starczyło mu śmiałości. Wyglądała olśniewająco. Okalające twarz jedwabiste loki były spięte jedynie na czubku głowy i skroniach małymi klamerkami w kształcie białych kwiatusków i perełek. Oczy lśniły, a policzki zdobił rumieniec.

- Myślę, że jakoś za tobą nadążę - powiedział.

Wydawała się wytrącona z równowagi oględzinami, którym ją poddał. Bezwiednie przygryzła wargę i spłonila się jeszcze bardziej. Gabriel przytrzymał wzrokiem jej spojrzenie i delikatnie pogłaskał kciukiem wewnątrz jej dłoni. Nie był to obraźliwy gest, ale za to zaskakująco poufały.

- Nie pojmuję, wielebny, jak można próbować nadążyć za kimś, kto nigdzie się nie wybiera?

Zbiła go z pantałyku. Przez cały taniec, a i długo potem, zastanawiał się, co też takiego mogła mieć na myśli. Odprowadziwszy ją do babki, odebrał laskę i wsparty o ścianę, przyglądał się, jak Camilla przyjmuje zaproszenie do tańca od młodego podporucznika.

Wirowali radośnie wokół sali, żołnierz trzymał tę samą dłoń, którą niedawno ścisnął Gabriel. Druga ręka młodzieńca obejmowała Camillę w talii. Przyłapał się na tym, że odkąd ujrzał ją tego wieczoru, jego myśli krążyły wokół jednego tematu.

Przywołał się do porządku: nieważne jak wygląda, ważne, by wpuściła go do gabinetu ojca.

Camilla krążyła po parkiecie w objęciach Israela Duvalla. Przy okazji czerpała niewysłowioną przyjemność z tego, że Gabriel uparcie unika jej wzroku. Miała wrażenie, że wciąż czuje we wnętrzu dłoni dotyk jego kciuka, choć było to oczywiście niedorzeczne. Posłała młodemu porucznikowi oszłamiający uśmiech, naturalnie upewniwszy się uprzednio, że Gabriel ją obserwuje. Wydawało się, że na nich nie patrzy, a jednak zacisnął wargi. Zadowolona, pozwoliła partnerowi pokierować sobą w walcu w przeciwległy kąt sali. Po zakończeniu tańca Duvall odprowadził ją do fotela pani St Clair i ukłonił się, by ucałować jej dłoń. Gdy się prostował, powędrował spojrzeniem ponad ramię Camilli i z miejsca rozbłyły mu źrenice.

Camilla obejrzała się i westchnęła, ujrawszy za plecami Fanny Chambliss, która gawędziła z generałem, bawiąc się wyszywanym wachlarzem. Wyglądała jak wróżka z bajki. Połyskujące warkocze upięto na karku w przemyślny kok. Miała na sobie bladoniebieską suknię idealnie dobraną do koloru oczu. Jak większość kobiet w mieście, wkładała ją na wszystkie oficjalne okazje od bez mała roku, ale podporucznik Duvall nie mógł o tym wiedzieć.

- Ki-kim jest ta panna? - wyjąkał zmieszany. - Zechce pani nas sobie przedstawić?

Może i pierwszy walc należał do mnie, pomyślała Camilla, ale ostatni z pewnością przypadnie w udziale Fanny.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i rozległy się gromkie głosy podekscytowanych mężczyzn. Stanąwszy na palcach, Camilla, spostrzegła, że nowo przybyli podchodzą do generała. Ruszyła w ich stronę. Adiutant Forneya zdjął czapkę i zasalutował dowódcy.

- Sir, kapitan Randolph każe zameldować, że Jankesi podeszli pod Fort Morgan.

Po sali przeszedł szmer przerażonych okrzyków. Generał z trudem podźwignął się z miejsca i stanowczym gestem uspokoił zebranych.

- Armia federalna siedzi w zatoce od sześciu miesięcy, sierzancie. Dlaczego kapitan Randolph uznał, że grozi nam bezpośrednio niebezpieczeństwo?

- Wygląda na to, że to nie tylko ci z zatoki. Widziano co najmniej jeden pancernik, być może jest ich więcej. Zachodzi obawa, że to Farragut.

Zbiorowy okrzyk zagłuszył spokojną odpowiedź Forneya. Camilla zrozumiała jedynie, że Randolph ma sprowadzić eskadrę do miasta. W tej samej chwili poczuła za plecami czyjąś obecność. Obejrzawszy się, ujrzała Gabriela, który kiwał głową w kierunku wyjścia z sali balowej. Dawał jej znak. Nie patrząc na niego, przycisnęła się przez ciżbę i stanęła za progiem. Dzięki ogólnemu zamieszaniu, nikt nie zwrócił na nią uwagi. Gabriel dołączył do niej kilka minut później.

- Nie chciałem, by widziano nas razem - wyjaśnił zwięźle. - Musimy się spieszyć. Mamy mało czasu.

Bez słowa poprowadziła go korytarzem.

- Papa zamyka gabinet na klucz - powiedziała, gdy dotarli do szczytu schodów. - Nie mam pojęcia, jak dostać się do środka.

- O to się nie martw. Pokaż mi tylko, który to pokój.

Gdy zeszli na parter i dotarli na miejsce, Camilla raptem się zawahała. Stanęła z ręką na klamce i popatrzyła na Gabriela.

Spoglądał na nią z niewzruszonym wyrazem twarzy. Zdawał się myśleć tylko o tym, by jak najprędzej odsunęła się od drzwi. To człowiek bez skrupułów, pomyślała z lękiem, a ja zamierzam wydać na jego łaskę własnego ojca.

- To chyba nie najlepsza pora - spróbowała się wycofać. - Ktoś może zacząć mnie szukać.

- W takim razie wróć na górę. Przy okazji będziesz mnie kryła.

Nadal tkwiła w miejscu jak wrośnięta w podłogę. Gabriel westchnął z niecierpliwością, ale i to nie pomogło, więc objął ją w pasie i bezceremonialnie przestawił na bok.

- Idź już!

- Nie. Chcę... wiedzieć, czy coś znalazłeś.

- Jak uważasz. - Wzruszył ramionami i wyjąwszy z kieszeni kawałek cienkiego metalowego pręta, wsunął go do dziurki od klucza. Zamek ustąpił i weszli do środka.

- Zamknąć z powrotem?

- Tak.

Gabriel zapalił stojącą na biurku lampę olejną i rozpoczął metodyczne przeglądanie papierów i ksiąg, które znajdowały się w szufladach. Tymczasem Camilla usiadła w dużym skórzanym fotelu.

- Co się stanie z moim ojcem, jeśli znajdziesz to, czego szukasz? - zapytała szeptem.

Gabriel otrzepał z kurzu spodnie i zabrał się do sterty dokumentów zawalających blat.

- Nie wiem. To zależy od tego, co znajdę.

- A jeśli przekonasz się, że łódź nie jest aż tak niebezpieczna, jak początkowo sądziłeś, albo że jej budowa jest zbyt droga, by ktokolwiek zdołał ją sfinansować, zostawisz nas w spokoju i odejdiesz?

Spojrzał na nią znad biurka.

- Najlepiej od razu wybij to sobie z głowy. Wiem, jak sprawnym rzemieślnikiem jest mój stryj. Skoro pracuje nad łodzią, możemy założyć, że będzie dokładnie taka, jak zakłada projekt. Co do kosztów, cóż, tylko twój ojciec wie coś na ten temat. - Kiwnął głową w stronę regałów z książkami, które zajmowały całą ścianę. - Bądź tak miła i przestań mi wreszcie przeszkadzać. Skoro tu jesteś, mogłabyś mi pomóc, w przeciwnym razie świt zastanie nas z pustymi rękami.

Obrażona, nie ruszała się z miejsca co najmniej minutę. Wkrótce doszła jednak do wniosku, że im szybciej przeszukają gabinet, tym lepiej. Dzięki temu wrócą na bal, nim ktoś zorientuje się, że znikli, i zaczną ich szukać. Gabriel przeszukiwał dolną półkę, postanowiła więc zacząć od góry. Sięgnąwszy po drabinę, ustawiła ją jak najdalej od niego. Po jakimś czasie pisnęła z podekscytowania. Natknęła się na rząd ułożonych chronologicznie ksiąg rachunkowych. Przesunąwszy palcem po czarnych grzbietach, ujęła w dłoń tom z aktualną datą: „Kwiecień 1862”.

- Gabriel! Chodź, zobacz, co mam!

- Co to takiego? - Światło lampy rzucało na jego twarz dziwaczny cień.

Camilla wzdrygnęła się bezwiednie..

- Znalazłam księgi rachunkowe ojca. Może jest w nich coś na temat łodzi.

Nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Może, ale na jego miejscu nie przechowywałbym tego rodzaju informacji w najbardziej oczywistym miejscu.

Nim zdążyła zaprotestować, podszedł do drabiny i stanął tuż za jej plecami.

- Co ty wyprawisz? - zapytała, gdy sięgnął przez jej ramię do półki.

- Który to? - Jego oddech połaskotał ją po uchu.

Podawała mu właściwy foliał. Przekartkował zapiski i wciąż ją obejmując, postukał palcem w jedną ze stron.

- Warsztat mechaniczny braci Chambliss i odlewnia Skate sów. To tam muszą konstruować kadłub łodzi.

Bez okularów Camilla mogła jedynie wierzyć mu na słowo.

- Ile ojciec zainwestował?

- Sporo. Zdaje się, że twój papcio całkiem nieźle prosperuje.

Camilla poczuła się tak, jakby ktoś położył jej na piersiach ogromny ciężar. Na wyraźne życzenie pana domu od dawna oszczędzali, jak mogli na domowych wydatkach. Tymczasem on pompował pieniądze z rodzinnego interesu w łódź torpedową, która być może spełni swoje zadanie, a być może nie. Z drugiej strony, nie

wolno jej zapominać o tym, że to jej ojciec, człowiek przepełniony mądrością. Nie powinna wątpić, że jego poczynania mają na względzie wyłącznie dobro rodziny i kraju.

- Co teraz zrobisz? - zapytała.

- Zastanawiam się, czy są jacyś inni przedsiębiorcy, którzy wyłożyli środki na ten cel - odparł Gabriel, zamknął księgę i odłożywszy ją na miejsce, chwycił dłońmi brzeg półki, jakby nagle się zamyślił. - Czy twój ojciec ma wspólników? Może zna kogoś, kto jest na tyle bogaty, by wydać znaczną sumę na łódź?

- Nie wiem. Czemu pytasz?

- Nie ma sensu niszczyć gotowej łodzi, kiedy już ją znajdę jeśli się okaże, że wciąż mają środki na budowę kolejnej. Musimy odnaleźć plany i przekazać je w ręce unitów. Potem wystarczy pójść śladem pieniędzy i zapobiec ewentualnym...

- A więc jednak planujesz zrujnować moją rodzinę!

- A czego się spodziewałaś? Że zaproszę twojego papę na zebranie szkółki niedzielnej?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, i zamarła. Usłyszała odgłos szamotania za kłamkę, a potem gwałtowne pukanie.

- Camillo! Jesteś tam? - rozpoznała głos Jamiego. - O Boże! - Przerażona odepchnęła ramiona Gabriela, niemal posyłając ich oboje na podłogę. - Musimy uciekać!

- Przez okno nie zdążymy. Chodź tu do mnie!

Zeskoczywszy z drabiny, chwycił ją w talii i postawił na podłodze. Pochylił się nad nią w tej samej chwili, gdy otworzyły się drzwi. Camilla poczuła, że Gabriel podrywa ją i gwałtownie całuje.

Rozdział dwunasty

Camilla zaczęła się wrywać mniej więcej w tym samym czasie, gdy gabinet zalało światło z korytarza.

- Leland! - wykrzyknął Beaumont. - Natychmiast puść moją siostrę! -

Rozsierdzony Jamie odwrócił Gabriela twarzą do siebie i spojrzał to na jedno, to na drugie, jakby nie mógł się zdecydować, komu najpierw natrzeć uszu. - Rozum ci odjęło, dziewczyno?! - zawołał, a zaraz potem dodał: - Nic ci nie jest?

- Litujesz się nad niewłaściwą osobą - oznajmił Gabriel, przyciskając dłoń do pogryzionej wargi.

Camilla otarła z gorsetu kroplę krwi.

- Jeśli zniszczyłeś moją najlepszą sukienkę, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę!

- Jamie, drogi chłopcze, nie irytuj się. Jestem przekonana, że byliśmy właśnie świadkami pocałunku przypieczętowanego zaręczyny. - Delythia St Clair wkroczyła do gabinetu, wymierzając zniekształcony artretyzmem palec we wnuka. - Gdzie twoje maniery, chłopcze? Kto to słyszał, żeby napadać w ten sposób na przyszłego szwagra?

Gabriel wiercił się w skórzanym fotelu pod bazylijszkowym spojrzeniem Jamiego Beaumonta.

Pani St Clair spoglądała z niekłamany triumfem, ewidentnie ubawiona jego nietęgą miną. Cały ten pomysł z zaręczynami wydawał mu się szczytem idiotyzmu. Chyba nie będą nalegać na ożenek tylko dlatego, że pocałował tę nieznośną dziewczynę? - zadał sobie w duchu pytanie Gabriel. Zerknął ukradkiem na siedzącą pod oknem Camillę. Raczej nie mógł się spodziewać od niej pomocy.

- Czy Camilla zgodziła się zostać twoją żoną? - Jamie przechadzał się nerwowo z kąta w kąt. - Kiedy wróci ojciec, z pewnością będzie miał coś do powiedzenia w tej kwestii.

Cała w tym nadzieja, pomyślał Gabriel, próbując sprawiać wrażenie przygnębionego. Ezekiel Beaumont za nic nie zgodzi się oddać jedynej córki wędrownemu kaznodziei bez grosza przy duszy.

- Może pozwoli Camilli wyjść za tego, którego wybrało jej serce... - zaczął z udawanym zapałem.

- Tak się składa, że moje serce wybrało kogoś zupełnie innego! - Camilla poderwała się na nogi. - Babciu, wiesz przecież, że jestem po słowie z Harrym!

- Siadaj, moja panno! - Starsza pani tak mocno uderzyła laską w podłogę, że lampa podskoczyła na stole i o mało nie spadła. - Wielebny Leland jest, jak widzę, przekonany, że przyjął jego oświadczenia. Skandaliczne zachowanie, jakiego się dopuściłaś, a którego ja i twój brat byliśmy świadkami, nie pozostawia ci wyboru. Masz tylko jedno wyjście. Pogódź się z myślą, że od dziś jesteś zaręczona z tym oto młodzieńcem, w przeciwnym razie twoja reputacja będzie zszargana.

- Babciu, jak możesz być taka staroświecka? Przecież nikt oprócz ciebie i Jamiego nas nie widział.

- Prawdziwa dama powala obejmować się w ten sposób tylko narzeczonemu lub mężowi, i dobrze o tym wiesz!

- Dlaczego krzyczysz na mnie, a nie na niego?!

- Panno Beaumont - zaczął Gabriel, kryjąc uśmiech - pani uroda i bliskość odebrały mi zdrowy rozsądek. Jako sługa Boży i człowiek honoru jestem w pełni gotowy ofiarować pani swoje nazwisko.

- Wybaczam panu, wolałabym jednak, byśmy uznali, że to, co się zdarzyło, nie miało miejsca.

- Znakomity pomysł - podchwycił Jamie.

- Co to, to nie, moi drodzy - sprzeciwiła się stanowczo pani St Clair. - Nie, póki ja mam coś do powiedzenia.

Gabriel zawahał się, lecz trwało to tylko chwilę. Jeśli będzie upierał się przy zaręczynach, zaryzykuje życie w małżeńskich pętach do końca swych dni. Z drugiej

strony, gdyby przystał na żądanie starszej pani, miałby nieograniczony dostęp do wysokich rangą konfederatów i szansę na unieszkodliwienie łodzi podwodnej. Musi się tylko upewnić, że to rozwiązanie tymczasowe i że zdoła się z tego później wyplątać.

- Nie należę do ludzi, którzy zrzucają z siebie odpowiedzialność za własne czyny - oznajmił uroczyście. - Moim obowiązkiem jest panią poślubić i to właśnie zamierzam uczynić. - Zignorowawszy błagalne spojrzenie Camilli, wstał i skłonił się pani St Clair. - Zechce pani zezwolić wnuczce na krótką rozmowę ze mną na osobności? Chcielibyśmy przypieczętować nasze zaręczyny.

- Niedoczekanie! - wypalił Jamie, ale babka uciszyła go gestem dłoni.

- Naturalnie, wielebny Gabrielu. Nie widzę przeszkód - oświadczyła. - Jamie, odprowadź mnie do sali balowej. A was dwojga spodziewam się na górze za nie więcej niż pięć minut. Zrozumiano?

Gabriel skłonił się nisko i odczekał, aż Jamie wyprowadzi babkę z gabinetu.

- W niezłą wpakowaliśmy się kabałę! - wycedziła przez zęby Camilla.

- Mogło skończyć się o wiele gorzej - stwierdził Gabriel i zamknął drzwi, które Jamie pozostawił na wszelki wypadek uchylone.

- Tak, nie przeczę, ale czy naprawdę musiałeś...

- A wydawało mi się, że jesteś niezależna i postępową. Najwyraźniej się pomyliłem.

- Jesteś najbardziej bezduszną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam - odparła ze łzami w oczach Camilla. - Nie dbasz o moją rodzinę ani tym bardziej o mnie. Nie masz żadnych zasad, więc kpisz z tych, którzy się nimi kierują. Mienisz się sługą bożym, by pod płaszczykiem fałszywej pobożności ukryć oszustwa i cynizm.

Wszystko to było prawdą, ale Gabriel nie zamierzał czuć się winny z powodu skradzionego pocałunku. Robił, co do niego należało; powierzono mu określone zadania i wywiązywał się z nich najlepiej, jak potrafił.

- Boisz się prawdziwej wiary, ot co!

Uśmiechnął się, by ukryć zakłopotanie.

- Owszem, może i jestem cyniczny, ale z pewnością niczego się nie boję.

Szczerze wątpię, by stwórcę interesowała nasza misja.

- Boga interesuje wszystko, co robimy! Wiem, że się o mnie troszczy w każdej godzinie. - Na twarzy Camilli malowało się niezachwiane przekonanie o słuszności własnych racji - Co więcej, wierzę, że Pan kocha także i ciebie i że wyznaczył ci jakiś cel. Zesłał cię do Mobile, by właśnie tu się przed tobą objawić.

Coś w jej głosie sprawiło, że na moment Gabriel zapomniał o sceptycznych poglądach na temat wiary. A jeśli ma rację?

- Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie wierzyć, w co chcesz. - Gabriel poczuł, że potrzebuje dystansu i odsunął się w stronę biurka. - Wiem, że nie spodobał ci się pomysł naszych zaręczyn. Przykro mi, że sprawy potoczyły się nie po twojej myśli, ale uważam, że dobrze się stało. Pomoże nam to osiągnąć cel, do którego przecież oboje zmierzamy.

- Ale... na pewno znalazłby się mniej... osobisty sposób, bym mogła ci pomagać.

- Można by pomyśleć, że się pani mnie boi, panno Beaumont. Zresztą, to nieistotne. Potrzebuję nieograniczonego dostępu do twojego ojca i jego gości, dlatego pociągniemy tę farsę tak długo, jak będzie trzeba. - Zawiesił głos, po czym dodał ze zdwojoną determinacją: - Jeśli na to nie przystaniesz... cóż, mogę zacząć się chwalić tym, co o tobie wiem.

- Powinnam była się domyślić, że jesteś podły. Odegram swoją rolę, ale wiedz, że ojciec tego nie pochwali.

- Na to właśnie liczę. - Gabriel się roześmiał.

- Panienko! Panno Millu!

Camilla śniła, że zmierza w ślubnej sukni do ołtarza. Twarz oblubieńca rozmywała się jej przed oczami z powodu gęstego welonu i braku okularów, które nie wiedzieć czemu zamiast na nosie, miała zatknięte na czubku głowy. Kiedy ojciec

podprowadził ją do pana młodego i uniósł koronkową woalkę, nie ujrzała przed sobą ukochanego kuzyna, lecz Gabriela Lanierę'a, który wpatrywał się w nią z tym swoim drwiącym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Harry stał przed nimi z otwartą książeczką do nabożeństwa w dłoniach. „Umiłowani bracia i siostry, zebraliśmy się tu, by połączyć węzłem małżeńskim...”

- Niech panienka pędem wyskakuje z łóżka i się odziewa. Babcia panienki jest dziś bardzo niezadowolona.

Zmrużyła oczy, gdy Portia odciągnęła zasłony i wpuściła do pokoju smugę słońca.

- Która godzina?

- Dochodzi dziewiąta. Pani Delythia zjadła śniadanie ponad dwie godziny temu i złości się, że nikt w tym domu nie wstaje z pierwszym kurem. - Służąca otworzyła szafę i kręcąc głową, dokonała szybkiego przeglądu mizernej zawartości.

- Oj, dziewczyno ty moja, wyrosłaś już z ponad połowy tego, co tutaj wisi.

Camilla usiadła na posłaniu i ziewnęła.

- Postaram się którąś poszerzyć.

- Coś mi się widzi, że więcej poszerzyć się nie da. Wszystkie już były przerabiane. - Gospodyni obejrzała dokładnie szwy sukienki, którą zdjęła z wieszaka. - Potem będziemy się tym martwić. Niech panienka wstaje, bo inaczej babcia gotowa dostać apopleksji.

Camilla podniosła się z łóżka i podeszła do miednicy.

- Ostatni żołnierze wyszli dopiero o drugiej nad ranem. - Wypłukała usta i wypluła wodę. - Okropnie mnie bolą nogi.

- Słyszałam, że była panienka ozdobą balu. - Portia pomogła jej włożyć kolejno koszulę, gorset, halki, a na koniec za ciasną suknię. Milczała przy tym jak zakłęta, co jakiś czas zaciskając usta.

- O co chodzi? Stało się coś?

- Nic - odparła służąca i niemal natychmiast wybuchła: - Dla panienki to pewnie nic ważnego i dlatego nie powiedziała mi panienka o swoich zaręczynach z tym... bezdomnym kaznodzieją!

- Ach, więc już słyszałaś? - Przyjrzała się w lustrze równiutkim warkoczom upiętym wokół kształtnej głowy gospodyni.

- Prędzej czy później dowiaduję się o wszystkim, co się tu dzieje.

- Racja. On... wcale nie jest bezdomny. Portia prychnęła lekceważąco.

- Nie wiem, jakimi on tam kłamstwami panienkę karmi, ale gdyby mnie kto pytał, ten chłopak wygląda tak, jakby wziął się znikąd. Za ładniutki, za grzeczniutko za bardzo wygadany ogólnie mówiąc... podejrzany. Wspomni panienka moje słowa. Będzie z nim panienka miała same kłopoty.

- Za późno, żeby się wycofać.

Służąca westchnęła, uściskała ją przelotnie, a potem wypędziła z sypialni.

- No już, dziewczyno. Biegnij sprawdzić, czego chce pani St Clair.

Camilla odnalazła babcię w saloniku otoczoną stertą żurnali.

- Gdzie masz okulary? - zaczęła bez wstępów, gdy tylko zobaczyła wnuczkę w progu.

- W kieszeni.

- Załóż je i chodź tu. Myślę, że tren z tej koronki będzie się prezentował przepięknie.

- Co ty wyprawiasz, babciu? Matrona spojrzała na nią sponad stołu.

- Jak to co? Zawołałam cię, żebyśmy wybrały razem twoją wyprawę. -

Uśmiechnęła się. - Pamiętam, że kiedy Thomas poprosił mnie o rękę, nie mogłam się doczekać wielkiego dnia. Co się stało, dziecko? - Zrobiła jej miejsce obok siebie.

- Martwisz się, co powie ojciec? Zupełnie niepotrzebnie. Jakoś go przekonam.

- Nie w tym rzecz. To znaczy to też mnie niepokoi, ale przede wszystkim chodzi o Harry'ego. Obiecałam mu, że...

- Moja droga, wszyscy czasem składamy obietnice, których nie możemy dotrzymać. Zwłaszcza za młodu. Czas zmienia ludzi, dziecko. - Ujęła ręce wnuczki w swoje dłonie. - Pora stawić czoło rzeczywistości. Pomyślałaś o tym, że Harry może nie wrócić z wojny żywy?

- Nie mów tak! Nie wolno ci nawet tak myśleć.

- Spójrz na mnie. Mobile wydaje się bezpieczne, ale nie mamy żadnej gwarancji, że ktoś nas obroni, kiedy przyjdzie co do czego. Ostatnio dotarło do mnie, że nie jesteś już dziewczynką, lecz dorosłą kobietą. Miałam szczęście mieć za męża zanego człowieka i dobrego chrześcijanina. Chciałabym, żebyś i ty zasmakowała tego błogosławieństwa.

- Nie wiem, czego się boisz, babciu, ale jestem pewna, że ojciec i Jamie będą nas chronić najlepiej, jak potrafią. O co właściwie chodzi? Myślisz, że stanie się coś złego?

Starsza pani milczała przez chwilę, po czym złożyła ręce na kolanach i zmrużyła oczy

- Coś mi mówi, że powinniśmy zachować czujność.

Wyraz zrezygnowania na pomarszczonej twarzy babki przeraził Camillę stokroć bardziej niż inne mrozące krew w żyłach wydarzenia ubiegłego miesiąca. Po chwili niebo się zachmurzyło i domem wstrząsnął potężny grzmot.

- Naprawdę chcesz, żebym poślubiła nie tego, któremu obiecałam rękę? - zapytała zmieszana. - Nie wierzę, żeby taka była wola Boga.

- Twoja lojalność wobec Harry'ego jest godna pochwały, moja droga. - Pani St Clair zmierzyła wnuczkę przenikliwym spojrzeniem. - Gdybyś naprawdę była mu tak oddana, jak twierdzisz, wczorajsza scena w ogóle nie miałaby miejsca.

Camilla spąsowiała i odwróciła głowę. Najgorsze, że nie mogła się bronić.

- Wielebny Leland to bardzo pociągający mężczyzna.

- Cóż, chyba tak.

- Ciekawa jestem, kto wpadł na pomysł, by znaleźć pusty pokój, w którym moglibyście swobodnie porozmawiać? Ty czy on?

- Nie pamiętam! - Camilla sięgnęła gwałtownie po numer „Godey's Lady's Book” i otworzyła go na chybił trafił.

- Portia mówi, że jeśli nie sprawię sobie nowej garderoby, w starych sukienkach niedługo zaczną puszczać mi szwy. Co sądzisz o tej?

Całe popołudnie lało jak z cebra. Camilla siedziała przy sekretarzyku w salonie. Podniosła głowę znad zapisków, kiedy w drzwiach pojawił się przemoczony i umorusany błotem Schuyler. Otrzepawszy buty, wszedł do środka. Przy okazji utyłał niemiłosiernie wyszorowaną wcześniej przez Portię podłogę.

- Gdzie generał? - zapytał, odwieszając pelerynę. Camilla skrzywiła się na widok kleksa w pamiętniku.

- Babcia jest w swoim...

- Nie o tego generała mi chodzi - wpadł jej w słowo Schuyler. - Szukam generała Forneya.

Zamknęła dziennik i odłożyła go na bok.

- Czemu? Stało się coś?

- Jamie mnie przysłał. Mamy wieści z zatoki. Jankesi wycofali się spod Fortu Morgan. Widać nie radzą sobie z naszym wzburzonym morzem.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknęła z ulgą. - Generał jest chyba u siebie. Schuyler wbiegł z rumorem na schody, a Camilla wróciła do pisania.

Było cicho jak makiem zasiał. Słysząc było jedynie skrzypienie pióra na papierze i chlapanie deszczu o szybę. Czasem z oddali dobiegał odgłos piorunu. Zamyśliła się i z policzkiem wspartym na dłoni, zapatrzyła się w przestrzeń. Musi istnieć jakiś sposób na to, by skontaktować się z Harrym.

„Wczorajszego wieczoru coś się wydarzyło...” - wykreśliła to zdanie zaraz po tym, jak skończyła je pisać. Dotyczyło zbyt osobistych przeżyć. Jamie i babcia widzieli, co się stało, ale nie mogli zajrzeć w głąb jej duszy. Nie znali jej uczuć.

Wprawdzie to Gabriel zaczął, ale jej się wcale nie spieszyło, żeby uwolnić się z jego ramion. Nagle uzmysłowiła sobie, że jest jego współniczką i niespodziewanie poczuła się z tego powodu bardzo szczęśliwa. Dzieliła sekret z mężczyzną. Przypuszczała, że w ten sposób zawiązują się więzi, które łączą małżonków.

Zastanawiała się, co zrobi Gabriel. Powiedział, że pójdzie śladem pieniędzy. Raczej nie uda mu się zrujnować Beaumonta seniora, zwłaszcza że jego zyski są ściśle powiązane z interesami kolei. Rzecz jasna istniały sposoby na to, by pozbawić kogoś źródła dochodu. Słyszała o rodzinach oskarżonych o zdradę, ogołoconych z majątku i posłanych do więzienia. Zdarzało się, że głowę rodziny osądzano i skazywano na śmierć. Lojalność ojca wobec konfederacji nigdy nie była kwestionowana. Niemniej kuzynka papy w pierwszej linii - matka Harry'ego - wyszła za mąż za zwolennika unii. To wystarczyło, by narazić całą rodzinę na podejrzenia. Co będzie, jeśli władze odkryją, że córka Ezekiela Beaumonta od czterech lat działa na rzecz Kolei Podziemnej? Camilla pochyliła głowę nad dziennikiem, modląc się, by Gabriel nie zdradził nikomu jej sekretów.

Gabriel siedział na pomoście przy chacie stryja, przygrywając na organkach. Przebywanie nad wodą o zachodzie słońca nie było bezpieczne. Ludzie mogli mu nie wierzyć, ale on wiedział swoje. Gdyby ukąsił go zainfekowany komar, pewnie zakończyłby żywot w ciągu tygodnia. Nie zamierzał jednak się tym przejmować. Zawsze lubił morze. Szum fal przynosił ukojenie, a niezmierzony błękit pobudzał wyobraźnię. Jako chłopiec wmawiał sobie czasem, że lata nad horyzontem na chmurze. Wydawało mu się nawet, że jeśli będzie leciał wystarczająco długo i wysoko, być może uda mu się zobaczyć samego stwórcę.

W zasadzie nie przeszkadzało mu, że nie ma ojca ani matki. Stryj Diron był o niebo lepszy niż cały tuzin rodziców. Niemniej od samego początku towarzyszyła mu świadomość, że jest jakiś... inny, a ludzie spoglądają na niego niechętnym wzrokiem. Wiedział, że zadaje mnóstwo pytań. Przejawiał chorobliwy wręcz pęd do wiedzy. Interesowało go wszystko. Doświadczenie nauczyło go wkrótce, że jeśli

pyta się o zbyt wiele albo, co gorsza, posiadzie się zbyt rozległą wiedzę, życie staje się nie do zniesienia. Wszechmogący raczej niewiele dba o prawdę i o tych, którzy jej dociekają. Właśnie dlatego Gabriel stworzył sobie własną wizję rzeczywistości i szukał odpowiedzi. Nie zważał na tych, którzy stawali na jego drodze. Dopiero kiedy wrócił do Mobile i poznał Camillę Beaumont, zaczął się zastanawiać, czy owo duchowe wyobcowanie, na które sam się skazał, jest zasadne, i czy warto ciągnąć je w nieskończoność.

Słońce schowało się za linią wody. Wsunąwszy harmonijkę do kieszeni, pociągnął z butelki łyk whisky. Miał nadzieję, że powrót do rodzinnego miasta okaże się swoistym katharsis wyzwoli go od przykrych wspomnień, być może nawet stworzy okazję do zemsty za upokorzenia, których doznał niegdyś od innych. Niestety, zdołał jedynie wpakować się w kolejne kłopoty. Nie przypuszczał, że ściągnie na swoją głowę takie komplikacje.

W odlewni Skatesów z pewnością nie budowano łodzi. Sprawdził to dokładnie i znalazł jedynie kotwice, nity, gwoździe i tym podobne rzeczy, które mógł zamówić każdy, kto ma własny statek albo zajmuje się przewożeniem towarów koleją. Zatem całe zamieszanie wokół gabinetu Ezekiela Beaumonta poszło na marne.

Przeszukanie nie wniosło niczego nowego. Może Camilla będzie mu jeszcze potrzebna, ale wolałby, żeby te ich niedorzeczne zareczyny nie miały miejsca. Co go podkusiło, by się na nie zgodzić? Jej ojciec niebawem wróci z podróży w interesach, a wtedy...

Przechylił butelkę i poczuł, że alkohol wypala mu przelyk. Wiedział jednak, że choćby wypił cały galon whisky, nie zmyje z siebie uporczywego poczucia winy, które dręczyło go w związku z tym, co zamierzał uczynić Ezekielowi Beaumontowi. Musiał to zrobić, a przy okazji poświęcić Camillę. To ona miała być środkiem do celu. Nie powinien się o nią martwić. W przeszłości udowodniła, że potrafi o siebie zadbać. Przypomniawszy sobie, jak odziana w portki próbowała wypchnąć go za okno i zachichotał. Niewiele brakowało i złamałaby mu kark.

Potem pomyślał o chwili, gdy ujrzał ją na balu. Wyglądała jak księżniczka, a później całowała go z oszołomieniem, ale i z zapamiętaniem. Nie warto zalecać się do szlachetnych i bogobojnych panien. Nie upłynęło nawet pół godziny, odkąd trzymał ją w ramionach, a ona już zaczęła prawić mu kazania. „Bóg kocha i ciebie”. Powiedziała to z takim przekonaniem. Nawet nie potrafił zaprzeczyć. Ta jej niezachwiana pewność wytrąciła mu oręż z ręki.

Jakaś część jego duszy pragnęła jej wierzyć. Mały chłopiec, który kochał zachody słońca, dostrzegł w jej słowach prawdę; mężczyzna, który walczył pod Shiloh potrafił jedynie wątpić.

Cisnął butelkę przed siebie i popatrzył, jak obły kształt tonie w wodzie.

Rozdział trzynasty

Ezekiel Beaumont wrócił we wtorek wieczorem. Camilla niechętnie przystała na żądanie babki i udała się wraz z nią do jego gabinetu.

- Zeke, Camilla ma ci coś do zakomunikowania - oznajmiła bez wstępów pani St Clair.

- Powinnyśmy przynajmniej dać mu spokojnie zjeść kolację - szepnęła jej do ucha wnuczka.

- Nie ma sensu odkładać trudnych spraw na później. Ezekiel łypnął na nie znad papierów jak na natrętne muchy.

- Nie wiem, co tam znowu wymyśliłyście, ale z pewnością możecie poczekać z tym do jutra. Dochodzi dziesiąta, a ja mam jeszcze sporo pracy. Przez osiem dni byłem nieustannie w podróży, poza tym od rana nie jadłem. - Spojrzał nieco łagodniejszym okiem na córkę. - O co chodzi, Millu?

Uciekła spojrzeniem i zaczęła się wiercić na krześle.

- Coś się wydarzyło, kiedy byłeś poza domem. Był bal i...

- I Bogu dzięki za to, że mnie na nim nie było. Rozumiem, że zabawa była przednia?

- Tak. To znaczy dopóki nie dostaliśmy wieści, że Jankeși podeszli pod Fort Morgan.

- Dziecko, nie przyszłaś tu chyba po to, żeby opowiadać mi o czymś, o czym gazety trąbią niemal od tygodnia?

- Nie, ale zapytałaś, więc...

- Och, na litość boską! - Delythia huknęła laską o podłogę. - Przestańże się wreszcie wymigiwać i powiedz ojcu...

- Powiedz ojcu co? - warknął zniecierpliwiony Zake.

- Zareczyłam się, ot co!

Pan Beaumont wypuścił pióro z ręki, rozchlapując wokół siebie atrament.

- Można wiedzieć z kim?

- Z wielbnym Lelandem. - Wbiła wzrok w podłogę. - To był pomysł babci, nie mój.

- Ciekawe. A cóż ona ma z tym wspólnego? Zareczyła się w twoim imieniu?

- Ktoś musiał zapanować nad sytuacją! - zachnęła się starsza pani. - Jeździsz sobie po całej Alabamie i zostawiasz mi na głowie dom pełen ludzi i córkę, która zamyka się w pustym pokoju z kaznodzieją, żeby go całować!

Zeke spurpurowiał na twarzy, jakby za chwilę miał go dopaść atak apopleksji.

- Wydawało mi się, że przez tyle lat zdążyłaś ją nauczyć manier! - zwrócił się z furią do teściowej.

- Hola, mój panie! Uważaj, co mówisz i do kogo! Awantura wisiała w powietrzu.

- Babciu. Papo. - Camilla nie krzyczała, ale coś w jej głosie sprawiło, że oboje umilkli i spojrzeli na nią z wyczekiwaniem. Podniosła się z godnością i splótłszy przed sobą dłonie, wzięła głęboki oddech.

- Nie jestem dzieckiem ani zabawką, o którą nieustannie się kłóćcie. Moje zaręczyny z wielebnym Lelandem to sprawa wyłącznie między mną a nim. Naturalnie wysłucham waszej rady w tej kwestii, ale ostatecznie sama podejmę decyzję. Przepraszam, że przeszkodziłam ci w pracy, papo. Porozmawiamy jutro.

Ezekiel wpatrywał się w córkę z osłupieniem, gdy podeszła do niego i cmoknęła go w policzek. Wyraźnie zdumiona pani St Clair również nadstawiła twarz do pocałunku.

- Dobranoc - pożegnała się Camilla.

Kiedy wychodziła za drzwi, usłyszała przytłumiony głos babki:

- Chciałeś damy, Zeke. Pokazała ci, co znaczy być damą.

Następne dwa dni Camilla spędziła na zastanawianiu się nad tym, jak przerobić stare sukienki. Większość z nich została uszyta trzy lata temu, zanim ona nabrała kobiecych kształtów. Ostatecznie doszła do wniosku, że musi schować dumę do kieszeni i poprosić papę o pieniądze na nową garderobę. Stała pod drzwiami gabinetu i zastygła z ręką w powietrzu. Bała się zapukać. Od czasu pamiętnej rozmowy o zaręczynach rzadko widywała ojca. Wczoraj dostała wiadomość od Gabriela, w której prosił o spotkanie z Beaumontem seniorem. Od tego czasu nie miała wieści od żadnego z nich. Typowo męskie zachowanie, pomyślała. Chęć decydować o moim życiu bez pytania mnie o zdanie. Nie zamierzała im na to pozwolić. Zastukała do drzwi.

- Kto tam? - rozległ się niecierpliwym głosem ojca.

- To ja, papo.

- O co chodzi? - zapytał, stając w progu. Dostrzegła za jego plecami pana Chambliss. Ostatnio często u nich bywał.

- Musimy porozmawiać. Widzę, że masz gościa, ale to ważne. Westchnął i pogładził się po karku.

- To nie jest odpowiednia pora. Zайдę do ciebie później.

- Proszę, to zajmie tylko chwilę. Chodzi o to, że muszę kupić materiał na nową sukienkę i... potrzebuję pieniędzy.

Zaczerwienił się i zniżył głos.

- Kochanie, właśnie oddałem ostatnie pieniądze twojemu bratu. - Zerknął na nią przelotnie i odchrząknął. - Zresztą, wyglądasz jak zwykle ślicznie, a tej sukience niczego nie brakuje. Jest prawie jak nowa. - Poglaskał ją po brodzie. - A teraz zmykaj. Jestem zajęty - zakończył i zatrzasnął córce drzwi przed nosem.

Jakiś czas później Camilla wyszła przed dom z przewieszonym przez ramię pustym workiem na mąkę. Wciąż miała na sobie sukienkę, która tak bardzo podobała się ojcu. Ruszyła w drogę, mając nadzieję, że po drodze nie odpadną jej guziki ani nie puszczą szwy. Wybierała się na spotkanie z Gabrielem. Nie zamierzała siedzieć w domu i czekać, aż raczy złożyć jej wizytę. Gdy wyszła na ulicę, ujrzała Byrda, który zmierzał do niej dwukółką ciągniętą przez Candy.

- Panienko! - Zamachał cherlawym ramieniem. - Niech panienka zaczeka!

- Dzień dobry, Virgil!

Zrównał się z Camillą i zatrzymał pojazd.

- Dokąd panienka idzie? Chętnie panienkę podwiozę. Pojazd nie wyglądał zbyt czysto. W dodatku roztaczał nieszczególnie zachęcającą woń i był zawalony gazetami.

- Skąd wzięłeś wóz? - spytała Camilla, siadając na wąskiej kanapie.

- Pan Hastings mi pożyczył, żebym szybciej rozwiózł gazety - odparł rozpromieniony Virgil.

- Wybieram się do portu. Możesz mnie wysadzić przy składzie na St Anthony?

- Co to, to nie, panienko. Ojciec panienki obdarłby mnie ze skóry, gdybym zostawił tam panienkę samą. Już lepiej zawiozę panienkę do szpitala albo do kościoła.

- Chcę kupić sznurek.

- Nie wolno panience wchodzić samej do takich miejsc. Potrzebny panience sznurek, ja to załatwię.

Podskoczyli na koleinie. Camilla chwyciła się poręczy, żeby nie wypaść.

- Papa wie, że tam się wybieram.

- Jak panienka chce, ale żeby panienka potem nie mówiła, że to moja wina, jak się panienka wpakuje w kłopoty. - Milczał urażony, po czym zerknął na nią z ukosa.

- Coś dawno nie pożyczła panienka ode mnie torby. Nie żeby mi się podobało, że lata panienka po nocy ubrana jak chłop. Od początku mówiłem, że to nie uchodzi...

- Chyba nikomu się nie wygadałeś?

- Za kogo panienka mnie ma? Kazała panienka milczeć, to żem milczał.

- To dobrze.

- Nikomu nie pisałem ani słowa. Tylko wielebnemu Lelandowi.

Camilla chwyciła gwałtownie lejce i zatrzymała dwukółkę na środku ulicy.

- To od ciebie wszystkiego się dowiedział! Virgil, już nigdy ci nie zaufam!

- Przecie wielebny Gabriel to przyjaciel panienki. Tak mi powiedział. Gdyby nim nie był, nie wiedziałby o panience takich rzeczy. - Posłał jej zawstydzone spojrzenie.

- Mimo wszystko nie powinieneś zdradzać moich sekretów. Stropił się i skruszony spuścił głowę.

- A jeśli zdradzę jakiś sekret panience, wybaczy mi panienka?

- Co to za sekret?

- Wczoraj wieczorem chodziliśmy sobie z Candy po ulicy Church. Szukaliśmy w śmieciach czegoś do jedzenia i zaszliśmy do tego starego opuszczonego kościoła, wie panienka którego? No więc idziemy, patrzymy, a on wcale nie jest pusty.

- Jak to nie jest pusty? Byli jacyś ludzie w środku?

- Ludzie też. A na środku stało takie wielkie metalowe coś i kilku mężczyzn waliło w to coś młotkami. Jak żyję, nie widziałem takiego cuda.

- Jak to wyglądało? Było duże?

- Jak łódź, tyle że przypominało bardziej kocioł.

Camilla wlepiła wzrok w Virgila. Znalazł łódź podwodną! Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zauważyła nieopodal Fanny przechadzającą się pod rękę z Wendellem Nelsonem, swoim adoratorem. Panna Chambliss spojrzała na wystawę jubilera, ale Wendell spostrzegł Camillę i pomachał jej ręką. Po krótkiej sprzeczce puścił ramię towarzyszki i przeszedł przez ulicę. Fanny stała chwilę niezdecydowana, a potem pobiegła za nim.

- Co ty wyprawiasz, Camillo? - zapytała, swoim zwyczajem skupiając uwagę otoczenia na sobie. - Nie można się zatrzymywać na środku ulicy.

Wilson rozejrzył się dookoła.

- Istotnie, panno Beaumont, wstrzymujemy ruch. Chętnie odprowadzę panią tam, dokąd pani zmierza.

- Dziękuję za propozycję, ale przecież jest pan zajęty Fanny. Wybieram się do sklepu w porcie. To niedaleko stąd.

- Zdązysz tam pójść. Lepiej pomóż nam wybrać dla mnie prezent urodzinowy - odezwała się rozkapryszonym tonem Fanny.

Camilla zamierzała się wymówić, ale zmieniła zdanie.

- Dziękuję za podwiezienie, Virgil. Chyba miałeś rację. Nie powinnam iść sama do doków. Porozmawiamy później.

- Oczywiście, panienko. Miłego dnia. - Zawrócił muła i odjechał.

Reszta towarzystwa ruszyła w stronę sklepu jubilerskiego.

- Doprawdy, moja droga, nie pojmuję, dlaczego pokazujesz się publicznie z tym człowiekiem - powiedziała Fanny. - Pomyśl o swojej reputacji.

- Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób Byrd miałby zaszkodzić mojej reputacji?

- Wszyscy wiedzą, że szmugluje whisky.

- Nic podobnego! Jak możesz rozsiewać podobne plotki?

- Panno Beaumont - odchrząknął Wendell. - Pozwolę sobie zauważyć, że osoba pokroju Virgila istotnie wydaje się nie najlepszym towarzystwem dla młodej damy.

- Virgil ma dobre serce i jest jednym z najzacniejszych ludzi, jakich znam. Nie wybieram sobie przyjaciół wedle wyglądu, tego, czy potrafią czytać i...

- Po co tyle krzyku o nędzarza, który żywi się tym, co znajdzie w śmietniku? - odezwała się lekceważąco Fanny. - Zastanawialiśmy się z Wendellem, czy doszłaś już do siebie po niespodziewanej przerwie w balu. Zauważyłam, że byłaś ogromnie zdenerwowana. Zdaje się, że cała rodzina zniknęła raptem na ponad pół godziny.

- Cóż, sytuacja wydawała się poważna. Sądziłyśmy, że grozi nam niebezpieczeństwo. Na szczęście Jankesi odstąpili od Fort Morgan.

Fanny nie dała się zwieść.

- Martwiliśmy się o ciebie - drażyła z uporem. - Podobnie jak wielebny Leland.

Camilla pożałowała, że nie pojechała z Virgilem.

- Tak, wielebny Leland to bardzo zacyjny i troskliwy człowiek.

- O, proszę, jesteśmy na miejscu - wtrącił pospiesznie Wendell, świadom przykrego napięcia między kobietami.

Weszli do sklepu. Wendell wdał się w pogawędkę z właścicielem, panem Alexandrem, Fanny i Camilla zatrzymały się przy gablotce z broszkami, bransoletkami oraz kolczykami ze srebra i koralu.

- Jaka piękna! - zachwyciła się panna Chambliss, dotykając jednej z ozdób. - Papa mówi, że już niedługo wszyscy będziemy opływać w klejnoty.

- Wątpię - odparła Camilla, przesuwając dłonią po wysłużonej sukni.

- A ja myślę, że to niemal pewne.

- Dlaczego?

- Nie zauważyłaś, że ostatnio nasi ojcowie spędzają ze sobą dużo czasu?

Rozprawiają o interesach. Zdaje się, że pracują nad jakimś nowym przedsięwzięciem.

- Jakim?

- Nie mów, że nie wiesz.

- Oczywiście, że wiem - zaprzeczyła prędko Camilla. - Tylko wydawało mi się, że robią to dla wojska, a nie na własny użytek.

- Naturalnie, że dla wojska, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, nieźle się na tym wzbogacą.

- Masz na myśli łódź, tak?

- Jaką znowu łódź? Cały czas mówię o bawełnie.

- O bawełnie?

- Myślałam, że o wszystkim wiesz. - Uśmiechnęła się z wyższością Fanny. - Nasi papciowie zobowiązali się znaleźć na Północy kupca na całe zbiory, które generał Forney kazał wywieźć z miasta. Zapłata lada dzień przyjedzie pociągiem. Osiemset tysięcy dolarów w srebrze!

Camilla otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz zauważyła, że pan Alexander wpatruje się w jej kolczyki. Jego oko rozrosło się do rybich rozmiarów pod monoklem powiększającym.

- O-o co chodzi? - bąknęła zmieszana.

- Rzekłbym, że to wyjątkowo piękne okazy indiańskiego rękodziela. Gdyby chciała je pani kiedyś sprzedać, chętnie je od pani kupię.

- Och, wykluczone. Nie mogłabym...

- Rozumiem. Mają dla pani wartość sentymentalną. Szkoda. - Skupił wzrok na Fanny. - Panno Chambliss, zechce pani przymierzyć ten śliczny komplet?

Ezekiel otworzył puzderko z cygarami i podsunął je Gabrielowi, który po chwili namysłu wybrał kubańskie, po czym wskazał mu najbardziej niewygodne krzesło w całym gabinecie, mówiąc:

- Siadaj, chłopcze.

Gabriel zignorował zaproszenie i wsunął cygaro do kieszeni.

- Zostawię sobie na później.

Po kilku pisemnych prośbach o spotkanie, które Beaumont pozostawił bez odpowiedzi, Gabriel uznał, że ojciec Camilli unika rozmowy o zaręczynach córki. Postanowił więc zaskoczyć go w składzie kolejowym M & O mieszczącym się przy ulicy Lipscomb. Gdy zobaczył zavalone papierami biurko, doszedł do wniosku, że Beaumont senior był po prostu zbyt zajęty, by zwracać sobie nim głowę.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi chwilę swego cennego czasu - odezwał się nie bez ironii.

- Wybacz pan, wielbny Lelandzie, ale zmagam się z niedoborem personelu. To niezbyt odpowiednia pora na dyskusje o sprawach kościoła.

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o kościele. Ezekiel machnął ręką.

- Jeśli chodzi o pańskie niefortunne zaręczyny z moją córką, uznajmy kwestię za niebyłą. Proponuję, byśmy obydwaj o tym zapomnieli.

- Sir, właśnie chciałbym oficjalnie poprosić o rękę pańskiej córki.

- Nie ma pośpiechu. Jeszcze pan z tym zdąży. Camilla to śliczna dziewczyna i z pewnością nie jest stworzona do trudów życia z wędrownym kaznodzieją. Poza tym ma jeszcze pstro w głowie. Doprowadziłaby pana do szaleństwa w ciągu tygodnia. Nic, tylko fatalaszki. Niedawno zażyczyła sobie ode mnie pieniędzy na nową suknię. To pannica kompletnie nie zna wartości pieniądza!

Zdaniem Gabriela Camilla nie była w niczym podobna do typowych, rozkapryszonych panien z bogatych domów.

I z pewnością nie miała pstro w głowie.

- Za pozwoleniem, sir. Pan, zdaje się, uważa, że pańska córka i ja nie jesteśmy sobie równi. Posądza mnie pan o to, że jestem bardziej zainteresowany pańskim majątkiem niż Camillą?

- Leży mi na sercu dobro was obojga - odparł gładko Beaumont. - Zresztą, ona nie nalega na zaręczyny. Wiem, że odkąd wyrosła z pieluch, wzdycha do swego nie niewartego jankeskiego kuzyna.

- Nie sprawia pan na mnie wrażenia człowieka, który pozwoliłby córce podjąć samodzielnie tak ważną decyzję.

- Istotnie. - Ezekiel wymierzył w rozmówcę cygaro. - Tym bardziej nie dam się zmanipulować pierwszemu lepszemu młokosowi, który zaciąga dziewczynę w ciemny kąt i kradnie jej całusa.

- Ależ, panie Beaumont...

- Nie obrażaj się, chłopcze. Jeśli Camilla darzy cię prawdziwym uczuciem, a ty udowodnisz, że potrafisz o nią zadbać i zapewnić jej życie na poziomie, do jakiego przywykła, droga wolna, możesz się do niej zalecać. - Beaumont wstał i oparłszy dłonie na biurku, przeszył Gabriela podejrzliwym spojrzeniem. - Jeśli się dowiem, że wykorzystujesz moją córkę w jakimś sobie tylko znanym celu, zamiast wielbić ją tak, jak na to zasługuje, osobiście wrzucę cię do zatoki i wydam rekinom na pożarcie. - Dla większego efektu uderzył pięścią w blat. - Rozumiemy się?

Gabriel zacisnął usta i skinął głową.

- Tak jest, sir.

Zdecydowanie nie docenił Ezekiela Beaumonta.

Rozdział czternasty

Gabriel odnalazł Delię w ładowni „Księżniczki Magnolii”. Siedziała naburmuszona na worku kukurydzy. Sądząc z piorunującego spojrzenia, którym go obrzuciła, nie była zachwycona tym, że kazał jej na siebie czekać. Zamiast tracić czas na przeprosiny, ukucnął przy niej i od razu przeszedł do rzeczy:

- Co dla mnie masz?

Wyjęła zza dekoltu złożoną kartkę i położyła mu ją na dłoni.

- W rejonie Missisipi sytuacja staje się coraz bardziej gorąca. Blokady są coraz szczelniejsze. Konfederatom zaczyna brakować zapasów. Ponoć panowie z M & O planują jakąś większą akcję. Waszyngton chce wiedzieć, co zamierzają.

- Powiedz im, że mam informatora w domu jednego z inwestorów M & O. To zarazem kwatera dowódcy sił stacjonujących w zatoce. Podejrzewam, że przerzucają kolejną wojsko w kierunku wschodniego Tennessee, ale nie znam jeszcze liczb. - Zawahał się. - Jest jeszcze coś. Odkryłem, że konstruują podwodną łódź torpedową. Niestety, zatopili ją, zanim zdążyłem jej się dobrze przyjrzeć. Teraz odbudowują ją w Mobile

- Widziałeś ją?

- Nie, ale mam pewność, że istnieje. Camilla Beaumont pomaga mi ją znaleźć. Panna Matthews wykrzywiła kpiąco wargi.

- Ta ślicznotka z wyższych sfer, z którą byłeś na przystani? Kim ona właściwie jest?

- Córką Ezekiela Beaumonta. Tak się składa, że jej papcio to bardzo wpływowy przedsiębiorca, czynnie wspomagający rozmaite projekty konfederatów, między innymi budowę rzeczony łodzi. Zajmuje się przewoźnictwem, więc ma także ścisłe powiązania z koleją. Camilla nie popiera unii, ale jest abolicjonistką. Staram się ją urobić i przeciągnąć na naszą stronę.

- Rozum ci odjęło? - zirytowała się Delia. - Chcesz, żeby nas powiesili?!

- Wiem, co robię. Przekaż Farragutowi, nad czym pracuję, i poproś go o więcej czasu. Dowiedziałaś się czegoś o Pięćdziesiątym Piątym Regimencie Kawalerii z Tennessee, który walczył pod Corinth?

- Tak, ale nie mam dobrych wieści. Wysłano go do Tupelo, wdał się po drodze w potyczkę i dostał potężne cięgi. Okazało się, że źle ocenili liczebność przeciwnika. - Prychnęła szyderczo. - McClellan to bodaj największy partacz w historii.

- McClellan? Sądziłem, że służą pod Grantem.

- Grant ruszył pod Vicksburg.

- Ilu przeżyło? - zapytał Gabriel. Znał ich niemal wszystkich.

- Niewielu. Rannych wzięto do niewoli.

Chwycił ją za rękę.

- Znasz nazwiska?

- Nie, ale mogłabym się rozpytać.

- Dowiedz się o Harry'ego Martina. Jest chirurgiem polowym w stopniu porucznika.

- Zrobię, co będę mogła, ale nie rozbudzaj w sobie nadziei. I uważaj na tę Beaumont. Nie mów jej zbyt wiele.

- Gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że jesteś o nią zazdrosna.

Delia nie odpowiedziała, wspięła się po drabinie do wjazdu i znikła Gabrielowi z oczu.

Odczekawszy, ruszył jej śladem.

Camilla zatrzymała się w otwartych drzwiach warsztatu braci Chambliss i przyglądała się, jak Diron i Gabriel wykuwają koło do powozu. Starszy Lanier trzymał na kowadle kawał metalu, a młodszy uderzał weń ogromnym młotem. Pomiędzy jednym a drugim zamachem odetchnął głęboko i otarł ramieniem pot z czoła. W pewnym momencie zauważył Camillę. Nagle zrobiło się jej gorąco pewnie

dlatego, że temperatura w środku musi dochodzić do czterdziestu stopni, uznała. Cofnęła się na ulicę.

Gabriel wybiegł za nią.

- Szukałaś mnie? - zapytał, przecierając twarz wyciągniętą z kieszeni bandaną.

- Nie widziałam cię od dnia balu. Byłam ciekawa, czy rozmawiałeś z ojcem.

- Ostatnio nie byłaś szczególnie zachwycona naszymi zaręczynami. Czyżbyś zmieniła zdanie?

- N-nie do końca. - Uniosła dłoń do ucha i zaczęła obracać w palcach kolczyk.

- Dowiedziałam się czegoś. To ważne.

Obejrzał się przez ramię na stryja.

- Tu nie możemy rozmawiać. Dokąd się wybierasz?

- Babka wysłała mnie z zapasami do szpitala. Potem mam zabrać jakieś pudełko ze składu ojca. Może wybrałbyś ze mną jeśli już skończyłeś?

Zerknął na swoje umorusane ręce i przepocone ubranie.

- Wejdźmy do kuźni. Pogawędzisz ze stryjem, a ja się umyję.

- Często tu pracujesz? - zapytała, gdy przestąpili próg.

Uśmiechnął się przez ramię i podszedł do kotary, która dzieliła pomieszczenie na dwie części.

- Cóż, nie mogę całymi dniami siedzieć i wymyślać kazań.

Skrzywiła się do jego pleców, po czym posłała uśmiech Dironowi.

- Dzień dobry, panie Lanierze.

Wytarł brudne ręce o jeszcze brudniejszy fartuch i podał jej dłoń.

- Miło mi znów panią spotkać, panno Camillo. - Obejrzawszy ją od stóp do głów, gwizdnął z aprobatą. - W spodniach była pani śliczna, ale w sukience jest pani wprost zachwycająca. Gabriel twierdzi, że pani ojciec pozwolił mu smalić do pani cholewki. Nie mogę się nadziwić, jak to się dzieje, że ten nicpoń zawsze jakoś łąduje.

Zarumieniała się lekko.

- Jestem pewna, że odziedziczył swój nieodparty wdzięk po panu.
- Nie wiem. Wciąż opowiada banialuki. Od kołyski kłamie jak z nut.
- Wiem, że Gabriel bardzo pana kocha.
- Jeszcze nie tak dawno powiedziałbym, że nie kocha nikogo prócz samego siebie. Teraz nie jestem tego już taki pewien.
- Zmienił pan zdanie? Czemu?
- Wcześniej nie widziałem, by patrzył na kogoś tak jak na panią. A trzeba powiedzieć, że jeszcze pani do końca nie rozgryzł. Chłopak wprost uwielbia zagadki. - Rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie. - Niech pani to sobie zapamięta. Ta wiedza przyda się pani na przyszłość.

Twarz Camilli rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Z Dirona był prawdopodobnie jeszcze większy gagatek niż z jego bratanka. Przypuszczała, że prawdopodobnie miał rację. Gdyby była na tyle szalona, by istotnie wziąć pod rozwagę małżeństwo z Gabrielem, musiałaby się natrudzić, by dotrzymać mu kroku, ale życie z nim niewątpliwie byłoby wielką przygodą.

Przestało jej być do śmiechu, gdy nagle uprzytomniła sobie, że to nie dzieje się naprawdę, że tylko udają. Kiedy powie mu, gdzie jest łódź, Gabriel z pewnością znajdzie sposób, by obejrzeć ją z bliska. A potem? Zniszczy ją? A może tylko skopiuje jej plany? Czy zdoła zrobić to samodzielnie? I co, na Boga stanie się z jej ojcem?

Lojalność wobec rodzica i patriotyzm walczyły w jej sercu o lepsze i sprawiały, że czuła się rozdarta. Co gorsza, obawiała się, że ów nagły przyptyw uczuć do ojczyzny miał silny związek z jej słabością do pewnego unijnego szpiega - słabością, na którą nie mogła sobie pozwolić.

Stanąwszy za zasłoną, Gabriel nalał wody do miednicy i obmył tors i twarz. Widok Camilli tak go uradował, że aż wystraszył się własnych uczuć. Do tego stopnia, że gotów był wziąć nogi za pas i uciekać z miasta. Pal licha łódź podwodną! W dodatku nie miał pojęcia, co Camillę do niego sprowadza. Nałożył

czystą koszulę i przeczesał wilgotne włosy. Nim odsłonił kotarę, z przyzwyczajenia stanął, żeby posłuchać toczącej się za nią rozmowy.

Camilla zabawiała stryja opowieścią o wyprawie do Fort Morgan.

- Założę się, że nie widział pan tak podziurawionego statku, a wszystko to z powodu koguta!

Diron zachichotał, zażywając tabaki.

- Nie byłoby nam do śmiechu, gdyby poszli na dno.

- To prawda. - Camilla pochwyciła spojrzenie Gabriela, który przyglądał im się przez uchyloną zasłonę. Przyłożył palec do ust, udała więc, że go nie widzi, i kontynuowała pogawędkę z Dironem. - Przy okazji chciałabym panu podziękować za to, że zdobył pan chininę. Nie każdy by się odważył na bohaterski czyn.

- Jaki tam ze mnie bohater? Spełniłem swój obowiązek, ot co. Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłbym dla konfederatów.

- Wiem. - Zniżyła konspiracyjnie głos. - Papa mówi, że pana pomoc przy konstruowaniu i budowie łodzi była nieoceniona.

- Łodzi? - Diron zmarszczył brwi.

- Tej, której kapitanem jest mój brat.

- Nie wszyscy wiedzą, że to pan James nią dowodzi - powiedział z wolna stary. - Niech tak pozostanie. Lepiej, żeby pani nie rozpowiadała o tym na mieście.

Gabriel poczuł na grzbiecie gęsią skórę. Od dłuższego czasu próbował bezskutecznie wyciągnąć ze stryja choćby strzęp informacji, a Camilli udało się to bez najmniejszego wysiłku w ciągu kilku minut.

- Papa mówi, że Jamie musi mieć piractwo we krwi. Oczywiście jest patriotą, ale nie interesują go rejsy, które nie przynoszą wymiernych zysków.

- Następną wyprawa uczyni z niego bohatera, a i my wszyscy nieźle się na niej wzbogacimy.

- My? Ma pan na myśli papę i pana Chamblissa?

Camilla zdała sobie sprawę, że rozmowa nabrała zbyt wielu podtekstów. Wyjęła z kieszeni okulary i założyła je na nos, by ukryć podenerwowanie. Potem podeszła do warsztatu Dirona i zaczęła bezmyślnie dotykać rzeczy, które leżały na drewnianym blacie.

Gabriel zmarszczył brwi. Zastanawiał się, dlaczego wspomniała o panu Chamblissie. Co miał z tym wspólnego?

- Owszem, Chambliss także jest inwestorem - rozwiął jego wątpliwości stryj - ale pani rodzina zyska zdecydowanie najwięcej.

- To wspaniale, że Jamiemu przypadła rola kapitana. - Camilla ujęła w dłoń nóż z perłową rękojeścią i przyłożyła ostrze do kciuka. - Nie może się doczekać, kiedy wreszcie przetestuje łódź.

Gabriel omal nie zagwizdał z podziwu nad jej brawurą. Skąd miała pewność, że jeszcze jej nie testowano?

- Będzie miał okazję jutro wieczorem.

Dłoń Camilli gwałtownie drgnęła. Kiedy z jej palca spłynęła stróżka krwi, odnalazła wzrokiem Gabriela.

Rozsunął pospiesznie kotarę i przeszedłszy przez izbę, wyjął jej z ręki kozik stryja.

- Co ty wyprawiasz? - Ścisnął ranę, aby zatamować krew.

- Zagapiłam się na chwilę i...

- Stryju, nie masz tu gdzieś czystej szmaty? Usiądź, Camillo, bo mi tu zaraz zemdlejesz. - Chwycił ją w talii i posadził na stole.

Diron podał mu kawałek białej tkaniny. Gabriel oderwał strzep i zawinął ranę. Przyglądał jej się przez moment z marsmem na czole, cały czas trzymając Camillę za rękę.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, nic mi nie będzie... Niezdara ze mnie, prawda?

- Cóż... Lepiej już chodźmy, bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę. Gotowa?

Skinęła głową i spojrzała z uśmiechem na Dirona.

- Mam nadzieję, że nie zepsułam pańskiego noża.

- Nie powinienem był zostawiać go na wierzchu. Proszę koniecznie przemyć skaleczenie, kiedy pani wróci do domu.

Gabriel puścił rękę Camilli i pomógł jej zejść na ziemię.

- Zostanę dziś na noc w mieście, stryju. Mam spotkanie wczesnym rankiem.

Diron mruknął coś pod nosem i wrócił do pracy.

Gabriel zaoferował Camilli ramię i wyszli razem na zewnątrz. Przyłgnęła mocno do jego boku i skierowała kroki do dwukółki, którą zostawiła po drugiej stronie ulicy. Wpatrywała się uparcie w rozcięty palec.

- Do składu czy do domu? - zapytał Gabriel.

- Do składu. Babka zmyje mi głowę, jeśli nie przywiozę jej tego, czego chciała.

- Dlaczego nie wysłała po zapasy któregoś ze służących?

- Sama zaproponowałam, że pojedę, bo musiałam się z tobą spotkać. Gdzie się podziewałeś przez cały ubiegły tydzień?

- Próbowałem się spotkać z twoim ojcem. Zdaje się, że mnie unikał.

- Bardzo możliwe. Od kilku dni kłócą się z babcią na temat naszych zaręczyn.

- W końcu udało mi się z nim porozmawiać. Próbował wykręcić się sianem.

Nie zabronił mi się do ciebie zalecać, ale też dał do zrozumienia, że nie powinienem celować powyżej swoich możliwości.

- To do niego niepodobne.

- Stara się chronić jedyną córkę. Pewnie na jego miejscu postępowałbym podobnie. - Do diaska, staję się sentymentalny, zbeształ się w duchu Gabriel.

Szarpnął lejce i skręcił w ulicę Government.

- Być może papa stara się coś chronić, ale z pewnością nie chodzi o mnie.

Razem z Beckhamem Chamblissem zaangażowali się w handel bawełną skonfiskowaną przez Forneya. Wywożą ją z Mobile i sprzedają na Północy.

- Co takiego?! - zwrócił ku niej głowę. - Skąd o tym wiesz?
- Fanny mi powiedziała. Spotkałam ją wczoraj przypadkiem.
- Jesteś pewna, że to prawda?
- To całkiem sensowne. Robią ze sobą interesy od lat. To właśnie pan

Chambliss był u ojca tej nocy, kiedy podsłuchałam rozmowę o łodzi.

- Stryj potwierdził, że Chambliss także jest inwestorem. Jeśli potrzebują więcej pieniędzy na sfinansowanie projektu dla armii, to sprzedaż bawełny, o której mówisz, byłaby doskonałym sposobem na zdobycie sporej gotówki.

Camilla przysunęła się i chwyciła Gabriela za ramię.

- Nawet więcej niż sporej. Fanny mówi, że niebawem odbiorą transport ośmiuset tysięcy dolarów w srebrze. To jeszcze nie wszystko - szepnęła z ustami tuż przy jego uchu. - Virgil Byrd widział łódź.

- Gdzie jest? Muszę koniecznie obejrzeć ją na własne oczy.

- Jest w starym kościele episkopalnym, ale cały czas ktoś się tam kręci. Widać papę najął ludzi do pilnowania.

- Jakim cudem Byrd podszedł na tyle blisko, by coś zobaczyć?

- Chodzi, gdzie chce. Nikt nie zwraca na niego uwagi.

- Znajdę sposób, by dotrzeć do łodzi, Camillo.

W składzie M & O ludzie uwijali się jak mrówki. Mundurowi, niewolnicy oraz najemnicy w pocie czoła rozładowywali i ładowali towar. Magazyn musiał być zbudowany całkiem niedawno, bo belki na ścianach i podłogach nie były nawet pomalowane. Gabriel pomógł Camilli zsiąść i podał jej ramię.

- Jak długo działa ta stacja? - zapytał.

- Od około roku. Ojciec przekonał władze stanowe, by ufundowały kolej, zanim doszło do zamieszek w Karolinie Południowej. Władze w Richmond stale robią z niej użytek, ale nie kwapią się z wykładaniem pieniędzy na utrzymanie placówki. Rozumiesz teraz, dlaczego papie tak zależy na zyskach i czemu zabiega o każdego centa.

- Przecież nie jest jedynym udziałowcem.
- Nie, ale utopił w tym przedsięwzięciu pokaźną sumę.

A zatem los Beaumontów zależy od wyniku wojny, pomyślał Gabriel. Jeśli zatriumfują zwolennicy secesji, Ezekiel zyska krocie na spłacie długów, jakie zaciągnął u niego rząd konfederatów. Jeżeli zaś zwycięży unia, rodzina straci wszystko.

Weszli na szeroki podest, na którym znajdowała się kasa biletowa. Gabriel zastanawiał się, co pocnie, kiedy będzie musiał dokonać wyboru pomiędzy Camillą a obowiązkiem. Mógł się jedynie modlić, by Bóg nie kazał mu stawać przed tym dylematem.

- Panie Havard! - Camilla podeszła do zawiadowcy. - Babcia przysłała mnie po rzeczy, które przyjechały dla nas porannym pociągiem.

- A tak, przyszło coś od pana Shoata z Benton's Mills. Dziwnie to wygląda i jest okropnie ciężkie. Gdybym nie znał lepiej pani ojca, pomyślałbym, że przewodzi trupy! - Zwiadowca zaśmiał się z własnego żartu. - Pomóc panience z załadunkiem?

- Nie, nie trzeba. Wielebny Leland mi pomoże. - Pokwitowała odbiór dostawy. - Proszę pozdrowić ode mnie żonę i dzieci.

- Dziękuję. Miło było panią spotkać, panno Camillo.

- Masz znajomości, które mogą się dla nas okazać pożyteczne - zauważył Gabriel, gdy zbliżali się do magazynu. - Może mogłabyś wyciągnąć od niego informacje dotyczące liczebności regimentów, które przerzucają tędy koleją?

Rzuciła mu zakłopotane spojrzenie.

- Nie lubię wykorzystywać ludzi, którzy mnie znają i mają do mnie zaufanie. Zabrzmiało to jak oskarżenie pod jego adresem.

- Nie dotarło do ciebie, że nie masz wyboru? Siedzisz w tym po uszy, czy ci się to podoba, czy nie. Za późno, żeby się wycofać. - Nim dokończył zdanie, pożałował, że je wypowiedział. Niepotrzebnie był taki szorstki.

Złotobrzazowe oczy Camilli natychmiast zaszkliły się łzami. Wyswobodziła ramię i popędziła przodem.

- Camilla! - ruszył pospiesznie za nią. - Zaczekaj. Przepraszam, nie chciałem...
- Zostaw mnie w spokoju!

Podkasawszy spódnice, przedzierała się między workami soli, beczkami, skrzyniami i czymkolwiek, co stało jej na drodze. Zaraz się o coś potknie i zrobi sobie krzywdę, pomyślał Gabriel i przyspieszył kroku. Camilla dotarła do końca magazynu i schowała się w kącie za ogromną belą bawełny. Oparła czoło o podtrzymującą strop sosnową belkę i ukryła twarz w dłoniach. Kapelusz zsunął jej się z głowy i zwisał na plecach zawieszony na wstążkach. Gabriel stał nieopodal, przeklinając w duchu własną głupotę.

- Zrobiłabym dla ciebie wszystko - odezwała się po pewnym czasie Camilla, odsłaniając twarz. - Wystarczyło tylko poprosić. Niczego się jeszcze nie nauczyłeś?

- Wygląda na to, że nie. Jesteś dla mnie jak niezbadany ląd.
- Pomogę ci, ale musisz pozwolić mi to zrobić po swojemu.
- Nie mamy na to czasu. Mój stryj wie, że jesteś w to zamieszana. Wie także Fanny Chambliss i zapewne inni. Muszę ci o czymś powiedzieć.

- O czym? - Przyłgnęła plecami do ściany i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Co się stało?

- Dowiedziałem się od Delii, że regiment Harry'ego wdał się w potyczkę pod Tupelo i został doszczętnie pobity.

- Czy on... zginął? - zapytała ledwie słyszalnym głosem.
- Nie wiadomo. Tych, którzy przeżyli, wzięto do niewoli. Delia obiecała, że sprawdzi, czy jest wśród nich Harry.

Camilla zwiesiła głowę. Gdy Gabriel wziął ją w ramiona, z całych sił objęła go w pasie i przytuliła się do jego piersi. Zniósł dzielnie jej szloch, choć wiedział, że płacze po innym mężczyźnie, który jest, a być może był jego najlepszym przy-

jacielem. Los nieźle sobie z niego zakpił. Jak to się stało? I kiedy? Nawet nie spostrzegł, że się w niej zakochał.

- Chciałabym odnaleźć Harry'ego - szepnęła - ale przecież nie mogę tego zrobić, kiedy ty jesteś w mieście, Jamie ma przetestować tę okropną łódź, a ojciec handluje nielegalną bawełną...

Pogładził ją po włosach, a ona uniosła ku niemu głowę. Miała zamknięte oczy, a na policzkach smugi zaschniętych łez. Nieodłączne okulary przekrzywiły jej się komicznie na nosie. Zdjął je i wsunął sobie do kieszeni. Potem, wiedziony nieodpartym pragnieniem, pochylił się i ucałował jej miękkie i pachnące usta. Poczul, że odpowiada na jego pieśczołę, lecz trwało to zaledwie chwile.

Oprzytomniała i poruszyła się niespokojnie.

- Przestań, Gabrielu... Nie powinnam... Nie mogę...

Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe.

- Nie zamierzam cię za to przeproszać.

- Wiem, to moja wina. - Odwróciła wzrok. Odsunawszy ją na wyciągnięcie ramion, włożył jej na głowę kapelusz i zaczął zawiązywać pod brodą wstążki.

- Wyglądasz jak straszidło - powiedział szorstko, jakby nic się nie wydarzyło i cały jego świat nie wywrócił się do góry nogami z powodu jednego krótkiego pocałunku, ledwie muśnięcia warg. - Gdzie jest ta rzecz, którą mamy zabrać?

- Zaraz po nią pójdziemy, ale...

- Nie traćmy czasu. Nie martw się. Zanim się obejrzysz, już mnie nie będzie. -

Wpatrywała się w niego załzawionymi oczami. - Nic się nie stało.

Rozdział piętnasty

Camilla dreptała za Gabrielem, gdy zmierzali do biura Percy'ego Clevelanda, który sprawował pieczę nad wyładowanym z pociągów towarem. Jak mogła zakochać się w tym okropnym Jankesie? Nie dość, że uparty jak osioł, to w dodatku nie wierzy w Boga. Z pewnością nie jest, jakby to ujęła babcia „tym, którego wybrał dla niej Pan”. A Portia? Gdyby się dowiedziała, kim naprawdę jest wielebny Leland, prawila by jej kazania co najmniej przez tydzień. „Nic się nie stało”. Może dla niego, ale nie dla niej. Jej świat stanął na głowie. Przypuszczała, że jest dla niego jedynie narzędziem, środkiem do celu, którym było pomyślne wypełnienie misji. W związku z tym ogarnęły ją mieszane uczucia. Z jednej strony, cieszyła się, że na coś mu się przyda, z drugiej - było jej przykro, że jest tylko pionkiem w jego grze. Wspierała unie, aby skończyć z plagą niewolnictwa, ale przede wszystkim z całego serca pragnęła pracować ramię w ramię z Gabrielem, należeć do niego i trwać przy nim. Nie zniosłaby, gdyby coś mu się stało. Wiedziała, że bez boskiej interwencji jej marzenia się nie spełnią.

W drodze do domu milczeli, każde z nich pogrążone we własnych myślach. W drzwiach powitała ich Portia. Wsparła się pod boki i zrobiła gniewną minę.

- Już myślałam, że znowu popłynęliście do Fort Morgan i z powrotem - powiedziała, obrzucając lodowatym spojrzeniem Gabriela. - Pojedziecie z tym do wędzarni - zarządziła.

- Przyślę wam do pomocy Williego.

- Ta kobieta zamieni mnie kiedyś w słup soli - stwierdził Gabriel, gdy ruszyli spod domu. - Zachowuje się jak koronowana głowa. Straszna z niej despotka.

- Jest tylko nadopiekuńcza.

- Jak cała twoja rodzina. Trudno było temu zaprzeczyć.

Gdy dotarli do wędzarni i wyładowali z wozu wielką drewnianą skrzynię, czarnoskóry służący otworzył łomem wieko.

Gabriel i Camilla zajrzeli do środka i się roześmieli.

- Zadaje się, że pan Havard niewiele się pomylił, mówiąc o trupach.

Willie zaczął wypakowywać bekon, szynkę i słoninę. Było tego niemal dwieście funtów.

- Pan Zeke ma swoje sposoby - powiedział z podziwem. - Zakazy zakazami, a on i tak wie, jak zdobyć frykasy na śniadanie.

- Twój papa to kawał szelmy - orzekł Gabriel, gdy odprowadzał Camillę do domu. - Wydaje mu się, że reguły obowiązują wszystkich z wyjątkiem jego samego.

- Powstrzymałabym go, gdybym mogła. - Camilla położyła rękę na kłamce i dodała: - Ojciec nie jest doskonały, ale to dobry człowiek i bardzo go kocham.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Tak, wiem, że go kochasz. - Odwrócił się, by odejść, ale chwyciła go za rękaw.

- Co chcesz zrobić?

- Nie bój się. Nie pozwolę, by stała ci się krzywda - zapewnił Gabriel, ale nie spojrzał jej w oczy.

Patrzyła za nim, gdy oddalał się ku bramie.

Było tuż po północy, gdy Gabriel oparł się o rozłożysty dąb na rogu ulic Conception i Church. Przez chwilę nasłuchiwał krzyków dobiegających z pobliskich tawern i barów. Przypomniawszy sobie, jak razem z Harrym oblewali pierwszy zdany pomyślnie egzamin. Następnego ranka obudzili się w miejskim areszcie z okropnym kacem. Ledwie potem wysiedzieli na zajęciach.

I pomyśleć, że Camilla była wtedy całkiem niedaleko. Bawiła się lalkami, albo, co bardziej prawdopodobne w jej przypadku, wymykała się nad rzekę, by łowić ryby. Odkąd rozstał się z nią po południu, bez przerwy zastanawiał się, jak się wyplątać z tego ambarasu. Sytuacja wydawała się nie do zniesienia. Misja to jedno. Nie od wczoraj jest szpiegiem i zdążył się przyzwyczaić do tego niewdzięcznego zajęcia. Nie potrafił jednak dłużej patrzeć w te błyszczące bursztynowe oczy z

obojętnością. Nie był z kamienia. Wiedział, że nie uda mu się pozostać niewzruszonym.

Wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę. Musi z tym wreszcie skończyć. Nie może bez przerwy rozmyślać o Camilli, zastanawiać się, co ona robi i o czym myśli. Wyprostował się, usłyszawszy z oddali czyjś powłóczysty chód i ciężki oddech. Z ciemności wyłonił się Byrd z pustą torbą przewieszoną przez kościste ramię.

- Co wielebny tu robi w środku nocy? Panienska prosiła, żebym przyszedł i sprawdził, co się dzieje. Niech pan wraca do domu.

- Ciszej, Virgil. Mnie też przysłała Camilla. Inaczej nie wiedziałbym, że cię tu znajdę.

Stary potarł nos.

- Ale nie wpakuje mnie wielebny w kłopoty?

- Bez obaw, Byrd. Czuwa nad tobą cała armia aniołów stróżów. - Gabriel zastanawiał się, co powiedzieć, by starszek wyzbył się podejrzeń. - Jeśli nie pomożesz mi wejść do kościoła, to Camilla na tym ucierpi.

- Kazała mi nie mówić nic nikomu prócz pana i miałem jej powiedzieć, gdyby pan się tutaj zjawił.

- Posłuchaj, Byrd. Musimy chronić pannę Beaumont. Tylko ty możesz mi w tym pomóc.

Stary podumał chwilę, międląc w dłoniach czapkę.

- Nie chcę, żeby coś się stało paniencie. Co mam zrobić?

Dziesięć minut później na polu nieopodal arsenału przy ulicy Water huczał zaimprovizowany naprędce ogień. Płomienie w zawrotnym tempie zbliżyły się do składu amunicji. Spostrzegłszy, co się święci, wartownicy strzegący kościoła episkopalnego jak jeden mąż rzucili się do gaszenia ognia.

Tymczasem Gabriel wślizgnął się do środka tylnym wejściem i zapalił małą lampę naftową. Potem z bijącym sercem podszedł do łodzi. Wyglądała jak kocioł w

kształcie cygara. Ta mała blaszana puszką ma zatapiać unijne torpedowce? Na oko była długa na trzydzieści pięć stóp*, szeroka na cztery i głęboka na pięć. Liczące sześć stóp „płetwy” po bokach przydawały jej wyglądu rekina. Choć była stosunkowo niewielka, spiskowcy będą musieli się natrudzić, by wynieść ją z kościoła, nie ściągając na siebie uwagi. Prawdopodobnie trzeba będzie przeciskać ją przez drzwi.

* Stopa - ang. miara długości równa 30,48 cm (przyp. red.).

Przesunął dłonią po błyszczącej powierzchni kadłuba. Spawy wydawały się wystarczająco solidne, by nie przepuszczać wody. Przystawiwszy drabinę, zbadał górną część łodzi. Na każdym krańcu znajdowały się zbiorniki balastowe na wodę zaopatrzone w zawór i pompę. To by wyjaśniało kwestię zanurzenia. Na środku niczym korki w butelkach umieszczono dwa okrągłe włazy. Otworzył jeden z nich i na wdechu opuścił się do wnętrza. Jego szerokie ramiona ledwie przeszły przez ciasny otwór. Ukucnął i poświecił sobie lampą. Poczucił się jak w grobowcu. Już po chwili nie miał czym oddychać. Nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, jak załoga przetrwa rejs. Na samą myśl o pływaniu czymś takim przeszedł go zimny dreszcz. Wzdłuż boków biegły wąskie ławki, a nad nimi dźwąg z wbudowanymi korbami, który łączył się ze śrubą napędową. Przemyślne.

Przekręcił koło sterowe przymocowane do drewnianego panelu. Obok niego zauważył ozdobny barometr i kompas. Zapamiętał jak najdokładniej wszystkie szczegóły i wydostał się z łodzi. Obiecał sobie zastanowić się, do czego mogły służyć dwie podłużne rury, których przeznaczenia nie był w stanie odgadnąć na poczekaniu. Pozostawała jeszcze tylko jedna rzecz. Musiał o nią zadbać, nim opuści budynek. Podeszedł do zaworów przy zbiornikach balastowych.

Camilla zerwała się w środku nocy i usiadła na posłaniu. Śnił się jej Gabriel. Opadła z westchnieniem na poduszki. Ojczy, wejrzyj na niego. Sama nie potrafię go

zmienić. Obdarz go łaską i spraw, by uwierzył. Cokolwiek teraz robi, pozwól mu obrać właściwą drogę, która wiedzie do Ciebie, Panie, pomodliła się w duchu.

Przewróciła się na bok i nakryła głowę poduszką. A co z Harrym? Nie wiedziała, czy żyje, i nie pamiętała, jak wygląda. Jego rysy przez lata zatarły się w jej pamięci. Chciałaby się z nim spotkać, ale nie miała pojęcia, jak go odszukać. Martwiła się także o Jamiego. Czy powinna go ostrzec? Błagać, by nie wsiadał do tej łodzi?

Odpowiedź odnalazła w Biblii. „Czyż nie rozkazałem ci: bądź mężny i mocny; nie trap się i nie lękaj; albowiem Pan, Bóg twój, jest z tobą wszędzie, gdziekolwiek pójdziesz”.

Nauczyła się tego wersetu w dzieciństwie od babci, a ostatnio przypomniało jej go kazanie Gabriela. Leżała bez ruchu, a jej duszę przepełniał spokój. Po jakimś czasie odetchnęła głęboko i wstała, by zapalić lampę.

Nad zatoką wstawały pierwsze promienie słońca, gdy Camilla weszła na pokład „Księżniczki Magnolii”. Odnalazłszy właściwą kajutę, zapukała do drzwi. Coś uderzyło o nie z drugiej strony i z rumorem spadło na ziemię. Uśmiechnęła się i zastukała raz jeszcze.

- Panno Matthews?

Usłyszała stłumione złorzeczenia, a potem niezbyt przyjazny żeński głos.

- Nie przyjmuję dzisiaj gości! Zwłaszcza o tak wczesnej porze!

- Przepraszam, że niepokoję panią tak rano, ale muszę z panią porozmawiać.

Delia otworzyła jej odziana w zwiewny negligé.

- Czego chcesz?

Camilla wzięła głęboki wdech.

- Podobno wie pani, gdzie szukać regimentu Harry'ego Martina.

Aktorka oparła się o framugę i ziewnęła.

- Twoja mama wie, gdzie się podziewasz?

- Moja mama nie żyje, ale zanim odeszła z tego świata, nauczyła mnie dobrych manier. Wpuści mnie pani do środka?

- Może. To zależy od tego, co dostanę w zamian.

- Powiem pani, jak przechwycić osiemset tysięcy dolarów w srebrze. Czy to wystarczy?

- Mogłabyś powtórzyć? - Delia natychmiast się ożywiła.

- Mogę wejść? Nie chciałabym mówić o tym na korytarzu.

Camilla starała się nie pokazywać po sobie, jak bardzo jest zażenowana. Potrzebowała pomocy tej kobiety i nie chciała jej do siebie zrażać. Poza tym szczyliła się tym, że nie ma wobec ludzi uprzedzeń. Jednak trudno jej było nie okazywać niechęci tej urodziwej współpracownicy Gabriela.

- Mam współlokatorkę. Zaczekaj chwilę. Ubiorę się i zaraz do ciebie dołączę.

- Z tymi słowy panna Matthews zamknęła jej drzwi przed nosem.

Kilka minut później pojawiła się odziana w dwuczęściową niebieską suknię, w której wyglądała elegancko, a zarazem skromnie. Przeszły do pustej o tej godzinie sali, w której wieczorami oddawano się grom hazardowym.

- Skąd wiesz o srebrze? - zapytała Delia, usiadłszy na jednym z wyściełanych czerwonych krzeseł.

- To zapłata za bawełnę, którą sprzedał mój ojciec - odparła Camilla. -

Przypuszczam, że Gabriel powiedział pani o łodzi podwodnej?

- Tak, wspominał.

- Nie wiem, skąd przyjadą te pieniądze, ale wiem, że papa i jego wspólnicy zamierzają je przeznaczyć na sfinansowanie budowy łodzi podwodnej. Myślę, że mogę pomóc pani je przechwycić.

- Niby dlaczego miałybyś to zrobić?

- Nie słyszała pani, co mówiłam? Chcę, żeby doprowadziła mnie pani do mojego kuzyna.

- Nie mogę, ot tak, wyjechać.

- Może pani, zwłaszcza z ośmiuset tysiącami dolarów.

- Nie jesteś aż tak głupia, na jaką wyglądasz - odparła ze śmiechem Delia. - Gabriel wie, co zamierzasz?

- Nie powiedziałyby mi, że Harry jest w potrzebie, gdyby nie chciał, żebym do niego pojechała.

Camilla zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie, że mógł ją okłamać. Dla niego prawda to towar na sprzedaż. Naginał ją lub przeinaczał na własny użytek.

- Nie znam twojego kuzyna - oznajmiła Delia.

- Gabriel mówił, że...

- Zapewnie nie sądził, że starczy ci determinacji, by tu przyjść i mnie przesłuchiwać. Co ci właściwie powiedział?

- Że jego regiment został pobity w potyczce i że ranni zostali wzięci do niewoli.

- Zgadza się, ale nie wiemy, czy twój kuzyn przeżył.

- Jest chirurgiem polowym. Z pewnością nie walczył na pierwszej linii frontu.

- Widziałaś kiedyś z bliska bitwę?

- Nie, ale...

- Ujmę to tak: nie trzeba filozofa, żeby przewidzieć skutki szturmów artylerii.

- Może i nie żyje, ale chcę się upewnić co do jego losu. Nie musi pani ze mną jechać. Proszę mi tylko wyjawić, gdzie szukać i kogo pytać...

Delia spojrzała na nią z namysłem.

- Mogę wskazać ci miejsce, w którym doszło do potyczki, ale ostrzegam: rozpytywanie o jankeskiego chirurga ściągnie na ciebie nie lada kłopoty.

Camilla złożyła ręce jak do modlitwy.

- Jeśli będzie trzeba, zgłoszę się do pomocy przy opatrywaniu rannych.

Byłoby prościej, gdyby pani mi towarzyszyła, ale zrobię to sama, jeśli będę musiała.

- Zwiesiła głos. - Czy Gabriel zamierza uszkodzić łódź?

Delia spojrzała uważnie na Camillę.

- A jak ci się zdaje?

- Nie ufam ani jemu, ani pani. Wiem jedno: jeśli coś się stanie mojemu bratu, niczego już ze mnie nie wyciągniecie.

- Gabriel nie mówi mi wszystkiego. Nie mam pojęcia, co chce zrobić z łodzią, ale na twoim miejscu nie pozwoliłabym, by ktokolwiek mi bliski się do niej zbliżył.

- Delia wyprostowała się na krześle. - A teraz powiedz mi, co wiesz o srebrze.

Rozdział szesnasty

- Jestem gotowa do wyjazdu, babciu. Proszę cię, nie utrudniaj i tak skomplikowanej sytuacji. - Camilla stała na ganku, trzymając w ręku pudło na kapelusze. Obok stała duża walizka. - Dostałam przepustkę od generała Forneya. Wiesz przecież, jak bardzo potrzebują pielęgniarek

Pani St Clair nie kryła złości.

- Havard nie sprzeda ci biletu. Wystarczy, że ojciec szepnie mu słówko.

Camilla podeszła do babki i uklękła obok fotela, na którym siedziała starsza pani.

- Przekonaj papę, żeby pozwolił mi jechać. Kocham Harry'ego - powiedziała, choć wcześniej odkryła, że zauroczenie kuzynem zmieniło się w siostrzane uczucie. Jednak babka nie musiała o tym wiedzieć.

Pani St Clair uciekła spojrzeniem w bok.

- Skończyłam osiemnaście lat. Nauczyłaś mnie, bym kierowała się w życiu nakazami Boga. Pan obudził mnie wczoraj w nocy i kazał mi się modlić. Słyszałam jego głos bardzo wyraźnie.

- Owszem, uczyłam cię słuchać słowa bożego, ale tylko wtedy, gdy jesteś w rozterce i potrzebujesz wsparcia. Ludzie, którzy słyszą w głowie głosy...

- To było słowo boże. W dzieciństwie kazałaś mi zapamiętywać całe wersety z Biblii, prawda? Czy nie po to, by wskazywały mi drogę, pomagały podjąć trudną

decyzję? - Przyłożyła policzek do dłoni babki. - Nie chcę ci się sprzeciwiać, po prostu czuję, że muszę wypełnić wolę Pana.

- Boję się o ciebie, dziecko.

- Ja też się boję, ale Bóg obiecał chronić mnie od złego. Pani St Clair milczała chwilę, po czym powiedziała:

- Nie podoba mi się to. - Sięgnęła po leżącą na stole sakiewkę. - Będziesz potrzebowała pieniędzy.

- Dziękuję. - Camilla ucałowała babkę w policzek i podniosła bagaż.

Starsza pani nie odezwała się już ani słowem. Camilla westchnęła i ruszyła do kuchni, by pożegnać się z Portią.

Dotarła na stację w samą porę, by kupić bilet. Powierzywszy bagaż Horace'owi, stanęła w kolejce do wejścia do wagonu. Nie była pewna, czy Delia powiedziała jej prawdę. Niepokoiła się o Harry'ego. Modliła się o to, by odnaleźć go w dobrym zdrowiu.

W pewnej chwili zauważyła w oddali grupkę wycieńczonych i umorusanych żołnierzy, których spędzono z wozu i ustawiono w szeregu. Większość z przybyłych słała się na nogach i miała takie czy inne obrażenia. Wszystko wskazywało na to, że zmierzają do szpitala. Kiedy podeszli nieco bliżej, spostrzegła, że ich mundury nie są szare, lecz granatowe. To unicy, uzmysłowiła sobie mniej więcej w tym samym czasie, gdy tłum miejscowych obrzucił jeńców obelgami i wyzwiskami.

Zasłoniła rękami uszy i stanęła na palcach.

- Panno Millu! - Poczwała na ramieniu dłoń Horace'a. - Proszę wsiadać, bo panienkę stratują!

- Nie, jeszcze nie teraz! - Przcisnęła się przed ciżbę, która zasłaniała jej widok.

- Wszyscy wsiadać! - usłyszała za plecami. - Za minutę odjazd!

Nie zatrzymała się. Brnęła dalej w kierunku żołnierzy armii federalnej. Zatrzymał ją wartownik w szarym mundurze.

- Proszę dalej nie iść. Tam może być niebezpiecznie. Spojrzała w jego posepne oblicze.

- Niech pan mnie puści! Jeden z tych ludzi to być może mój kuzyn.

- Nawet jeśli tam jest, proszę zostać na miejscu. Jeśli dożyją, wymienią ich na naszych, których zesłano na wyspę Ship.

Spróbowała mu się wyrwać.

- Chcę tylko porozmawiać.

Zachwiała się na nogach, gdy nagle ją puścił.

- Sir! - zaszalutował komuś, kto stanął tuż za Camillą.

- Możecie pozwolić panie Beaumont podejść do jeńców, kapralu. Dopilnuję, żeby nie stała jej się krzywda.

- Tak jest, sir!

Obejrzała się i napotkała badawczy wzrok Israela Duvalla.

Uklonił jej się z galanterią.

Nagle rozległ się gwizdek oznajmiający odjazd pociągu. Zerknęła na więźniów, a potem na znajomego porucznika. Już miała biec na peron, gdy jeden z żołnierzy wysunął się przed szereg i uniósł twarz ku popołudniowemu słońcu. Camilla wstrzymała oddech. W jego ruchach było coś znajomego. Uśmiechnął się, napotkawszy jej spojrzenie.

Ruszyła pędem w jego stronę.

Pociąg odjechał z łomotem ze stacji, wypuszczając kłęby pary.

Nie ma jej. Camilla odjechała.

Gabriel wsłuchiwał się bezmyślnie w odgłos własnych kroków. Pociąg wywiezie ją w porę z miasta. Spojrzył na monumentalny gmach szpitala, żałując, że nie może być przy niej. Niczego tak nie pragnął, jak chronić ją przez złem i zyskać pewność, że jest szczęśliwa i niczego jej nie brakuje. Jeszcze nigdy nie czuł się tak przeraźliwie samotny. Ani bohaterskie czyny, ani przyjemne przyjemności nie

zdołają zapłacić pustki w jego życiu. „Marność nad marnościami i wszystko marność”.

Chciał zostać lekarzem, uzdrowicielem, który pomaga bliźnim i wspiera ich w cierpieniu. I jak skończył? Jako oszust i kłamca, tyle zostało z marzeń. Wcisnął ręce do kieszeni i wszedł na schody. Jednego był pewien. Nie będzie udawał kaznodziei. Wygłaszanie z ambony banałów, w które nie wierzył i których nie do końca pojmował, okazało się w wyrafinowaną torturą.

Gdy otworzył drzwi, z miejsca uderzyły go w nozdrza szpitalne wonie. Wciągnął głęboko powietrze i poczuł się tak, jakby wrócił do domu. Ciągnęła go tu jakaś siła, której nie był w stanie przewyciężyć. Camilla powiedziała kiedyś, że Bóg sprowadził go do Mobile, żeby mu pokazać, że... Jak ona to ujęła? „Że go kocha i że wyznaczył mu jakiś cel”.

Wszedł do najbliższej sali na parterze. Zewsząd dobiegały jęki i zawodzenia chorych kobiet i dzieci oraz rannych żołnierzy. Rozejrzał się dookoła. Wydawało mu się, że ktoś wypowiedział słowa psalmu na głos. Nie zobaczył jednak nikogo.

Na korytarzu rozległy się odgłosy kroków i ożywionej rozmowy. Wiedziony intuicją, ruszył za nimi na oddział chirurgii. Nagle wśród pełnych bóleści okrzyków pacjenta usłyszał melodyjny głos kobiety i natychmiast wszedł nieproszony do środka.

Camilla pochylała się nad pacjentem, który wił się na stole przytrzymywany przez dwóch umundurowanych konfederatów. Powinna być w połowie drogi do Malbis. Sądząc po podróznym stroju, zamierzała wsiąść do pociągu, lecz zmieniła plany z powodu tego mężczyzny.

Podniosła wzrok na jednego z oficerów.

- Gdzie jest lekarz? - zapytała ponagląco.

- Nie wiem - odparł młody podporucznik ze sztabu Forneya. - Panno Beaumont, nic tu po pani. Ten człowiek jest jedną nogą w grobie.

Zanim Camilla zdążyła się odezwać, Gabriel wyłonił się z cienia i podszedł do nich zdecydowanym krokiem.

- Może będę mógł mu pomóc.

Duvall sprawiał wrażenie rozdrażnionego, tymczasem Camilla z miejsca się rozchmurzyła.

- Wielebny Leland! Bóg nam pana zesłał w samą porę.

Gabriel popatrzył na człowieka leżącego na stole operacyjnym. Wiele go kosztowało, by nie okazać niczego ponad duszpasterską troskę. W jego głowie kłębiły się pytania, lecz podszedł do Harry'ego, udając, że go nie zna. Położył mu rękę na czole. Było suche i rozpalone gorączką. Miał wychudzoną i zarośniętą twarz, zapadnięte policzki i błyszczące oczy.

Spojrzał na Camillę.

- Zgadzam się z porucznikiem Duvalem. Nic tu po pani, panno Beaumont. Może pani wyjaśnić tę nagłą troskę o... żołnierza z obozu wroga? Jenca, jak sędzę?

- Owszem, to jeniec - przyznała, obrzucając urażonym wzrokiem Gabriela. - Ale także istota ludzka! Potrzebował fachowej pomocy, więc nalegałam, by przewieźć go do szpitala. Harry zemdlał. Prawdopodobnie cierpiał z powodu niedożywienia i wycieńczenia, a nie poważnego schorzenia.

- Pewnego dnia ściągnie pani na siebie poważne kłopoty. Bezinteresowna dobroć nie zawsze popłaca. Według mnie ten człowiek zapadł na chorobę Septigariususa.

Obydwaj mundurowi jak na komendę odskoczyli od stołu.

- Na pewno? Skąd pan wie? - Duvall starannie wytarł ręce o mundur.

- Wiele razy odprawiałem nabożeństwa żałobne w intencji ofiar tej plagi.

Duvall złapał Camillę za łokieć.

- Panno Beaumont, nalegam, by pozwoliła mi pani odprowadzić się do domu.

Wyrwała mu się.

- Proszę wrócić do wartownika i powiedzieć mu, że ten człowiek jest zbyt chory, by opuścić szpital. Wielebny Leland i ja dopilnujemy, żeby wrócił do aresztu, jak tylko dojdzie do siebie.

- Ale...

- Panie poruczniku, martwy jeniec na nic wam się nie przyda - zauważyła rozsądnie. - Nie oddadzą wam żywego konfederata za trupa unity. Pana wzywają obowiązki, a ja nie mam żadnych pilnych zajęć.

Gabriel zrobił niezadowoloną minę na użytek zebranych, choć prawdę mówiąc, miał ochotę się uśmiechnąć.

- Pani babka nie będzie zachwycona, gdy się dowie, że pozostaje pani w miejscu pełnym zarazków i oddycha zainfekowanym powietrzem.

- Przychodzę tu niemal codziennie. Zechce pan poinformować panią St Clair, że odłożyłam podróż na później i że niebawem wrócę do domu?

Duvall uklonił się sztywno.

- Mam nadzieję, że pani wie, co robi. - Skinąwszy na towarzysza, wyszedł wraz z nim na korytarz.

Camilla zamknęła za nimi drzwi, po czym wróciła do Harry'ego i dotknęła jego bezwładnej dłoni.

- Nie stój tak - ponagliła Gabriela. - Zrób coś!

- Co mianowicie?

- Nie wiem. Jesteś lekarzem.

- Nie jestem le...

- Och, skończ wreszcie z tymi bzdurami! Udawaj sobie, kogo chcesz, tylko mi nie wmawiaj, że nie jesteś lekarzem!

- Nie krzycz.

- Przestanę krzyczeć, kiedy się ruszysz i pomożesz Harry'emu.

Wpatrywali się w siebie w pełnym napięcia milczeniu. W końcu Gabriel wzruszył ramionami i przyłożył ucho do serca pacjenta. Potem uniósł jedną z jego powiek i obejrzał źrenicę. Żałował, że nie ma odpowiednich narzędzi.

- Skąd on się tutaj wziął?

- Nie wiem. - Camilla obserwowała bacznie każdy jego ruch. - Miałam właśnie wsiąść do pociągu, gdy spędzono ich z wozu w pobliżu składu kolejowego.

- Wzdrygnęła się. - Prawie go nie poznałam.

- A on? Poznał ciebie?

- Chyba tak. - Poglądziła kuzyna po zarośniętym policzku. - Co mu jest?

- Nic poważnego. Trzeba go nakarmić, napić i położyć do łóżka. Potrzebuje snu.

- A choroba Septa-Septi...

Gabriel się roześmiał.

- Nie ma czegoś takiego.

- Wystraszyłeś mnie - rzuciła oskarżycielskim tonem Camilla.

- I dobrze. Może dzięki temu zastanowisz się, nim popełnisz kolejne głupstwo.

- Zrobiłabym to jeszcze raz, gdybym musiała - oznajmiła bez wahania.

Cała ona: bezinteresowna, impulsywna i nierozsądna. Skończywszy badanie chorego, spojrział na Camillę.

- Gdybym wiedział, przez co przeszedł, byłoby mi łatwiej go leczyć. Jest w takim stanie, że pewnie będzie spał tydzień, szkopał w tym, że za tydzień może już być martwy.

- Ale przecież mówiłeś, że to nic groźnego.

- Nie jestem cudotwórcą. Trzeba go obserwować.

Przygryzła wargę.

- W takim razie... zabieram go do domu.

- Oszalałaś? Nie możesz tego zrobić. Jest jeńcem, żołnierzem unii. Co powie twój ojciec?

- Na pewno go nie wyrzuci. Jamie mu na to nie pozwoli.
- Przecież wciąż kwateruje u was sztab Forneya, prawda?
- No tak, ale...

- Konfederaci nie wydadzą ci jeńca, a nawet gdyby, do całej twojej rodzinny przyłgnie opinia sympatyków unii.

- Babka jest zażartą zwolenniczką secesji, ojciec finansuje transporty zapasów i wojska, a brat przemycą broń dla konfederatów. Krótka obecność chorego krewnego z pewnością nie zrobi z nas podejrzanych, nawet jeśli ów krewny nosi granatowy, a nie szary mundur.

Gabriel przypomniał sobie rozmowy z przedstawicielami Straży Obywatelskiej, które odbył, nim pozwolono mu wjechać do miasta. Camilla nie mogła jednak wiedzieć, jak niepewny status mają Beaumontowie. Spróbował zatem z innej beczki.

- Skoro nic innego do ciebie nie przemawia, pomyśl o bezpieczeństwie Harry'ego.

- Cały czas o nim myślę. Umrze, jeśli nie zapewnimy mu właściwej opieki. Sam to przed chwilą powiedziałeś. Musisz mi pomóc, Gabrieliu. Wiem, że masz wpływy, i możesz ich nakłonić, by oddali go pod moją opiekę.

Miała rację. Jeśli weźmie sprawy w swoje ręce, być może uda mu się zapobiec katastrofie. Sytuacja z dnia na dzień się komplikowała. Wykonywanie misji w miejscu, gdzie jest się rozpoznawanym, miało pewne zalety, niemniej niosło także spore zagrożenie.

- Dobrze. Zobaczę, co da się zrobić.

Radość, która odmalowała się na twarzy Camilli, ubodła go w samo serce. Ona kocha Harry'ego! Zamknął oczy, jakby to mogło odpędzić ból. Panie dopomóż, jeśli tam jesteś.

- Babcia?!

Odwrócił się i ujrzał w drzwiach Delythię St Clair wspartą na ramieniu generała Forneya.

- Co tu się, do licha, wyprawia? - Starsza pani weszła do środka i zbliżyła się do wnuczki. - Nie dość, że cała rodzina się o ciebie martwi, bo umyśliłaś sobie wyjechać, ot tak, dla kaprysu, to jeszcze po drodze adoptowałaś jankeskiego jeńca!

- Wiesz, kim jest ten jeńiec, babciu?

Starsza pani zignorowała pytanie i kiwnęła głową Gabrielowi.

- Witam, wielbny Lelandzie. Camilla tupnęła ze złością.

- To nie jest jakiś Jankes! To Harry!

Matrona zmarszczyła czoło.

- Dziecko drogie, rozum ci odjęło?

- Pani St Clair - odezwał się Gabriel - proszę podejść i przekonać się na własne oczy, że to pani wnuk.

- Nie mam wnuka, który nosi wrogi mundur! - Zerknęła na Forneya, który uśmiechnął się ze zrozumieniem i poklepał ją po dłoni. - To rodzina ze strony Ezekiela wydała na świat takich zdrajców. - Pomaszzerowała do stołu operacyjnego i spojrzała na pacjenta. - Nigdy w życiu nie widziałam tego człowieka. Camillo, natychmiast wracasz do domu. Wielbny Lelandzie, zechce pan dopilnować, by temu człowiekowi zapewniono ludzkie traktowanie i odprowadzono go tam, skąd przyszedł. Pismo Święte każe nam miłować wrogów i modlić się za naszych prześladowców, ale nawet ja wzbraniałbym się przed tym, by udzielić schronienia jankeskiemu żołnierzowi.

- Babciu, przysięgam na Boga, że jeśli odprawisz tego człowieka z kwitkiem, wsiądę do pierwszego pociągu na Północ i nigdy więcej nie pokażę się w domu! - Camilla podniosła głos, nie panując nad zdenerwowaniem.

Gabriel miał ochotę porwać ją w ramiona i całować do utraty tchu. Spojrzał na Forneya, który dotąd nie brał udziału w rozmowie.

- Panie generale, myślę, że warto pójść w tym wypadku na pewne ustępstwa. Ten biedak jest wykwalifikowanym chirurgiem. Będzie cennym zakładnikiem. Jankesi z pewnością zechcą go wymienić na kogoś z naszych.

Generał wyraźnie zainteresował się tą możliwością.

- Hm, istotnie.

- Zgodzi się pan oddać go pod moją kuratelę? Panna Beaumont i ja będziemy go pielęgnować, aż wydobrzeje na tyle, by można go było przetransportować na wyspę Ship.

- Podoba mi się pański pomysł, ale czy nie obawia się pan, że może się od niego zarazić?

- Nie pierwszy raz narażam życie dla ojczyzny. To dla mnie honor.

Pani St Clair zastukała łaską o podłogę.

- Jeśli nadal nalegasz na to niedorzeczne przedsięwzięcie - zwróciła się do wnuczki - będziesz doglądać pacjenta we własnym domu. Wielebny Gabrielu, poślę służącego po pańskie rzeczy.

Gabriel musiał ugryźć się w język, by nie wydać głośnego okrzyku zwycięstwa. Będzie kwaterował pod jednym dachem z dowódcą konfederatów, a przy okazji przypilnuje Camilli i Harry'ego. Jeśli zajdzie potrzeba, może nawet uda się zorganizować im ucieczkę.

Wyszli ze szpitala razem. Pani St Clair kroczyła na przedzie z generałem, Camilla zaś dreptała przy noszach, na których wynoszono jej kuzyna. Starła się nie okazywać emocji, ale robiła to z marnym skutkiem. Gabriel niemal jej współczuł. Gdy pomagał jej babce wsiąść do powozu, starsza pani dotknęła lekko jego ramienia.

- Dziękuję, Gabrielu. Spojrzał na nią zaskoczony. Uśmiechnęła się niewesoło.

- Nadeszła pora, byśmy odbyli poważną rozmowę, młody człowieku.

Oczekuję cię u siebie po kolacji.

Rozdział siedemnasty

Camilla nie była w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu. Nie miała najmniejszej ochoty na jedzenie. Myślała jedynie o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się przy łóżku Harry'ego. Mimo to nie zdołała opanować dreszczu podekscytowania, gdy Gabriel stanął tuż za nią, by przysunąć jej krzesło do stołu. Jego dłoń otarła się przy tym o jej plecy.

- Gdzie twój brat? - zapytał, pochyliwszy się do jej ucha.
- Nie wiem. Schuyler zawsze spóźnia się na kolację.
- Nie chodzi mi o Schuylera. Pytałem o Jamesa.
- Wyjechał. Nie ma go od kilku dni.
- Wyjechał?!
- Nie było czasu na pytania.
- Idzie generał. Spróbuj z niego coś wyciągnąć.

Poczuła na nagim ramieniu muśnięcie jego palców i spłonęła rumieńcem. Patrzyła za nim, gdy oddalił się i usiadł na swoim miejscu. Podczas posiłku przekomarzała się z Forneyem, jednocześnie obserwując Gabriela, który flirtował w najlepsze z panią St Clair. Jego obecność dodawała Camilli otuchy. Ściągnęła na ich głowy ogromne niebezpieczeństwo, ale wiedziała, że właśnie tak należy postąpić. Nie mogła zostawić kuzyna na pewną śmierć. Wierzyła, że z bożą pomocą Gabriel zdoła go ocalić.

Generał usiłował za wszelką cenę ukryć senność, ale nie udało mu się stłumić ziewnięcia.

- Widzę, że pracuje pan po nocach - zauważyła z uśmiechem Camilla.
- Proszę wybaczyć mi ten brak manier, moja droga. Pani St Clair doskonale nas karmi. Człowiek gotów zapomnieć, że Jankesi rychło staną u bram miasta.
- Jak pan sądzi, jakie mamy szanse, by odeprzeć atak nieprzyjaciela?

- Przy wsparciu lojalnych rodzin, takich jak wasza, i zaangażowaniu bohaterskich mężczyzn Południa, na pewno zwyciężymy.

- Jestem dumna, że mój papa i starszy brat wspierają wysiłki wojska.

- Pani ojciec ma bodaj najcenniejszy talent ze wszystkich naszych pomocników; potrafi jak nikt pomnażać pieniądze.

- Papa i jego maszyny! Któregoś dnia pewnie opłaci jakiegoś wynalazcę, by skonstruował dla niego pojazd, który unosi się w powietrzu.

Forney zmarszczył brwi.

- Opowiada rodzinie o swoich projektach?

- Nie. Zresztą, nawet gdyby o nich mówił, pewnie i tak niewiele bym z tego zrozumiała. - Sięgnęła do ucha i przekreśliła kolczyk. - Słyszałam tylko, że wkrótce zamierza wypróbować jakiś nowy wynalazek. .

Podchwyciła nad stołem wzrok Gabriela. Zmarszczył nieznacznie czoło i lekko pokręcił głową.

- Panno Beaumont, muszę panią prosić, by z nikim pani o tym nie rozmawiała. Od pani dyskrecji może zależeć życie pani brata. - Generał skinął na adiutanta, po czym się pożegnał.

Camilla przygryzła wargę. Generał domyślił się, że ona wie coś o łodzi. Jamie miał ją niebawem przetestować; zamknęła oczy i pomodliła się w myślach o jego bezpieczny powrót. Nie mogła mu w żaden sposób pomóc. Tymczasem musiała zająć się Harrym. Wstała od stołu.

- Babciu, pójdę już. Jestem potrzebna Portii. Starsza pani skinęła głową i oznajmiła:

- Wielebny Leland i ja będziemy w różowym saloniku. Niech nikt nam nie przeszkadza.

Camilla przypatrywała im się, gdy wychodzili z jadalni. Dziwne, pomyślała, marszcząc czoło.

Gabriel pomógł pani St Clair usiąść w fotelu, po czym zajął miejsce naprzeciwko na sofie. Odruchowo sięgnął do kieszeni, lecz zatrzymał rękę w pół drogi.

- Śmiało, młody człowieku - Uśmiechnęła się drwiąco starsza pani. - Nie mam nic przeciw temu, byś dogodził sobie cygarem. Mogę ci mówić po imieniu?

- Oczywiście, jak pani sobie życzy. - Gabriel wyjął cygaro.

- Zaczynam cię traktować jak własnego wnuka. - Oparła dłonie na lasce i przyglądała mu się bacznie. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, jeśli uraczę cię opowieścią o naszej rodzinie. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Uwielbiam zapach cygara. Sama kiedyś paliłam, ale porzuciłam ten zwyczaj, gdy spadła na mnie odpowiedzialność za dzieci zmarłej córki.

- Może ma pani ochotę?

- Nie obrażę się jeśli mnie poczęstujesz.

Gdy oboje z ukontentowaniem zaciągali się aromatycznym dymem, Gabriel rozparł się wygodnie na sofie.

- Rozumiem, że historia, którą chce mi pani opowiedzieć, ma związek z chorym Jankesem.

- Bynajmniej. Skąd to przypuszczenie?

- To przecież kuzyn Camilli.

- Nie widziałam Harry'ego prawie pięć lat. Wątpię, czy rozpoznałabym go na ulicy. - Machnęła ręką. - Nie, chłopcze, pragnę opowiedzieć ci o czymś, co zaczęło się o wiele dawniej, ściśle mówiąc w tysiąc osiemset dwunastym roku.

- To aż pół wieku temu. Ameryka prowadziła wtedy wojnę z Anglią.

- Owszem, ale nie chodzi o wojnę, lecz o coś osobistego. Moi rodzice byli misjonarzami.

- Nie wiedziałem.

- Spędzaliśmy mnóstwo czasu z Indianami. Miałam wówczas szesnaście lat i byłam bezgranicznie zakochana.

- Pani mąż był prawdziwym szczęściarzem.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Niewątpliwie, ale to nie on był moją pierwszą miłością.

- Zdziwiała mnie pani.

- Ja myślę. Moim ukochanym był młody wódz Krików, znany jako Czerwony Orzeł.

Gabriel zakrztusił się dymem i zaczął kasłać.

- Nie pozwolono nam się pobrać - ciągnęła starsza pani. - Posłano mnie do krewnych w Missisipi. Jakiś czas później dowiedziałam się, że Czerwony Orzeł wybrał żonę wśród współplemieńców. Jeszcze tego samego roku stanął na czele rewolty przeciw osadnictwu białych. To była długa i krwawa walka. Ja również wyszłam za mąż, lecz mimo to śledziłam na bieżąco losy Indian. Większość z nich rozpiezchła się na terenach Oklahomy po tym, jak ich ziemie w Alabamie przejęli biali. Córka mojego dawnego ukochanego została w rezerwacie z resztką swego plemienia. Poślubiła francuskiego kupca Jeana Lanierę'a.

- To bardzo interesująca opowieść, lecz... - zaczął Gabriel, ale nie dane mu było skończyć.

- Jean Lanierę to twój ojciec, prawda?

Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

- Jesteś bardzo podobny do dziadka, mój drogi - odezwała się po jakimś czasie starsza pani.

- Indiańska krew to nie najlepsza przepustka na salony.

- Wiem. Dlatego dołożyłam wszelkich starań, by przyjęli cię na studia medyczne.

- Pani dołożyła starań? Niby z jakiego powodu?

Delythia St Clair wpatrywała się przez chwilę w koniuszek cygara.

- Nie wiem. Może chciałam sobie w ten sposób wynagrodzić utratę ukochanego. - Kiedy na niego spojrzała, jej oczy zaszklily się łzami. - Chyba nie

wyleczyłam się z tej miłości, choć szczerze kochałam męża. Po śmierci córki wróciłam do Mobile, by pomóc zięciowi w wychowywaniu dzieci. Pewnego dnia zobaczyłam cię przypadkiem na targu. Byłeś ze swoim stryjem. Nie mogłeś mieć wtedy więcej niż dwanaście lat. - Uśmiechnęła się melancholijnie. - Od razu się domyśliłam, kim jesteś.

Gabriel zerwał się z sofy i podszedł do okna. Był oszołomiony tym, co usłyszał. Ktoś nad nim czuwał, troszczył się o jego los, i to nie ze względu na niego, lecz z powodu sentymentu do dziadka. Odwrócił się gwałtownie.

- Czemu mi pani o tym mówi? I dlaczego właśnie teraz?

- Bo widzę, jak patrzysz na Camille.

Zanim zdążył otworzyć usta, by zaprotestować, pani St Clair uniosła dłoń.

- Nie zastanawiałeś się, dlaczego nigdy nie zaprosiłam cię do swojego domu? Nawet wtedy, gdy zaprzyjaźniłeś się z Harrym?

- Nie musiałem się zastanawiać. - Wykrzywił szyderczo usta. - Nietrudno to odgadnąć. Kto by chciał przyjmować obdartego półkrwi Indianina? Stryj Diron wiedział, kto ufundował moje stypendium?

- Nie. Podarowałam pieniądze anonimowo. Chciałam, byś miał w życiu szansę, Gabrielu.

- Och, dostałem swoją szansę. - Ogarnął go taki gniew, że miał ochotę wybić pięścią szybę. - Wydawało mi się, że sam na nią zapracowałem. I jak ją wykorzystałem? Skończyło się kompromitacją, wygnaniem i upokorzeniem.

- Wykorzystałeś najlepiej, jak mogłeś. - Pani St Clair podniosła się z wysiłkiem. - Zrobiłeś wszystko, by powstrzymać maniaka, który przeprowadzał eksperymenty na umysłowo chorych. Poświęciłeś karierę i reputację, aby udowodnić, że żółta febrę roznoszą komary. Nawet gdybyś był moim wnukiem, nie mogłabym być z ciebie bardziej dumna - oświadczyła z mocą pani St Clair.

Złość Gabriela natychmiast wyparowała. Pomógł jej usiąść z powrotem w fotelu i klękawszy obok, złożył głowę na jej kolanach. Pogładziła go po włosach.

- Wie pani, że jestem oszustem, prawda?

- Mimo to kocham cię, Gabrielu. Dla samego ciebie, nie ze względu na pamięć po Czerwonym Orle. Bóg również cię kocha. Wyzaczył ci wspaniałe zadanie, czeka tylko, aż wpuścisz Go do serca.

Jak udało jej się dostrzec pustkę w jego duszy? Czuł się jak człowiek, którego zamknięto w ciemnym pokoju i który wzdraga się przed wyjściem na słońce, obawiając się oślepnąć. Stanęli mu przed oczami wszyscy ludzie, których skrzywdził w imię służby ojczyźnie: zabici mężczyźni, wykorzystane kobiety i zdradzeni przyjaciele. Czy naprawdę była dla niego nadzieja na odkupienie?

- Camilla wciąż mi to powtarza, ale jak dotąd nie dostrzegłem w swoim życiu większego sensu.

Starsza pani chwyciła go za ramię.

- Rozejrzyj się, a znajdziesz na to liczne dowody, ale do tego, by je zobaczyć potrzebny jest akt wiary.

- Wiary w co? - Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Jak wierzyć, skoro nawet ktoś taki jak ja może udawać bogobojnego chrześcijanina i uchodzi mu to płazem? Jak wierzyć, kiedy co dzień dobrzy ludzie są kupowani i sprzedawani jak bydło, katorżani albo nawet mordowani. Gdzie w tym wszystkim boska sprawiedliwość?

- Bóg jest cierpliwy, nieskory do gniewu. Na tym właśnie polega jego miłość do człowieka. Poświęcił swego syna, który oddał życie za nas, grzeszników.

- Jestem grzesznikiem, ale starałem się być odpowiedzialny za siebie i za swoje czyny.

Popatrzyła na niego z czułością.

- Pozwól, by twoim życiem pokierował Bóg. Dopiero wtedy odnajdziesz cel i osiągniesz spokój ducha.

Miałby wyrzec się niezależności? Zatracić dystans, który wypracował z takim mozołem? Gabriel przypomniał sobie zachód słońca, któremu się przyglądał, siedząc przez chatą stryja. Tak, właśnie teraz nadeszła właściwa pora, choć decyzja

dojrzewała w nim od jakiegoś czasu. Bóg pomalował i rozświetlił mu świat w najmniej spodziewanym momencie. Zesłał mu miłość i sprawił, że zapragnął wyjść ze skorupy.

- Dobrze, tak właśnie zrobię - powiedział z przekonaniem.

- Witaj, Milly.

Camilla, która siedziała przy łóżku, poderwała głowę znad książki i z okrzykiem radości przytuliła się do wychudzonej piersi Harry'ego. Kiedy zamknął wokół niej ramiona, rozplakała się ze wzruszenia.

- Jak mogłeś nas tak wystraszyć?

- Idę o zakład, że pani St Clair chciała wrzucić mnie do zatoki. - Uśmiechnął się słabo.

- Powiedziała tylko, że cię nie zna. Może dobrze ci się nie przyjrzała.

- Może. - Rozejrzał się z wyraźnym wysiłkiem. - Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę ten pokój. Jak się tu znalazłem? I co się stało z wartownikami, którzy nas pilnowali?

- Długo by opowiadać, a ty potrzebujesz jedzenia i snu. - Poglaskała go po policzku i podała mu wody. - Napij się. Dasz radę? - Uniosła odrobinę poduszkę.

- Dziękuję. - Przymknął z błogością powieki. - Wspaniale jest leżeć znowu w prawdziwym łóżku. Nawet nie wiesz, jak marzyłem o czystej pościeli.

- Portia podgrzała ci trochę rosółu. Pójdę do kuchni. Kiedy wróciła, miał zamknięte oczy i miarowy oddech. Sądziła, że śpi, ale raptem się odezwał.

- Cudownie pachniesz.

- Jesteś pewien, że to ja, a nie rosół?

- Czasem śni mi się zapach konwalii. Czując, że się rumieni, zaczęła go karmić. Harry szybko się zmęczył i odsunął łyżkę.

- Wiesz, wydawało mi się, że kiedy byliśmy w szpitalu, słyszałem... - Zwilżył spierzchnięte wargi. - Ten lekarz miał bardzo podobny głos do mojego przyjaciela.

- Nie wiem jak ci to powiedzieć, Harry, ale...

- Jak zwykle napytałeś sobie biedy, bracie, i teraz liczysz na to, że cię z tego wyciągnę.

Usłyszawszy głos Gabriela, Camilla odwróciła się gwałtownie w stronę drzwi. Wydawało jej się, że wypełnił sobą cały pokój.

- Tak, Harry, to ja. Co masz na swoją obronę?

- Witaj, stary druhu. Już myślałem, że majaczę. Jakim cudem znalazłeś się znowu w Mobile?

- To długa historia. - Gabriel podszedł do chorego i położył mu rękę na czole.

- Wieźli was na wyspę Ship w celu wymiany. Według mnie raczej nie dotarłbyś tam żywy. Camilla uratowała ci życie. - Zabrzmiało to odrobinę jak zarzut.

- A co twoim zdaniem miałam zrobić? - zjeżyła się i spojrzała z ukosa na Gabriela.

- Camilla od dawna jest moim aniołem stróżem. - Harry spojrzał na nią z uczuciem.

- Nie wątpię. Nie wiem tylko, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że naraziłeś ją na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Wolałbyś, żebym umarł?

- Dosyć tego! - Camilla poderwała się na nogi i odwróciwszy się do Gabriela, uniosła wojowniczo brodę. - Jeśli nie zamierzasz się na coś przydać, nic tu po tobie. Wracaj do swojej aktoreczki! I przestań wreszcie wtrącać się w moje sprawy. Mam już tego powyżej uszu!

- Delia wyjechała. Poza tym wcale nie twierdziłem, że nie pomogę.

- Świetnie, w takim razie wymyśl, co zrobić, żeby Harry wyszedł z tego z bezszwanku.

- Już ci mówiłem, że nic mu nie będzie. Nie jest ani ranny, ani poważnie chory, tylko niedożywiony. Za dwa, trzy dni dojdzie do siebie. Wymienią go za jakiegoś rebelianta i wróci do domu cały i zdrowy.

- Nie chcę, żeby trafił w ręce konfederatów.

Harry musiał chrząknąć, by zwrócić na siebie uwagę.

- Moglibyście przestać mówić o mnie, jakby mnie tu nie było? Nie jestem dzieckiem. Chyba mogę decydować o sobie?

Gabriel posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Nie jesteś w stanie podejmować decyzji. Dość już napytałeś biedy.

Camilla przyklęknęła przy posłaniu kuzyna.

- Jeśli cię wydamy, możesz nie dożyć do wymiany.

- Nie wiedzieli, że jestem chirurgiem. Myślę, że tym razem o mnie zadbają, zwłaszcza gdy zaproponuję, że w zamian za dobre traktowanie będę leczył ich ludzi.

Gabriel wykrzywił szyderczo wargi.

- Tylko tobie mogło przyjść do głowy coś takiego.

- To wspaniały pomysł. - Camilla podniosła wzrok na Gabriela. - Zbierałby dla nas informacje w szpitalu.

- Niczego ważnego się nie dowie - odrzekł lekceważąco Gabriel. - Poza tym skoro tak się troszczysz o jego bezpieczeństwo, powinno ci zależeć, by jak najszybciej opuścił terytorium wroga.

- Coś mi się zdaje, że jesteś zazdrosny - wtrącił Harry. Gabriel podszedł do drzwi.

- Rób, jak uważasz, Camillo. Do tej pory nigdy mnie nie słuchałaś, więc nie spodziewam się, że nagle zaczniesz mi zależeć na mojej opinii. - Z tymi słowami wymaszerował z pokoju.

Popatrzyła za nim, przygryzając wargę.

- Jest zły, bo mu się przeciwstawiam i nie słucham jego rozkazów - powiedziała.

Harry ucałował jej dłoń.

- Camilla, spójrz na mnie.

Ku swemu zdumieniu dostrzegła w jego oczach łzy.

- Przez te wszystkie lata myślałem o tobie dzień i noc. Wiedziałem, że jesteś bezpieczna ze swoją rodziną, i czasem tylko ta wiedza kazała mi maszerować dalej i utrzymywała mnie przy życiu. Śniły mi się twoje oczy, złote loki i twój śmiech. - Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów.

- Harry...

- Jeśli znalazłaś innego, zrozumiem. Właściwie byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy wyjechałem do Tennessee. - Nagle ścisnął ją mocno za rękę. - Proszę, niech to nie będzie Gabriel. Zbyt dobrze go znam. To Odszczepieniec, który nie wierzy w Boga ani w ludzi i nigdzie nie potrafi zagrześć miejsca.

- Nie oddałabym serca mężczyźnie, który nie uznaje boskich praw - odparła, z trudem powstrzymując łzy. - Zbyt długo się nie widzieliśmy. Zmieniłam się. Nie jestem dziewczynką sprzed lat. Daj mi trochę czasu, Harry. Bądź cierpliwy.

Rozdział osiemnasty

Jeszcze przed świtem Virgil Byrd przywiązał mulicę do krzewu gardenii.

- Nie ruszaj się stąd i ani mru-mru.

Pogroził jej palcem i ruszył w stronę kościoła. Starsza pani obiecała, że sprawi mu nowiuteńki stół, jeśli da jej znać, kiedy pan Jamie będzie gotów wypłynąć w morze tym czymś, co trzymano w kościele. On i Candy nareszcie będą mogli porządnie zjeść. Z początku pani St Clair chciała mu zapłacić, ale Virgil nie wziął pieniędzy. Na cóż mu pieniądze, skoro mógł dostać piękny mebel? Może powinien opowiedzieć o wszystkim panience? Tak bardzo lubi brata. Starsza pani nie kazała nic mówić, bo uważała, że panienka na pewno bardzo by się zmartwiła. A on za nic nie chciałby zmartwić swojej panienki.

Czasem trudno było zgadnąć co jest dobre, a co złe. Żałował, że nie potrafi czytać. Gdyby umiał, przeczytałby Pismo Święte i wiedziałby, jak postępować. Może zamiast stołu trzeba było poprosić o Biblię? Panienka na pewno zgodziłaby

się nauczyć go liter, to znaczy jeśli po tym wszystkim nie będzie na niego za bardzo zła.

Podkraść się do kościoła i podskoczył, żeby zajrzeć przez okno, ale był zbyt niski i niczego nie zobaczył. Położył się więc na ziemi i naciągnął na uszy czapkę. Starsza pani ostrzegła, że nie wolno mu zasnąć, bo coś się może stać.

Ci w środku kościoła zachowywali się tak cicho, że prawie przegapił najważniejsze. Całe szczęście, że usłyszał skrzypienie drzwi i się zbudził.

- Gdzie wóz?

- W drodze. O, już jest.

Virgil poderwał się na nogi i zobaczył w bladym świetle zaprzęg ciągnięty przez dwa konie. Po chwili pięciu ludzi zaczęło wynosić z kościoła jakiś obły przedmiot. Wychwyił wśród nich głos pana Jamesa. Wszystko wskazywało na to, że to on dowodzi.

- Laniere, siądź przy rufie i pilnuj steru. Jeśli się pognie trzeba będzie zaczynać od nowa.

Gdy wóz wraz z przywiązanim ładunkiem ruszył w drogę. Byrd wypęłzył z kryjówki i powłókł się za nim na piechotę. Na grzbiecie Candy byłoby szybciej, ale bestia na pewno zaraz zaczęłaby się wydzierać. Dostał od starszej pani nowe buty, więc na szczęście nie bolały go stopy i szedł znacznie zwawiej niż zwykle.

Kiedy mijali krzak gardenii, mulica jakimś cudem go wyczuła i zarżała tak głośno, że niechybnie obudziła całe Mobile. Zaprzęg zatrzymał się gwałtownie, a Virgil zastygł niczym słup soli.

- Co to było? - odezwał się woźnica.

- Chyba muł.

- Znajdźmy go i zastrzelmy.

- Chcecie postawić na nogi całe miasto? Dorwijcie go i zatkajcie mu mordę.

Byrd chwycił sznurek, którym przywiązał zwierzę, lecz nie zdołał wyplątać go spomiędzy gałęzi. Raptem czyjaś ręka chwyciła go od tyłu i uniosła w powietrze niczym zdechłego szczura.

- Co tu robisz, stary trutniu?

- Puszczaj! - Virgil zaczął wierzgać i wymachiwać rękami.

- Hej, Beaumont! - krzyknął ktoś z wozu. - To ten przygłupi gazeciarsz. Zostaw go, jest nieszkodliwy.

- Ucisz to bydlę! - rozkazał Jamie.

- Pewno jest głodna. Ma pan jakiś papier?

- Chambliss! Chodźże tu prędko z gazetą!

Po chwili obrażona Candy zajęła się przeżuwaniami dziennika. Pan Jamie nic nie mówił, ale Virgil wyczuwał, że jest wściekły.

- Daj mi ten sznurek - polecił.

- Ale bez sznurka mi ucieknie...

- Niech sobie ucieka! W nosie mam twoją mulicę! Dawaj sznurek, mówię!

Byrd posłuchał i ani się obejrzał, a już leżał związany na wozie obok ustrojstwa wywiezionego z kościoła.

- Dopilnujcie, żeby nikomu nie wygadał, co tu widział. - Jamie zajął miejsce obok woźnicy.

- Nic nie powiem, jakem...

- Milcz, bo nie ręczę za siebie!

Virgil natychmiast umilkł. Ujechali jeszcze kawałek, a gdy znaleźli się nad rzeką, zaprzęg się zatrzymał. Bez ceregieli zrzucili Virgila na ziemię. Poleżał jakiś czas bez ruchu, a potem podczołgał się bliżej brzegu. Ludzie Jamiego, zajęci wyładowywaniem bagażu, nie zwracali na niego uwagi. Wkrótce zataszczyli owo coś na pomost i spuścili do wody.

Jak oni chcą tym czymś popłynąć? - zastanawiał się skołowany Virgil. Toż to nie ma ani masztu, ani żagli, ani nawet pokładu, na którym można by stanąć. Jest okrągłe jak beczka.

- Ma pan świecę? - zapytał Diron Lanier, a Jamie Beaumont wymamrotał coś w odpowiedzi. - Dobrze. Kiedy zgaśnie, to będzie znak, że kończy wam się powietrze i że pora się wynurzyć. Jak najszybciej wypompujcie wodę ze zbiorników balastowych.

- Spokojna głowa, wypompujemy - zniecierpliwiał się Jamie. - Słyszałem to już ze sto razy.

- Wiem, ale nie możemy sobie pozwolić na błędy. Popłynąłbym zamiast pana, gdybym był nieco niższy.

- Ale nie jesteś, więc nie ma o czym mówić. Poradzę sobie.

- Sprawdził pan...

- Sprawdziłem wszystko. Musimy ruszać, nim zrobi się widno. Załoga, za mną! - Z tymi słowy Jamie otworzył coś, co wyglądało jak właz. Niebawem wszyscy z wyjątkiem Lanier'a zniknęli we wnętrzu. Potem Diron zamknął pokrywę i zdjął cumę. Maszyna wypłynęła szybko na szerokie wody. Jakby coś napędzało ją od środka. Virgil przyglądał się temu oniemiały. Zbaraniał, gdy na jego oczach to coś zanurzyło się całkowicie pod wodą.

Lanier wyjął z kieszeni zegarek i rozpoczął nerwową wędrówkę po pomoście. Byrdowi zaczęły dawać się we znaki odrętwiałe członki. Poczul, że dłużej nie wytrzyma.

- Może pan mnie rozwiązać?! - zawołał. - Obiecuję, że nikomu nic nie powiem!

Camilla poderwała się z pościeli i usiadła na łóżku. Znów śniła o ślubie. Jamie poprowadził ją do ołtarza, a kiedy znalazła się u boku Gabriela, ten ze śmiechem wymierzył rewolwer wprost w pierś jej brata.

Rozmasowała skronie i przyłożyła drżące dłonie do policzków. Chyba powoli odbiera jej rozum. Uznała, że skoro się obudziła, powinna sprawdzić, jak się ma rekonwalescent. Została w koszuli nocnej. Noc była wyjątkowo gorąca, a Harry z pewnością śpi, uznała.

Zeszła po schodach, rozmyślając o tym, jak wieczorem odwróciła głowę i nie pozwoliła, by kuzyn pocałował ją w policzek. Wiedziała, że będzie rozczarowany, ale po tym, jak Gabriel wyszedł rozniewany z pokoju, nie była w nastroju do okazywania czułości. Nie wiedziała go od tamtej pory, bo resztę wieczoru spędził w towarzystwie Schuylera.

Zwabiona blaskiem księżyca, postanowiła wyjść na werandę. Czuła się nieco dziwnie, mając świadomość, że Gabriel śpi pod tym samym dachem, co ona. Zresztą, może wcale go nie ma. Może chodzi po mieście i znów kogoś szpieguje. Właściwie to nawet nie musi w tym celu wychodzić. Ma wszystkich na miejscu. Wszystkich z wyjątkiem Jamiego. „Ojcze Niebieski, sprowadź mego brata do domu”.

Usiadła w fotelu babci i podkuliwszy kolana, zaczęła się modlić. Za braci, ojca i babkę. Za Harry'ego i Gabriela. Za mężczyzn, którzy ryzykowali lub oddawali życie w tej okropnej wojnie. Kilka minut później usłyszała na zewnątrz jakiś hałas. Tknęło ją złe przeczucie i wyszła przed dom. Na drodze stał zziębnięty i wyraźnie przerażony Virgil.

- Panienko! Panienko! Nieszczęście!

Podbiegła do starca i chwyciła go za chude ramiona.

- Co się stało?

- Pan Jamie! To coś go połknęło!

- Jakie coś? Mów składnie!

- No... ten blaszany rekin. Zatonął! Poszedł pod wodę i się nie wynurzył!

Camilla poczuła, że uginają się pod nią kolana.

- Gdzie to było?

- Nad rzeką przy Theater. Był z nimi Diron Lanier, ale mnie rozwiązał i kazał mi sprowadzić starszego pana Beaumonta.

Diron go związał, a potem wypuścił? Nie miała pojęcia, o czym Byrd mówi, ale wiedziała, że musi natychmiast coś zrobić.

- Virgil, pędź zbudzić Horace'a i Williego. Powiedz, że kazałam zaprząć wóz i zaprowadź ich do miejsca, gdzie zatonął Jamie. Dołączę do was, jak tylko się ubiorę!

Gdy sięgnęła do klamki, ktoś otworzył drzwi z drugiej strony. Nie zdążyła się zatrzymać i wylądowała z impetem na piersi Gabriela.

Gabriel widywał Camillę w spodniach, w sukni balowej i zwykłej codziennej sukience. We wszystkim wyglądała prześlicznie, ale gdy ujrzał ją w świetle księżycy odzianą w cienką bawełnianą koszulę nocną, z wrażenia zaparło mu dech w piersiach. Złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Usłyszałem krzyki. Co tu robisz?

- Zejdź mi z drogi.

- Dobrze, ale powiedz mi, co się dzieje. Gdzie jest Harry?

Szarpnęła się.

- O ile mi wiadomo, śpi.

Puścił Camillę i odgarnął jej włosy z twarzy. Były miękkie i gładkie niczym jedwab.

- Jesteś zdenerwowana. Co się stało?

- Niestety, Gabrielu - odparła ze łzami w oczach. - Musisz mi pomóc.

Byrd przyniósł straszną wiadomość: łódź Jamiego zatonęła!

- Jak to zatonęła? - Zajrzał jej w oczy. - To niemożliwe. Przecież...

- Virgil cię widział. Dwa dni temu wszedłeś do kościoła i... majstrowałeś przy łodzi! To ty ją uszkodziłeś! Zrobiłeś to, choć wiedziałeś, że będzie ją testował mój brat!

- Nie, Camillo, to nieprawda.

- Nienawidzę cię! - Odsunęła się gwałtownie i spojrzała na niego z odrazą. - Nie masz sumienia, a kłamstwo to dla ciebie chleb powszedni. Wykorzystałeś mnie i moją rodzinę. Nigdy więcej mnie nie proś, bym ci zaufała!

Pozwolił jej się ominąć i wejść do domu. Tkwił jeszcze jakiś czas w progu, wpatrując się we własne drżące dłonie, które dopuszczały się niegdyś nikczemnych czynów. Miała rację, wszedł wtedy do kościoła, aby uszkodzić jeden z zaworów przy zbiornikach balastowych na tyle, na ile było trzeba, by załoga nie zdołała wypompować z nich wody. Jednak kiedy przyszło co do czego, nie był w stanie tego zrobić. Nie potrafił narazić na szwank życia Jamiego Beaumonta. Coś innego stało się z tą przeklętą łodzią. Nie wykonał swojego zadania i choć zapewne zrobił to ktoś inny, na niego spadnie wina. Spojrzał w niebo i zacisnął dłonie w pięści.

- Boże, jesteś tam?!

W budynku paliły się świece, a wóz był już zaprzęgnięty i gotowy do drogi. Horace siedział na koźle, a Willie pomagał Portii wspiąć się na tył. Dobrze wiedzieć, że mogą liczyć na pomoc, pomyślał Gabriel. Wiedział jednak, że odpowiedzialność za misję ratunkową spoczywa wyłącznie na nim.

Portia zmierzyła go wrogim spojrzeniem.

- A pan niby dokąd się wybiera, panie kaznodziejo?

Zignorował ją i zajął miejsce obok Horace'a.

- W drogę - zarządził stanowczo. - Czy któreś z was trojga umie pływać? - zapytał, gdy zaprzęg wyjechał na drogę.

- Nie, sir - powiedział chłopak.

- Tak myślałem. Dokąd jedziemy?

- Na Theater - poinformowała opryskliwie Portia.

- Gdzie się podział stary?

- Virgil? - prychnęła pogardliwie. - Mało portek nie zgubił ze strachu. Uciekł, zakała.

Gdy znaleźli się na miejscu, zeskoczyli z wozu. Gabriel dostrzegł samotną postać. Rozpoznał stryja.

- To wszystko moja wina, Gabriel - powiedział żałośnie Diron. - Zbyt długą są pod wodą. Na pewno nie żyją.

Rozdział dziewiętnasty

Gabriel wskoczył do wody w miejscu, które wskazał mu stryj. Nie miał pojęcia, jak daleko odpłynęła łódź, nim załódze skończyło się powietrze. Mógł się jedynie modlić i liczyć na łut szczęścia. Wynurzał się co chwila, by zaczerpnąć tchu i sprawdzić swoje położenie względem brzegu. Boże, prowadź, błagał w duchu i płynął dalej.

Wkrótce zabrakło mu sił i ogarnęła go czarna rozpacz. Zamierzał się poddać i zrezygnować z dalszych poszukiwań, lecz coś kazało mu podjąć ostatnią desperacką próbę. Zanurzył się i pozostał pod powierzchnią dopóty, dopóki nie poczuł, że za moment rozsadzi mu płuca. W pewnej chwili zahaczył stopą o twardy, metalowy kształt.

Znalazłem ich! - pomyślał z ulgą i natychmiast się zasepił. Nawet jeśli jakimś cudem przeżyli, nie zdoła uratować wszystkich. Zabraknie mu czasu. Gdy otworzy wąż, do środka zacznie wlewać się woda. Musi skupić się na Jamiem Beaumencie. Spojrzał w stronę pomostu. Dwóch ludzi płynęło ku niemu niewielką łódką. W jednym z nich rozpoznał Dirona.

Zanurkował jeszcze raz. Pogratulował sobie, że zawczasu obejrzał dokładnie ten nieszczęsny wynalazek. Uchylił pokrywę i usłyszał przeraźliwy chlupot. Wpłynął do środka. Utorował sobie drogę wśród czerech unoszących się w kadłubie ciał. W końcu dotarł do koła sterowego i odnalazłszy kapitana, pociągnął jego bezwładne członki ku wyjściu. Odniosł wrażenie, że trwało to całą wieczność. Nagle

wydało mu się, że wszystko stracone i zginie razem z Jamesem. Resztkami woli zmusił się, by zapanować nad paniką.

Boże, zmiłuj się i pomóż mi wydostać brata Camilli, prosił w duchu. Zebrał siły i ledwie żywy przecisnął się przez właz, cały czas trzymając za kołnierz Jamiego. Gdy obydwaj znaleźli się na powierzchni, Gabriel zarzucił sobie na szyję jego ramię i popłynął ku brzegowi. Nareszcie miał czym odetchnąć.

- Stryju! - Przywołał łódkę i resztką sił wtaszczył na nią młodego Beaumonta. Ułożywszy go na plecach, zaczął niezwłocznie wtłaczać mu w płuca powietrze. Po upływie kilku minut odsunął się zrezygnowany i ujął go za nadgarstek, by sprawdzić puls. Nic. Żadnych oznak życia.

- Nie żyje, prawda? - Usłyszał za plecami.

Odwrócił się i spojrzał na wystraszoną Camille.

- Skąd się tutaj wzięłaś?

- Nieważne. Spróbuj jeszcze raz.

Zrobił, o co prosiła, choć wiedział, że to daremny trud. Jakież było jego zdziwienie, gdy Jamie raptem się zachłysnął i uniósł głowę, a potem wypłuł z siebie mnóstwo wody.

- Boże miłosierny - szepnął oszołomiony Gabriel i zerknął na Camille, która dopadła brata.

- Jamie, och, Jamie! - wołała, obcałowując go i ocierając zapłakane oczy.

- Stryju, zabierz nas na brzeg - oprzytomniał Gabriel. - Musimy go osuszyć i jak najszybciej położyć do łóżka.

Diron kiwnął głową i chwycił za wiosła.

- Dzielna dziewczyna. Jej czarni przyjaciele bali się wsiąść na łódkę, więc nalegała, że ze mną popłynie. Nie mogę się nadziwić, że udało ci się ich znaleźć. Myślałem, że wszyscy nie żyją...

- Jak mogłeś do tego dopuścić? - naskoczył na niego bratanek. - I dlaczego jej na to pozwoliłeś?

- Nie zmuszałem tych chłopców do testowania maszyny. Sowiecie ich opłacono. Poza tym ostrzegałem, żeby nie odpływali tak daleko.

- To twoja wina! - zawołała Camilla, spoglądając wściekle na Gabriela. - Zginęło przez ciebie czterech ludzi i omal nie straciliśmy Jamiego!

Cóż miał jej powiedzieć?

Żadne słowa nie przywrócą tych mężczyzn do życia. Dobrze, że udało mu się uratować jej brata, choć i tak zapewne znienawidziła go do końca życia. Dopadły go żal i zgryzota tak dojmujące, że miał ochotę krzyknąć.

Dopłynęli do pomostu i zacumowali łódkę. Niebawem Horace i Willie ułożyli Jamesa na wozie. Camilla padła w objęcia Portii, a potem usiadła obok brata i wbiła wzrok w jego pobladłą twarz. Na Gabriela nawet nie spojrzała.

- Stryju, zbierz wszystkich, którzy brali udział w eksperymencie, i jeszcze przed świtem wyciągnijcie na powierzchnię ciała pozostałych członków załogi. Powiedźcie ich rodzinom, że mieli wypadek przy poławianiu.

Diron pożegnał się i ruszył do miasta na piechotę.

- Willie, weź konia panienci Camilli. Spotkamy się w domu.

Chłopak wkrótce odjechał, a Gabriel usiadł na koźle obok jego ojca.

Podróż upłynęła w ponurym milczeniu. Kiedy dotarli na miejsce, nad drzewami pojawiły się pierwsze promienie słońca.

Gabriel miał nadzieję, że Camilla się do niego odezwie i odpuści mu winy, choć przecież tym razem nie był niczemu winien. Pozwoliła mu się zsadzić z wozu. Jej oczy nadal były zaszklone, ale suche.

- Camillo...

- Muszę rozmówić się z ojcem i zapewnić Jamiemu właściwą opiekę. Puść mnie.

- James wiedział, na jakie ryzyko się naraża - rzekł, przytrzymując ją za ramiona.

- Powinna była go powstrzymać.

- Jak?

- Nie wiem - odparła, nadal ogromnie przejęta i zdenerwowana.

Gabriel zapragnął ją przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Chętnie wzięłyby wszystkie jej troski na siebie.

- Mogłeś go powstrzymać.

- Posłuchaj, Camillo. Trwa wojna. Oboje zostaliśmy w nią wciągnięci i nikt nas nie pytał, czy nam się to podoba, czy nie. Nie uda mi się powstrzymać tej maszyny w jeden dzień. Jedyne, co mogę zrobić, to wykonywać swoją misję najlepiej, jak potrafię. Zaczynam wierzyć... - Chciał jej wyjawic, że odnalazł wiarę, ale uznał, że nie jest to odpowiedni moment. Nie bardzo wiedział, jak jej wytłumaczyć, skąd wzięła się ta nagła odmiana. - Muszę wierzyć, że jest jakaś nadzieja, że wyjdziemy z tego koszmaru cało, że przetrzymamy go razem. Przysięgam ci: nie uszkodziłem łodzi.

Zadrżały jej wargi, a w oczach znów pojawiły się łzy.

- Oczywiście, cóż innego miałbyś mi teraz powiedzieć? - Wyrwała mu się i wbiegła do domu.

Popatrzył na drzwi, które za sobą zamknęła. Gdzie jesteś, Boże, kiedy Cię potrzebuję?!

Dwa dni później Camilla stała wraz z rodziną na przykościelnym cmentarzu. Odprawivszy nabożeństwo żałobne, pastor Lewis posypał każdy z czterech grobów garścią ziemi.

Jamie leżał w domu. Osłabiony żółtą febrą organizm wciąż walczył, by zregenerować uszkodzone płuca. Trawiła go gorączka i majaki. Camilla czuwała przy nim na zmianę z Portią i babką. Pielęgnowały go najlepiej, jak umiały, lecz jego stan się nie poprawiał.

Camilla nie mogła spać po nocach. Gdy zamykała oczy, powracał obraz Gabriela wyciągającego bezwładne ciało jej brata na powierzchnię. Gdyby James spędził pod wodą choćby minutę dłużej, chowałiby dziś także i jego. Odeszła od po-

zostałych i oparła się o rozłożysty dąb. Poczwała, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

- Jeśli chcesz, odprowadzę cię do domu.

Podniosła głowę i spojrzała w posępne oblicze Gabriela. Po tej okropnej nocy, podczas której zdarzył się wypadek, zostawił ją w spokoju. Nie narzucał jej swojego towarzystwa, ale często czuła na sobie jego zatroskany wzrok.

- Dużo myślałam o tamtym dniu - zaczęła oskarżycielskim tonem. - Nie mogę pojąć, co Virgil robił wtedy nad rzeką. Ty go tam posłałeś na przeszpiegi?

- Sądzisz, że gdybym potrzebował szpiega, wybrałbym starca z umysłem pięciolatka? Mówiłem ci już, że nie miałem z tą tragedią nic wspólnego.

- Byrd widział cię wcześniej w kościele - wytknęła mu, podnosząc głos, mimo że obiecywała sobie zachować spokój. - Sam mi mówiłeś, że zamierzasz zniszczyć łódź.

- Owszem, ale ostatecznie uznałem, że lepiej będzie ją wykraść.

- Nie wierzę ci. Okłamujesz mnie od samego początku. Harry powiedział mi wczoraj, że to on wyciągał cię w szkole z kłopotów, nie na odwrót, i że to jego badania ukradł doktor Kinch.

- A ty oczywiście mu uwierzyłaś?

- Nie chciałam o tym mówić, ale go zmusiłam. Wyczułam, że coś mu leży na sercu. Poza tym martwi się, że skłonisz mnie do nierozsądnego postępowania.

- Oczywiście. Czy w innym przypadku panna Beaumont zrobiłaby coś nieroztropnego? - Gabriel zbliżył się o krok i spojrzał z góry na Camillę. Nie zdążył jednak niczego więcej powiedzieć.

Usłyszeli czyjeś kroki i oboje się odwrócili.

- Tu jesteś, Camillo! - Fanny Chambliss wyłoniła się zza drzewa i stanęła przed nimi, dysząc jakby nie mogła złapać tchu. - Mama mnie po ciebie przysłała.

Camilla zerknęła na Gabriela.

- O co chodzi?

- Uradziłyśmy, że trzeba wystawić przedstawienie upamiętniające poległych na łodzi.

- Wystawiajcie sobie, jeśli chcecie...

- Mama i ja sądzymy, że powinnaś wziąć w nim udział. Nie jesteś chyba aż tak zajęta...

- Fanny, doprawdy nie wydaje mi się...

- Wielebny Lelandzie, niech pan ją przekona, że to dobry pomysł. Wielu ludzi współczuje Milli i jej rodzinie. Zbierzemy mnóstwo pieniędzy dla armii.

Gabriel przyjrzał jej się spod zmarszczonych brwi.

- Poza tym - dorzuciła pośpiesznie panna Chambliss, zwracając się do Camilli - jeśli ty się w to zaangażujesz, generał Forney z pewnością nie odmówi nam wsparcia. Tylko pomyśl, czy nie wspaniale by było, gdyby w niektórych scenach wzięli udział żołnierze?

Camilla zamknęła oczy. Była wyczerpana i miała wszystkiego dość. Marzyła jedynie o tym, by Fanny zostawiła ją w spokoju.

- Skoro nalegasz...

Fanny złapała ją za ramię.

- Dobrze, że się zgodziłaś, ale wiesz, chyba powinnaś natrzeć sobie buzię wodą różaną. Jesteś przeraźliwie blada.

Camilla stała przed lustrem w holu, energicznie pocierając policzki. Żałowała, że nie ma różu. Miała na sobie ulubioną zieloną sukienkę, ale i tak wydawała się sobie przygasła i mało powabna. Usłyszała za plecami kroki i pogwizdywanie podobne do tego, którym zazwyczaj bawił rodzinę Jamie. Odwróciła się ze ściśniętym sercem.

- Witaj, siostrzyczko - odezwał się Schuyler, poprawiając fular. - Zrób mi trochę miejsca, muszę się przejrzeć. - Stanąwszy obok niej, wyciągnął szyję i przyjrzał się uważnie własnemu odbiciu.

- Wyglądasz bardzo dystyngowanie - pochwaliła z uśmiechem Camilla.

Niedawno skończył piętnaście lat, ale przez ostatni tydzień znacznie zmężniał i wydoroślał.

- Dziękuję - odparł wyraźnie zadowolony. - Ty też prezentujesz się nie najgorzej. Pewnie chciałabyś, żeby Harry towarzyszył ci podczas przyjęcia?

- Harry nie może się pokazywać poza domem. Lepiej nie mów nikomu, że tu jest.

- Przecież wszyscy wiedzą, że przygarnęliśmy zbłąkanego rekonwalescenta - za przyzwoleniem generała ma się rozumieć.

- Co takiego?!

- Och, nie martw się. Już babka postarała się o to, by nikt się nie dowiedział, że to nasz krewny. - Schuyler wykrzywił się do lustra.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Chodź tu. - Odwróciła go w swoją stronę i poprawiła mu fular. - Sprawdzisz, czy powóz gotowy?

- Dobrze, już idę. Oby Chamblissowie mieli ostrygi.

Zniknął za drzwiami, a Camilla udała się do pokoju Harry'ego. Obiecała mu, że wstąpi do niego przed wyjściem. Przyjęcie wydawało jej się niedorzecznym pomysłem. Nie miała najmniejszej ochoty niczego świętować, kiedy jej starszy brat walczył o życie. Uległa jednak namowom babki, która obiecała osobiście doglądać Jamiego podczas jej nieobecności.

Gabriel dotrzymał Harry'emu towarzystwa przy kolacji, przygrywając na organkach. Przerwał na chwilę i odwrócił głowę, by sprawdzić, co sprawiło, że twarz przyjaciela nagle się rozpromieniła. Przymknął powieki i prześlizgnął się wzrokiem po szykownie ufryzowanych włosach, głębokim dekolcie i szerokiej spódnicy Camilli.

- A niech mnie - wycedził - jej wysokość księżniczka Camilla przyszła bratać się z plebsem.

Camilla zignorowała go i uśmiechnęła się do kuzyna.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj Portię. Jak się czujesz?

- Dużo lepiej, skarbie. Wreszcie wrócił mi apetyt.

Gabriel poderwał się na nogi, wywracając z hukiem krzesło.

- Ani się obejrzymy, jak go tu nie będzie. Do zobaczenia, stary druhu. Muszę iść zabawić tańcem córy konfederatów.

Szturchnął Harry'ego w bok i ruszył w stronę Camilli, która wciąż stała w progu.

Wyglądał jak zwykle niedbale, a zarazem onieśmielająco. Usunęła się, ale zamiast ją ominąć, zatrzymał się na wprost i zablokował sobą wejście. Wychyliła się i spojrzała ponad jego ramieniem na kuzyna.

- Zajrzę do ciebie po powrocie.

- Dobrze. Już nie mogę się doczekać.

Gabriel raptownie obrócił Camillę i wypchnął na korytarz, po czym pociągnął za sobą na werandę. Przyparłszy ją do ściany, przysunął się na tyle, na ile pozwalała jej obszerna spódnica i ujął jej twarz w dłonie.

- Nie mogę znieść, że tak się narażasz - powiedział, wpatrując się w nią z zapamiętaniem. - Jego pobyt tutaj z każdym dniem stawia waszą rodzinę w coraz niebezpieczniejszym położeniu.

- Obecność Harry'ego z pewnością nie jest bardziej niebezpieczna niż mieszkanie pod jednym dachem ze szpiegiem. On przynajmniej wszedł do tego domu w mundurze. - Chwyliła go za rękę, by spróbować się od nich uwolnić. - A ty jesteś zwyczajnie zazdrosny. Nie chcesz, by ktoś wkroczył na twoje terytorium.

- Może i tak. - Zbliżył twarz do jej twarzy. - Mówiłaś, że za mnie wyjdiesz, Camillo.

- Przecież wiesz, że to była tylko.

Uciszył ją, zamykając jej usta namiętym pocałunkiem. Opierała się zaledwie ułamek sekundy, a potem przylgnęła do Gabriela i z pasją oddawała pieszczoty.

Gdy się od siebie oderwali, oboje z trudem łapali oddech.

- Widzisz? - powiedział z czołem przyciśniętym do jej czoła.

Camilla wciąż czuła w całym ciele rozrzewniającą słodycz.

- Niczego nie widzę. Jedno jest pewne. Mamy obowiązki, które nie przewidują... tego, do czego przed chwilą doszło.

- A co w tym złego? Nie możemy pozwolić sobie na przyjemności mimo koszmaru, który nas otacza?

- Jeśli szukasz ulotnych przyjemności, idź do Delii Matthews.

- Nie chcę Delii.

- Czemu nie? Dlaczego wolisz mnie? Czasem wydaje mi się, że nawet mnie nie lubisz, a już na pewno nie lubisz mojej rodziny ani tego, co sobą reprezentujemy. Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego właśnie mnie sobie upodobałeś?

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Jesteś ostatnią osobą, którą... - Zadrżał mu głos. - Masz w sobie coś takiego... Nie umiem tego nazwać, jakiś blask, który mnie do ciebie przyciąga i... Wiem tylko, że cię kocham i pragnę tylko ciebie.

Wyraz jego oczu i autentyczne uczucie, z którym wypowiedział te słowa, niemal zupełnie ją rozbroiły.

- Powiem ci, czego ja pragnę, choć nie jestem przekonana, czy to cię w ogóle obchodzi. Otóż chcę mieć bogobojnego męża, który będzie mnie kochał, da mi dzieci i zostanie ze mną do końca naszych dni.

- Jest wojna. Wiesz, że nie mogę niczego ci zagwarantować.

- Niepotrzebne mi gwarancje. Chcę szczerą obietnicę, poważnych zamiarów...

- Sądzisz, że Harry ci je da?

- Już to zrobił. Jesteśmy po słowie od dziecka.

- Nie wierzę, że jesteś na tyle głupia, by za niego wyjść, mimo że kochasz innego.

- Och, ty! Zadufany w sobie, Pyszałkowaty...

- Masz rację. Nie zabrzmiało to dobrze - przyznał Gabriel. - Wyznałem ci miłość, Camillo, bo tak właśnie czuję. Mówiłem prosto z serca i zrobiłem to, o co prosiłaś. Powierzyłem swoje życie Bogu.

- Mówisz tak, aby mnie przekonać, że się zmieniłeś.
- Wiesz, że tak nie jest. Nigdy bym cię nie okłamał. Przeraziła się, bo zrozumiała, że powiedział prawdę, w którą bała się uwierzyć.

- Puść mnie.

Gabriel odsunął się na bok.

- Jak mam ci to udowodnić?

- Nie mogę... To dla mnie zbyt wiele... - Miała mętlik w głowie. Zamrugła powiekami, by odpędzić łzy, i wbiegła do domu. - Schuyler! Co z tym powozem?

Gdy wyjrzała na werandę, Gabriela już nie było.

Rozdział dwudziesty

- Proszę! - zawołała Delythia St Clair, gdy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. - Dzieci wyprawione do Chamblissów? - zapytała, gdy do pokoju weszła Portia.

Spojrzały na siebie z sympatią i wzajemnym szacunkiem.

- Tak. Słyszałam z werandy jakieś okropne zamieszanie, zanim pojechali.

- Doprawdy? Ciekawe...

Gospodyni uśmiechnęła się półgębkiem.

- Zdaje się, że ktoś nieźle natarł uszu wielbnemu Lelandowi.

- Pilnuj ich, Portio. Nie chciałabym, żeby sprawy wymknęły się spod kontroli.

- Może pani na mnie liczyć, ale przyszłam z czym innym. Willie śledził pana Zeka, tak jak mu kazałyśmy. Widział, jak razem z Beckhamem Chamblissem i tym nieudacznikiem Dironem Lanierem wyciągnęli łódź spod wody, osuszyli ją i zaczęli przy niej od nowa majstrować. Ponoć chcą ją wywieźć z Mobile.

Pani St Clair zamknęła na moment oczy.

- To przekłete pudło uśmierciło już czterech ludzi i niemal zabiło mi wnuka. Nie mogę pojąć motywów Ezekiela. - Westchnęła ciężko. - Generał wie?

- Według mnie, udaje, że nie wie. Wydaje się, że ta maszyna jest dla niego bardzo ważna. W każdym razie zaprzęta go nie mniej niż schwytywanie szpiega. - Portia przechyliła z namysłem głowę. - Jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju. Konfederaci najwyraźniej nie mają nic przeciwko temu, że gościmy pana Harry'ego. Nie wydaje się to pani podejrzanym?

Pani St Clair zmarszczyła brwi.

- Generał to zacny człowiek. Pochwała lojalność wobec członków rodziny.

- Może, ale przede wszystkim nie jest głupi. Odwiedził pana Martina co najmniej dwa razy późnym wieczorem.

- Sądziś, że chce go przeciągnąć na naszą stronę?

- Kto wie, może nawet nie będzie musiał specjalnie się wysilać, żeby go przekonać.

Pani St Clair zerknęła na oddaną przyjaciółkę i powiernicę. Nie przyszło jej do głowy, by podejrzewać Harry'ego, choć doskonale wiedziała, że pozory mylą.

- Muszę się z nim rozmówić.

- Tak myślałam.

- Miej na niego oko, Portio. Odwiedzę go później.

Gabriel wypuścił z ust chmurę dymu. Stał na zaciemnionym tarasie domu Chamblissów, paląc cygaro i przyglądając się rozweselonemu towarzystwu, które oddawało się grzecznościowym pogawędkom oraz dogadzaniu sobie wykwintnymi przekąskami. Wcześniej oklaskiwał wraz z innymi ogłupiająco nudne i bezbarwne przedstawienie, wychwalające urodę oraz patriotyzm młodych panien z Południa. Oddalił się natychmiast po zakończeniu występów.

Musiał za wszelką cenę odkryć przyczynę zatonięcia łodzi i dowiedzieć się, gdzie się znajduje. Nie tylko ze względu na Camillę. Także po to, by zakończyć misję i złożyć meldunek admirałowi Farragutowi.

Najlepszym źródłem informacji byłby w tej chwili Beaumont senior. Stryj Diron przepadł jak kamień w wodę. Nie dawał znaku życia od dwóch tygodni, które

upłynęły od feralnej nocy. Jego chata zionęła pustkami. Gabriel zastał w niej jedynie Ajaksa, który powitał go z uwielbieniem i odtąd nie odstępował na krok. Musiał wsadzić go na konia i zabrać do domu.

Chyba nie powinien nazywać posiadłości Beaumontów domem. Może i nie powinien, ale prawdę mówiąc, polubił słowne utarczki z panią St Clair, wieczorne pogawędki przy cygarze z Ezekielem i partyjki bilardu z Schuylerem. Czasem udawało mu się nawet skłonić do uśmiechu niechętną mu zazwyczaj Portię, kiedy zakradał się do kuchni, żeby po kryjomu zjeść jedno z przepysznych ciasteczek.

Spojrzał na Camillę. Uśmiechała się do młodego porucznika, który ostatnio kręcił się koło niej. Jedno niewątpliwie przychodziło mu z trudem. Bolało, gdy co dzień słuchał jej głosu i patrzył, jak czule i z pełnym oddaniem opiekuje się Harrym i Jamesem. Cierpiał, bo zdawał sobie sprawę, że spogląda na niego niechętnym okiem.

Stracił nad sobą panowanie, gdy Harry nazwał ją dziś „skarbem”. Nie był w stanie pozostać dłużej bezstronny i obojętny. Zresztą, pewnie zatracił tę zdolność już dawno. Postąpił głupio i nierozważnie, wyznając miłość w tak nagły i niezręczny sposób. Niepotrzebnie wspomniał o tym, że odnalazł wiarę. Teraz mógł jedynie marzyć, że wróci tu kiedyś po wojnie, by sprawdzić, czy jeszcze ma u Camilli szansę.

Uśmiechnął się, wpatrując się w rozżarzony koniuszek cygara. Gabriel Lanier rozważa ożenek. Kto by pomyślał? Nie przypuszczał, że życie nauczy go pokory. A jednak właśnie tak się stało.

Zajrzał do środka. Camilla przekomarzała się z Duvallem, wpatrując się w niego z ożywieniem. Zabawne, że kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, wcale nie wydawała mu się piękna. Teraz wystarczyło, że zwróciła ku niemu twarz, a zapierało mu dech w piersiach. Choć się uśmiechała, dostrzegał w jej oczach niepokój. Przypomniał sobie dzień pogrzebu i zapragnął wziąć na siebie wszystkie jej zmartwienia.

Kiedy wszedł na salę, zauważył, że nagle wyprostowała plecy, a na jej policzkach pojawiły się wypieki. Duvall wyglądał na szczerze ubawionego.

- To niemożliwe - powiedziała podenerwowana. - Chyba tego nie zrobiliście?

- Nie mieliśmy innego wyjścia. - Uśmiechnął się drwiąco porucznik. - Nie mogliśmy pozwolić, by ten stary rozpijał nam samogonem żołnierzy. Musimy dbać o morale.

Gabriel stanął za plecami Camilli.

- O kim mowa?

Duvall rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie.

- O Virgilu Byrdzie. Wielebny z pewnością pochwali naszą interwencję.

Zlikwidowaliśmy źródło nielegalnej whisky.

Camilla splotła niespokojnie palce.

- Wystarczyło zniszczyć jego destylator. Nie musieliście go aresztować.

Duvall wzruszył ramionami.

- Ostatnio widywano go po nocy w wyjątkowo osobliwych miejscach.

Podejrzewamy, że jest zamieszany w coś znacznie poważniejszego niż pędzenie bimbru.

Gabriel przyjrzał się uważnie młodemu porucznikowi. Jeśli konfederaci obserwują od jakiegoś czasu Virgila, to Camilla i on również znaleźli się w poważnych tarapatach.

- Panno Beaumont - odezwał się pokrzepiającym tonem - jako duchowny mam obowiązek i przywilej odwiedzać chorych i potrzebujących w więzieniu. Obiecuję, że przy najbliższej okazji upewnię się, że Byrdowi niczego nie brakuje.

- Dziękuję za słowa otuchy, ale... Virgil będzie przerażony! - Odwróciła się i pobiegła do drzwi.

Gabriel ruszył za Camillą, przeciskając się przez tłum. Gdy dotarł do wyjścia, zastąpiła mu drogę Fanny Chambliss.

- Wielebny Lelandzie, a dokąd to panu tak się spieszy? Musi pan koniecznie poznać mojego papę.

Spojrzał za znikającą w mroku sylwetką Camilli.

- Przepraszam, ale muszę...

Fanny wydeła usta.

- Sam mnie pan prosił o spotkanie z ojcem. Ponoć chciał pan porozmawiać z nim o datkach dla biednych.

Zawahał się. Camilli nie uda się przecież wpaść w kłopoty w ciągu dziesięciu minut? Mniej więcej tyle mu zajmie uwolnienie się od towarzystwa Fanny.

- Panno Chambliss - skłonił się z galanterią - jestem do pani dyspozycji.

- Spójrz, Willie, on chyba śpi.

Camilla spojrzała przez otwór w dachu wprost na Virgila, który chrapał w najlepsze na podłodze celi. Nie pojmowała, jak mógł się nie obudzić, kiedy demontowali dachówki. Prześlizgnęła się przez dziurę i zeskoczyła na ziemię.

Byrd poderwał się i przetarł oczy.

- Panienska?!

- Cicho, bo ściągniesz nam na głowę wartownika.

- Wiedziałem, że panienska po mnie przyjdzie - rozczulił się stary.

- Dlaczego nie zostałeś w Caswell Springs, jak ci kazałam?

- Pomyślałem, że będę paniencie potrzebny. Wszystko będzie dobrze. Pan Bóg nas wyratuje. Wiem to na pewno.

- To nie takie proste. - Pomyślała, że powinna brać przykład z jego niezłomnej wiary.

- Panno Millu! - zawołał z góry służący - Wszystko w porządku?

- Tak, Willie, rzuć nam linę. - Położyła Virgilowi rękę na ramieniu. - Ty pierwszy. Kiedy wyjdiesz, idź po Candy. Wałęsała się w pobliżu aresztu. Znalazłam ją i przywiązałam do drzewa. Potem jedź prosto do Caswell Springs i zostań tam, dopóki do ciebie nie przyjadę. Rozumiesz?

- Tak, panienko. - Chwycił sznur i po chwili zniknął na dachu.

Pozostawiona samej sobie Camilla zaczęła się modlić.

Delythia St Clair zatrzymała się przed gabinetem Ezekeiela. Czasem trudno im było się porozumieć, ale w czasach wojny nie chciała przysparzać mu dodatkowych zmartwień. Zebrała się w sobie i zastukała laską w drzwi.

W odpowiedzi usłyszała niezrozumiały pomruk.

- Zeke! Muszę się z tobą rozmówić!

- Przykro mi, ale wybrałaś nie najlepszą porę.

- Też mi wymówka! - Sięgnęła do klamki i wmaszerowała do środka bez zaproszenia.

Generał Forney poderwał się zza biurka, a zięć zerknął na nią spod kominka, przy którym palił cygaro. Sama chętnie by zapaliła.

- Panowie wybaczą to najście - powiedziała bez cienia skruchy pani St Clair.

- Nie jesteś na balu u Chamblissów? - zdziwił się Ezekeel

- Jak widać nie - odparła z przekąsem. - Trochę niedomagalam. Kiedy poczułam się lepiej, złożyłam wizytę naszemu... gościowi.

- Jak on się czuje? - Beaumont zerknął niespokojnie na Forneya.

- Na tyle dobrze, że zjadł obfitą kolację i zaczął robić cielece oczy do twojej córki. Myślę, że nadeszła pora, by oddać go w ręce odpowiednich władz, które eskortują go na wyspę Ship. Chyba pan się ze mną zgodzi, generale?

- Owszem - odparł, pocierając wąsy. - Poczynimy odpowiednie przygotowania przy najbliższej sposobności.

- Doprawdy, ta interwencja jest zupełnie niepotrzebna - zaproponował Ezekeel. - Wiem, że Harry nie jest twoim krewnym, ale okaż odrobinę współczucia...

- Możesz być spokojny, Beaumont - odezwał się Forney. - Chłopak będzie traktowany bez zarzutu.

- Jak sądzę, jesteś usatysfakcjonowana. Omawiamy z generałem pewne ważne kwestie, więc jeśli to już wszystko, nie będziemy cię dłużej zatrzymywać.

Delythia miała szczerą ochotę szturchnąć zięcia laską w zaokrąglony brzuch, ale się powstrzymała i posłała uśmiech Forneyowi.

- Dziękuję, generale. Wiem, że mogę polegać na pańskim poczuciu obowiązku. - Z tymi słowy wyszła na korytarz, a potem niezwłocznie udała się na piętro do sypialni wnuczki.

Gabriel wspiął się po krzaku glicynii na parapet i otworzył ostrożnie okno. Camilla wyszła od Chamblissów ponad pół godziny przed nim, a musiał koniecznie złapać ją w domu, nim pogna w sukurs Byrdowi, choć znając ją, należało zakładać, że od razu pobiegła do aresztu.

Nasłuchiwał chwilę z rękoma wspartymi o framugę. Jego wzrok powędrował bezwiednie do łóżka. Wyobraźnia natychmiast podsunęła mu obraz Camilli w koszuli nocnej z rozpuszczonymi włosami, spływającymi jej na ramiona. Pomyślał, że powinien narobić trochę hałasu, żeby ją ostrzec. Może lepiej zejść tak samo, jak wszedł...

- Trzeba przyznać, Gabrielu, że masz spektakularne wejścia.

Dopiero teraz zauważył w kącie świecę i rozpartą w fotelu panią St Clair. Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Chyba wypada mi zapytać, jak to się stało, że jesteś tak dobrze zaznajomiony z sypialnią mojej wnuczki.

Otworzył usta ale nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Nieważne. - Machnęła władczo ręką. - Co tu robisz?

Gabriel zerknął na okno, jakby rozważał, czy nie wyskoczyć.

- Gdzie Camilla? - odpowiedział pytaniem.

- Jak to gdzie? Nie ma jej na balu?

- Wyszła pół godziny temu. Nie widziała jej pani?

- Nie. Sama dopiero co tu przyszłam. - Sięgnęła po laskę i wstała. - Co tam się wydarzyło?

- Długo by opowiadać. - Odwrócił się i wystawił nogę na zewnątrz. - Muszę ją znaleźć.

Nim pojął, co się święci, leżał jak długi na podłodze. Delythia stała na nim, przykładając mu do skroni nóż, który wystawał z końca laski.

- Nie tak prędko, młody człowieku. Najpierw opowiesz mi wszystko jak na spowiedzi. Jeśli laska.

Leżał bez ruchu, rozważając możliwości ucieczki.

Pani St Clair westchnęła niecierpliwie i spojrzała na niego z góry.

- Widzę, że jeszcze się nie domyśliłeś. To ja jestem Camillą. Ode mnie wychodzą wszystkie twoje rozkazy. Nie pomogę ci, jeśli mi nie powiesz, co się stało.

Zakręciło mu się w głowie. Ganiał po całym kraju i narażał się na niebezpieczeństwa za sprawą drobnej starszej pani, która niegdyś kochała się w jego dziadku.

- Proszę to zabrać - powiedział, zezując na sztylet. Zachichotała i odsunęła laskę.

- Czy Camilla wie, kim pani jest? - zapytał, podniósłszy się na nogi.

- Nie, nie wspomniałam jej o tym ze względów bezpieczeństwa. Nie chciałam jej niepotrzebnie narażać. Wie tylko służba. - Wzruszyła ramionami. - Od początku sympatyzowałam z unią. Moi rodzice byli żarliwymi abolicjonistami i wpoili mi swoje przekonania. Choć niechęć do niewolnictwa wyssałam z mlekiem matki, nie udało mi się przekonać męża do swoich racji. Dopiero po jego śmierci uwolniłam robotników, którzy pracowali na naszej plantacji. Potem przyjechałam tutaj pomóc Zekowi zająć się dziećmi. Portia, jej mąż i syn pozostali przy mnie z własnej woli.

- Więc to pani uczyniła z Camilli abolicjonistkę.

- Nie musiałam. Życie ją tego nauczyło.

- Jak to? - zdziwił się.

- Pewnego dnia - miała wtedy jakieś czternaście lat - zamiast do szkoły poszła na ryby. Natknęła się na zbiegłą niewolnicę, która uciekła z dzieckiem w beczce. Kobieta zmarła, ale Portia i Camilla zdołały uratować niemowlę.

- O mój Boże.

- Bóg nad nami czuwał. Portia przyszła do mnie i opowiedziała mi, co się wydarzyło. Oczywiście zmyłam jej głowę za to, że wplątała w taką sprawę moją wnuczkę, ale stało się. Nie można było odwrócić biegu wydarzeń. Wiedziałam, że muszę pomóc Camilli, by ustrzec ją przed katastrofą. Przez kilka następnych lat udało nam się zorganizować całkiem sprawnie działający punkt przerzutowy. Camilla jest bardzo dobra w tym, co robi.

- Jak pani mogła jej na to pozwolić? Aż wierzyć się nie chce.

- Żartujesz sobie? Próbowaleś kiedyś wybić coś z głowy mojej wnuczce? Gdy raz uzna coś za słuszne, nie ma na nią sposobu.

- Racja - przyznał z westchnieniem Gabriel. - Szkoda, że nie powiedziała mi pani wcześniej o swojej roli w spisku.

- Spotkałam Farraguta wiele lat temu. Jeszcze zanim rozpoczął się konflikt pomiędzy Północą a Południem. Potem zorientowałam się, że moja sytuacja sprzyja zdobywaniu cennych informacji. Skontaktowałam się z Farragutem, a on uznał, że istotnie mogę być pomocna, i tak to się zaczęło. Stopniowo brałam na siebie coraz więcej obowiązków. Ale - jak sam dobrze wiesz - na zaufanie trzeba sobie zapracować.

- Lubię wiedzieć, kto mną dowodzi. Muszę iść. Zmarnowałam już dość czasu.

- Gabriel podszedł do okna, trzymając się jak najdalej od śmiercionośnej laski. - Konfederaci przyłapali Byrda na sprzedawaniu żołnierzom samogonu i wsadzili go do aresztu. Zdaje się, że Camilla pobiegła go ratować.

Delythia oparła się ciężko o parapet.

- Właśnie podsłuchałam rozmowę zięcia z Forneyem. Srebro, które przyjechało w tym tygodniu do Mobile, to nie należność za bawełnę, lecz za łódź torpedową. Generał zamierza przetransportować ją do Charleston.

- Kiedy?

- Jeszcze dziś. Wojsko unii wkroczyło do Missisipi. Jutro pewnie dotrą aż do Pass Christian. Generał obawia się, że maszyna zostanie skonfiskowana, jeśli natychmiast jej stąd nie wywiezie.

- Armia federalna weszła do Missisipi? To dlatego ludzie Forneya wyszli tak wcześnie z balu.

- Zapewne. A to oznacza, że po mieście kręci się mnóstwo mundurowych. Musisz powstrzymać Millę.

- W rzeczy samej... więc jeśli pani pozwoli...

Gabriel wyszedł za okno i zaczął dłonie o krzew. Stracił Camillę z oczu na blisko godzinę. To będzie prawdziwy cud, jeśli uda mu się ją odnaleźć, zanim wpadnie w tarapaty.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Duszna cela bez okien, za to z kratami i cuchnącym klepiskiem przyprawiała Camillę o dreszcze. Potarła ramiona i spojrzała w górę.

- Pan jest moim pasterzem. Niczego się nie ulęknę - wyszeptała, zadzierając głowę do gwiazd. W końcu usłyszała szuranie i zobaczyła linę, która spadła tuż obok jej ramienia.

- Willie?

Mruknął coś niezrozumiale.

- Mam! Wciągnij mnie.

Po chwili zawisała z tułowiem na zewnątrz i nogami wewnątrz. Po drodze podrapała twarz i obtarła ręce, ale była szczęśliwa, że znów może odetchnąć

świeżym powietrzem. Rozejrzała się za służącym i dostrzegła potężną sylwetkę, której twarz skrywał mrok i rondo kapelusza.

- Cóż za miłe spotkanie, panno Beaumont - rozległ się głos Gabriela. - Chyba jest mi pani winna taniec.

Podciągnęła się i wydostała na dach.

- Łazisz za mną jak pies. Nie masz nic lepszego do roboty?

- Czuję się dotknięty do żywego. Wypadałoby okazać odrobinę wdzięczności, nieprawdaż?

Wyrwała mu linę z ręki i zaczęła zwijać ją sobie wokół ramienia.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - zapytała nadąsana.

- Nie zapominaj, że mam wyostrzony zmysł obserwacji. Zadałem sobie takie oto pytanie: Wielebny Lelandzie, gdybyś był dzielny, ale głupiotką gąską, która zamierza dopuścić się zdrady stanu, co byś zrobił na jej miejscu? - Zniżył głos i kontynuował, przedrzeźniając samego siebie: - Hm... niech pomyślę... Najpewniej poszedłbym do domu, przebrałbym się w portki brata i namówił służącego, który przypadkiem ma równie niewiele rozumu co ja, żeby mi pomógł. - Spojrzał wprost na nią i dodał zwyczajnym tonem: - Niech mnie piorun strzeli, jeśli się mylę.

Zrobiłaś dokładnie tak, jak mówię, prawda?

Łotr, pomyślała, wydymając usta.

- Gdzie się podział Willie?

- Odesłałem go razem z Byrdem. - Zabrał jej sznur i rozwinięszy go, obwiązał jeden koniec wokół komina, a drugi zrzucił z dachu. - Naturalnie obiecałem mu, że wyciągnę cię stąd całą i zdrową.

Mogła się spodziewać, że Willie posłucha Gabriela. Westchnęła i zaczęła układać z powrotem zdjęte dachówki.

- Nie potrzebuję niańki. Sama trafię do domu.

- Nie wracasz do domu.

- Co ty pleciesz?

- Zastanów się chwilę. Wszechobecny porucznik Duvall z miejsca się domyśli, kto wykradł mu więźnia. Zresztą, celowo ci o nim powiedział. Niestety, połknęłaś przynętę i zjawiałaś się tu, zanim zdążyłem cię powstrzymać. Jedyne, co można teraz zrobić, to odesłać cię na terytorium unii.

- Oszalałaś?! - Na próżno starała się mówić cicho. - Nie zostawię rodziny...

- Owszem, zrobisz to. Nie masz innego wyjścia. Mnie nie podejrzewa, ale co do ciebie Duvall nie ma żadnych wątpliwości. Połapał się, że nie jesteś ślepo oddaną konfederacji patriotką bez własnych poglądów. Aż dziw, że jeszcze go tutaj nie ma.

Poparzyła na niego z przerażeniem, czując, że brakuje jej tchu.

- Nie mogę wyjechać bez pożegnania...

- Gdy przestąpisz próg domu, zostaniesz aresztowana za zdradę. Wszyscy twoi bliscy także.

Camilla ukryła twarz w dłoniach. Gabriel miał rację. Znalazła się w tym położeniu niemal wyłącznie z własnej winy. Popelniła zbyt wiele błędów i wykazała się zatrważającym brakiem rozwagi. Naraziła na śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko siebie, również rodzinę. Machinacje Gabriela przyczyniły się do tego tylko w nieznacznym stopniu. Wyczuwała w jego głosie współczucie.

Współczucie? Ten szpieg i kłamca miałby być zdolny do współczucia? Wzięła się w garść.

- Dobrze. Ruszajmy w drogę. Dam im znać później.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział z wyraźną ulgą. - Zejdę pierwszy.

Opuścisz się za mną. Tylko ostrożnie.

Camilla nie miała lęku wysokości, ale dach okazał się wyjątkowo stromy. Pomagając sobie rękoma, zsunęła się na pupie do samej krawędzi, a potem chwyciła linę. Gdy znalazła się w zasięgu ramion Gabriela, złapał ją w pasie i postawił na ziemi. Potem natychmiast ją puścił i odsunął się na stosowną odległość. Zdumiona posłała mu zaintrygowane spojrzenie, które najwyraźniej postanowił zignorować. Sięgnął po sznur i wrzucił go z powrotem na górę.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

Ulica Government była opustoszała, ale Camilla wolałaby nie ściągnąć na siebie uwagi zbłąkanego patrolu.

- Na stację. Okazuje się, że owe osiemset tysięcy dolarów, na które liczyła twoja znajoma, Fanny, miało niewiele wspólnego z bawełną. To zapłata za łódź podwodną. Forney wysłała ją dziś koleją do Charleston.

- Naprawili ją?

Kiwnął głową i przyłożywszy palec do ust, pociągnął Camillę w zaciemnione miejsce pomiędzy dwoma budynkami.

- Wartownik - szepnął jej do ucha.

Stała nieruchomo, bojąc się odetchnąć. Strażnik w szarym mundurze przeszedł obok nich, nie rozglądając się na boki i zniknął za rogiem.

Gabriel dotknął ramienia Camilli.

- Chodźmy.

Przemierzyli miasto bez dalszych perypetii i dotarli do składu kolejowego. Było cicho, jak makiem zasiał. Z oddali dobiegało jedynie kołysanie kilku zacumowanych przy redzie łodzi.

Camilla rozmyślała z niechęcią o maszynie, która niemal odebrała jej brata. Nareszcie zobaczy ją na własne oczy. Gdyby tylko mogła, upewniłaby się, że nie zginie w niej już żaden marynarz, wszystko jedno unita czy konfederat. Nikt nie powinien narażać życia w tak niegodnej sprawie.

Gabriel rozejrzał się dookoła, nadstawiając ucha. Nie usłyszał jednak niczego poza cykaniem komarów i kumkaniem żab.

- Ani żywej duszy. Coś tu jest nie tak...

- Może się rozmyślili.

- Twoja babka mówiła, że...

Roześmiała się w głos, po czym zakryła ręką usta.

- Moja babka? A co ona ma z tym wspólnego?

- Wszystko. Ty rzeczywiście o niczym nie wiesz.

- O czym? - Uniosła głowę i spojrzała na niego wyczekująco. Jakby spodziewała się, że jak zwykle żartuje. Było ciemno i nie miała ze sobą okularów, ale jej oczy zdążyły już przywyknąć do mroku. Nie dostrzegła na jego twarzy ani śladu rozbawienia. - Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? - ponagliła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Delythia St Clair pracuje dla Farraguta. Jest jego prawą ręką w Mobile. To ona wydaje mi rozkazy i kieruje operacjami Kolei Podziemnej w waszym mieście.

Ta noc obfitowała w niespodzianki. Nic nie powinno już jej dziwić, lecz najnowsza rewelacja zwyczajnie ścięła Camillę z nóg. Zakręciło jej się w głowie.

- Ostrożnie. - Gabriel przytrzymał ją, by nie upadła. - Powiedziała mi, że generał i twój ojciec mają spotkać się tu dziś w nocy z Chamblissem i moim stryjem, żeby wysłać łódź na Północ. Muszę temu zapobiec.

- Jak chcesz to zrobić?

W tym momencie rozległy się kroki.

- Mówiłem panu, że wygiął się ster - perorował Diron. - Nie mogliśmy wysłać jej bez naprawy. Trzeba było zabrać ją z powrotem do kuźni.

- Twoje partactwo niemal doprowadziło do bankructwa - skwitował Beckham Chambliss. - Mogliśmy przez ciebie stracić osiemset tysięcy dolarów.

- To nie moja wina - zaprotestował Laniere. - W chwili wodowania łódź była w idealnym stanie. Musiała zahaczyć o coś ciężkiego pod wodą. Straciła sterowność i zaczęła kręcić się w kółko, zamiast wypłynąć na powierzchnię.

Chambliss burknął coś w odpowiedzi i przekręciwszy klucz w zamku, otworzył drzwi magazynu. Po chwili obaj mężczyźni zniknęli w środku.

Wygiął się ster, powtórzyła w myślach Camilla. A zatem maszynę uszkodzono dopiero w trakcie rejsu! Gabriel nie miał nic wspólnego z tym okropnym wypadkiem.

- Camillo! - Potrząsnął nią lekko. - Nic ci nie jest?

Przesunęła dłonią po czole.

- Tak mi przykro, Gabrielu... Przepraszam.

- Za co? Za to, że nie wiedziałaś o roli babki w spisku?

- Nie... Za to, że myślałam... - Chwyliła go za rękę. - Nie uszkodziłeś łodzi, prawda?

- Oczywiście, że nie. Mówiłem ci przecież. Chciałem zepsuć zawór, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłem. Po prostu nie mogłem tego zrobić. Dlatego tym razem musi mi się udać. Zginęło czterech ludzi...

- A te inne sprawy, o których mi mówiłeś... że odnalazłeś Boga. To też prawda?

- Jak najbardziej. To nie miało żadnego związku z tobą. To znaczy... może trochę miało, bo przecież bez ciebie nawet bym Go nie szukał. Zresztą sam nie wiem, czasem mi się zdaje, że to On chodził za mną krok w krok, odkąd skończyłem dziesięć lat...

Rzuciła mu się na szyję i przerwała jego nieskładną tyradę namiętym pocałunkiem.

Delythia zeszła ze świecą do pokoju Harry'ego i obudziła go szturchnięciem w ramię. Przetarł oczy i spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Co się stało? Która godzina?

- Po północy. - Odstawiła świecznik i przysunęła sobie taboret.

Uśmiechnął się, a na jego policzku pojawił się uroczy dołek.

- Czemu zawdzięczam ten niespodziewany zaszczyt?

- Daruj sobie, chłopcze. Dobrze wiesz, że twój wdzięk nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Harry'emu zrzędała mu mina.

- Jest środek nocy - poskarżył się. - Mogłabyś okazać mi choć odrobinę serdeczności. Dlaczego mnie tak nie lubisz? Wyrządziłem ci krzywdę?

- Nigdy nie twierdziłam, że cię nie lubię. Wolałabym tylko, żebyś nie mącił w głowie mojej wnuczce. Nie powinieneś wykorzystywać jej słabości do bohaterów. Zasługuje na to, by poznać innych młodych mężczyzn, nim zdecyduje, czy związać się z tobą na całe życie.

- Tak, ale obiecaliśmy sobie w dzieciństwie...

- Już wtedy widziałam, że do siebie nie pasujecie. Mówię ci, zostaw ją w spokoju, Harry.

Usiadł gwałtownie i zmierzył starszą panią urażonym spojrzeniem.

- Wujek Zeke i Jamie uważają, że jestem dla niej wystarczająco dobry.

- Dajmy temu spokój. Nie przyszłam tu, by sprzeczać się o Camillę. Chcę wiedzieć, co powiedziałaś Forneyowi.

- Nic. Omówiliśmy jedynie warunki wymiany.

- I na czym stanęło?

- Jesteś wyjątkowo wścibską starszą panią, ale chyba o tym wiesz - odparł z krzywym uśmiechem.

- Przeciagnałaś Millę na stronę unii?

- Nie rozmawiam z nią o polityce.

- W takim razie porozmawiasz o niej ze mną. Nie pozwolę, byś swoimi gierkami narażał na niebezpieczeństwo moją wnuczkę. Zwietryłeś własną korzyść i grasz na dwa fronty, proszę bardzo, ale nie wciągaj w to rodziny.

Harry odwrócił wzrok.

- Wybij sobie z głowy, że zabierzesz ze sobą Camillę, kiedy będziesz wyjeżdżał z Mobile. Zabierzesz coś innego. A jeśli ją naprawdę kochasz, to wyjedziesz, i to jak najprędzej.

Harry pobladł, po czym powiedział:

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. Pani St Clair zdjęła z szyi medalion Camilli.

- Mam dla ciebie pewną propozycję, drogi chłopcze.

Gdy otworzyły się drzwi stodoły i do środka wpadło wątle światło świecy, Delia zamarła, wstrzymując oddech. Od godziny siedziała ukryta w snopku.

Nigdy wcześniej nie widziała służącego, który przyniósł meldunek od Camilli, ale wraz z listem podał właściwe hasło i czekał cierpliwie na odpowiedź. Instrukcje były dziwne, ale nie śmiała kwestionować bezpośredniego rozkazu. Spodziewała się, że zobaczy Gabriela, lecz zamiast jego atletycznej sylwetki ujrzała wysoką, lecz znacznie szczuplejszą postać.

Kto to, u licha, jest? - zastanawiała się gorączkowo. Spod kapelusza wystawała jedynie mocno zarysowana szczeka.

- Camilla? - odezwał się przyjemnym, niskim głosem.

- Kim jesteś? Nie znam cię. - Pozostała w swojej kryjówce, czekając na jego kolejny ruch.

- Nazywam się Harry Martin. - Zbliżył się o kilka kroków. - Możesz już wyjść.

- Stój, jeśli ci życie miłe! Mam pistolet. Gdzie Gabriel?

- Z tego, co wiem, ma kłopoty. Potrzebuje naszej pomocy.

Wszystko było nie tak. Nieznajomy mężczyzna, nedorzeczne polecenia... Otworzyła drzwi boksu i stanęła przed nim, trzymając w dłoni rewolwer.

Harry przysunął się i oświetlił jej twarz. Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma i rozchylił usta w niemym podziwieniu. Wycelowała broń wprost w jego serce.

- Wóz gotowy - oznajmiła sucho. - Gdzie jest srebro?

- Mają je przywieźć pod wejście od strony kuchni. Mogłabyś przestać we mnie mierzyć? Denerwujesz mnie.

- Sama jestem zdenerwowana - odparła ponuro. - Nie rozumiem, dlaczego w ogóle to robimy.

- Bo oboje nie jesteśmy nikomu do niczego potrzebni - wyjaśnił z bladym uśmiechem. - Poza tym, jeśli tylko unikniemy schwytania, mamy szansę nieźle się na tym wzbogacić. Brzmi lepiej?

Zawahała się, a potem opuściła pistolet. Martin nie był wprawdzie tak charyzmatyczny jak Gabriel Lanier, ale jego krzywy uśmiech niewątpliwie miał w sobie wiele uroku.

- Zapowiada się ciekawy wieczór. Chodź, pomożesz mi zaprzęgnąć konie.

Gabriel wolałby dokończyć misję w pojedynkę. Byłby znacznie spokojniejszy, gdyby nie musiał martwić się o Camillę. Była bardzo dzielna i nie spowalniała go celowo, ale miała za sobą ciężki dzień i zaczynała odczuwać zmęczenie.

Schowali się oboje w rowie przy torach i obserwowali w milczeniu, jak Beckham Chambliss przechadza się nieopodal, a Diron wraz z kilkoma osłkami przeładowują łódź z magazynu do odkrytego wagonu. Pomocnicy rozpierzchli się, gdy tylko skończyli robotę i otrzymali zapłatę. Diron Lanier zaś wdrapał się do środka i stanął obok swego dzieła.

- Jest pan pewien, że pieniądze są bezpieczne? - zwrócił się do Chamblissa.

- Już ci mówiłem, dostaniesz swoją zapłatę po powrocie. Dowieź ją tylko na miejsce i dopilnuj, by trafiła w ręce nowego właściciela.

- Będę za nią tęsknił. Może zostanie i upewnię się, czy działa.

- Rób, jak uważasz. Ja wracam do miasta, żeby zameldować generałowi i Beaumontowi, że wszystko idzie zgodnie z planem. - Chambliss uniósł dłoń na pożegnanie i odszedł.

Gabriel sięgnął w ciemnościach po rękę Camilli.

- Chodźmy. - Podnieśli się i ruszyli ostrożnie w stronę pociągu.

- Stryju! To ja!

Diron wychylił głowę z wagonu.

- Gabriel? Co u licha...

- Cii... Pomóż mi wejść na górę.

Stary chwycił go za ramię i wciągnął do środka.

- A niech mnie! - wykrzyknął, gdy bratanek wychylił się na zewnątrz i podsadził Camillę. - Toż to mała Beaumontówna! - Uniósł lampę i poświecił jej prosto w twarz.

- Dobry wieczór panu - przywitała się uprzejmie. - Jak pan się dziś miewa? Diron podrapał się w głowę.

- Prawdę mówiąc, jestem trochę skołowany. Co znowu wymyśliliście?

- Opuść lampę, stryju. Muszę z tobą porozmawiać. Diron zmierzył Gabriela podejrzliwym wzrokiem i zgasił lampę.

- W coś ty się wpakował, chłopaku?

- Zamierzamy uciec z miasta - odparł Gabriel, ściskając dłoń Camilli. - Jej ojciec zapewne będzie nas ścigał. Nie chciałbym nadepnąć na odcisk Ezekielowi Beaumontowi. Nie martw się. - Gabriel postanowił przemilczeć, że jeszcze przed świtem niechybnie zaczną ich szukać połowa sił stacjonujących w Mobile.

- Nie zorientują się, że jej nie ma aż do rana. Do tego czasu będziemy już w połowie drogi do Karoliny Południowej.

- Pomieszało ci się w głowie, synu?! Nie możesz wywieźć z domu córki jednego z najbogatszych ludzi w mieście!

- Ciszej, stryju, na litość boską.

- Papa wcale nie jest bogaty - wtrąciła Camilla, a Gabriel ucieszył się, że powoli odzyskuje pewność siebie. - Poza tym jestem dorosła i mogę poślubić, kogo chcę.

- Proszę bardzo, możecie się pobrać choćby i zaraz, tylko nie wciągajcie w to mnie - zastrzegł się Diron. - A co do pani ojca, może i nie był bogaty, ale po dzisiejszej nocy z pewnością będzie. To, co tu widzicie, zrobi z nas wszystkich bogaczy.

- To łódź torpedowa? - Camilla przysunęła się do Gabriela. - Sądziłam, że leży na dnie rzeki.

- Wydobyliśmy ją na powierzchnię. Miałem nikomu o tym nie mówić, ale skoro i tak ją widzieliście, nie ma sensu robić z tego tajemnicy.
- Utonęło w niej czterech ludzi, stryju. Trzeba było zostawić ją pod wodą.
- Tym razem będzie chodzić jak w zegarku. Jest szybsza i zwinniejsza niż ta, którą ci głupcy zatopili w pobliżu Nowego Orleanu.

Gabriel objął Camillę ramieniem. Jeśli straci teraz panowanie nad sobą, stryj gotów przywołać patrol. Powinien był się domyślić, że jego ukochana jest ulana z twardszego kruszcu niż większość kobiet. Usłyszał, jak bierze głęboki oddech.

- Mój brat niemal stracił życie w tej maszynie. Musimy to powstrzymać, Gabrielu.

Nagle za ich plecami rozległ się zgrzyt ładowanej broni. Gabriel poczuł, że włosy stają mu dęba, i odwrócił się, sięgając do kieszeni po rewolwer.

- Radziłbym ci tego nie robić, Lanier. - W drzwiach ukazał się Israel Duvall.
- Cóż za piękne uczucie, panno Beaumont - rzekł, wymierzywszy pistolet w głowę Camilli. - Nie sądzę jednak, by ten potajemny sojusz ze szpiegiem unii wzruszył zanadto sędziego. Panna Chambliss jest gotowa poświadczyć pani podejrzanę zachowanie. Dość wspomnieć zażyłość z Harrym Martinem oraz konszachty z Virgilem Byrdem.

Rozdział dwudziesty drugi

Delia chwyciła się mocniej siedzenia. Wóz podskakiwał na wybojach, a wokół szalała burza. Delia nie była strachliwa, ale miała świadomość, że dostarczenie ładunku na miejsce przy takiej aurze może się okazać nie tylko niewygodne, lecz także niebezpieczne.

Tymczasem dotarli bez większych przeszkód z ulicy Dauphin do Lipscomb. Harry odnosił się do niej z mieszaniną drwiącej uprzejmości oraz autentycznego podziwu dla jej wdzięków. Cierpiała na tym jej duma, ale była przekonana, że przy odrobinie czasu i wysiłku zdoła owinać go sobie wokół małego palca.

- Stać! - zatrzymał ich nagle głos wartownika. - Przepustka!

Podszedł do nich młody oficer w szarym mundurze i ziewając, podniósł ku nim lampę.

- Dokąd się państwo wybierają o tak późnej porze?

- Do składu kolejowego. - Harry naciągnął na oczy kapelusz i sięgnął do kieszeni. - Proszę - powiedział, podając wartownikowi złożoną kartkę papieru.

Żołnierz obejrzał uważnie dokument.

- W porządku. To podpis generała Forneya. - Spojrzał z uznaniem na Delię. - Czy myśmy się już gdzieś nie widzieli?

Zatrzepotała rzęsami.

- Możliwe.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Co jest w wozie?

- Widział pan przepustkę - powiedział Harry. - To pieniądze armii.

Strażnik przeszedł na tył i zajrzał do wozu.

- Możecie jechać.

Ruszyli bez dalszej zwłoki i po kilku minutach zatrzymali się nad rzeką w pobliżu stacji.

Delia spojrzała w ponure oblicze Harry'ego.

- Co teraz? - zapytała.

- Widzisz ten pociąg?

- Uhm.

- Przeszukamy wagony i znajdziemy Gabriela i Camillę.

Camilla spojrzała z przerażeniem w lufę pistoletu Duvalla i poczuła, że oblewa się zimnym potem. Próbowwała zebrać rozbiegane myśli, ale przychodziło jej to z trudem. Boże, dopomóż, znaleźliśmy się w jaskini lwa, prosiła w duchu. Była pewna, że Pan jest z nimi. Kiedy spojrzała na Gabriela, przekonała się, że on również w to wierzy, i od razu nabrała otuchy. Zresztą, sama jego obecność dodawała jej odwagi.

- Panno Beaumont, proszę spleść ręce za plecami. - Duvall, Odpiąwszy od pasa zwój sznura, rzucił go Dironowi. - Zwiąż ją, Lanierze. Rusz się, bo ją zastrzele.

- Stryju? - odezwał się Gabriel, gdy Diron niechętnie obwiązał liną nadgarstki Camilli.

Stary odwrócił wzrok

- Miałem nadzieję, że się nie pojawisz, chłopcze. Nie pozwolę ci odebrać sobie dwóch lat ciężkiej pracy. Zasłużyłem na zapłatę.

- Zamknij się, stary durniu - przerwał mu obcesowo porucznik. - Dostaniesz swoje zapłatę. I to nie tylko za zbudowanie tej trumny, lecz także za schwytanie pary szpiegów.

- Mylisz się co do dziewczyny, Duvall - powiedział Gabriel, gdy stryj skrępował mu dłonie.

- Nie wydaje mi się. - Israel sprawdził więzy i usatysfakcjonowany zrobił krok do tyłu. - Nie odstępowałem was dziś na krok. Kto by pomyślał, że taki niewinny kwiatusek potrafi chodzić po drzewach i wspinać się na dachy.

- Robiła to na złość ojcu. Chciała sprawdzić, jak daleko może się posunąć. - Gabriel posłał Camilli protekcyjnalne spojrzenie. - Myślisz, że wziąłbym sobie na wspólniczkę taką głupią młodą geś?

- Myślę, że posłużyłbyś się starym półgłówkiem, a nawet mułem, byle tylko zdobyć potrzebne informacje. - Duvall zaśmiał się z własnego dowcipu. - Zdaje się, że korzystałeś z ich pomocy nieraz, prawda?

- Gabrieliu... - Camilla załkała.

- Och, na litość boską - rzekł z rozdrażnieniem. - Nie sądziłaś chyba, że traktowałem nasze zaręczyny poważnie? Stryju, proszę cię, wytłumacz nadgorliwemu porucznikowi, że zawsze pracuję w pojedynkę. Panna Beaumont nie ma pojęcia, o czym rozmawiamy. Możecie spokojnie puścić ją do domu.

Camilla poczuła, że za moment naprawdę się rozplacze. Gabriel próbował ją chronić. Kochała go za to, ale jego wysiłki poszły na marne. Israel najwyraźniej nie uwierzył w ani jedno jego słowo.

- Teraz rozumiem, dlaczego do tej pory ci się udawało, Laniere. W Nowym Orleanie twoja działalność przeszła niemal niezauważona. Na twoje nieszczęście ktoś cię zapamiętał i dokładnie opisał, jak wyglądasz, śledzę twoje poczynania od dłuższego czasu.

- Szkoda, że zmarnowałeś na próżno tyle czasu. - Uśmiechnął się szyderczo Gabriel.

Duvall skrzywił się i otworzył usta. Nim jednak zdążył wygłosić ripostę, z ciemności wyłoniło się czyjeś ramię i objąwszy go z tyłu za szyję, zakryło mu nos kawałkiem białej tkaniny. Camilla przyglądała się zdumiona, jak porucznik szamocze się, a potem pada bezwładnie na ziemię.

Po chwili pojawił się Harry z chusteczką w jednej i pistoletem Israela w drugiej ręce.

- Panno Matthews? - Obejrzał się przez ramię. - Rozumiem, że unieszkodliwiła pani starego?

- Owszem. Siadaj i ani mru-mru, dziadku. - Delia wyłoniła się z cienia i zerknęła na Camillę. - Panno Beaumont, widzę, że mimo wszystko postanowiła pani odbyć podróż, która wcześniej nie doszła do skutku.

- Okropnie się grzebaliście - odezwał się z uśmiechem Gabriel. - Już myślałem, że będę zmuszony uciec się do przemocy. - Popatrzył na Duvalla. - Przypuszczam, że to eter? Jak długo będzie nieprzytomny?

- Godzinę, najwyżej dwie. Zaraz go zwiążę i wrzucę do rowu. Camillo, odwróć się. Uwolnię ci ręce.

- Harry... - powiedziała, pocierając obolałe nadgarstki.

- Nie mamy czasu na wyjaśnienia. - Podeszedł do przyjaciela i zdjął mu z dłoni więzy. - Powiem wam, jaki plan wymyśliła Delythia. Macie wziąć przepustkę i wóz...

Camilla złapała go za ramię.

- Babcia wie, gdzie jestem?

- Mówiłem ci, że wie wszystko - przypomniał Gabriel, związując stryja.

Gdy skończył, pozbawił go przytomności eterem, a potem przeszukał mu kieszenie. Wyprostował się ze zwojem papieru w ręce.

- To plany łodzi? - zapytała Camilla.

- Tak. - Schował je za pazuchę i otworzył właz maszyny. - Jeszcze jedno, zanim ruszymy. - Z tymi słowy zniknął we wnętrzu.

Camilla przeniosła wzrok na kuzyna.

- Co będzie z tobą i Delią?

- Zostaniemy w pociągu. Zawiezie nas do Meridian. Ja wrócę potem do swojego regimentu, a... - Harry zerknął na towarzyszkę. - Jakie pani ma zamiary, panno Matthews?

- Potrzebuje pan towarzystwa?

- Byłoby wspaniale, gdyby zechciała pani zostać ze mną dłużej. - Uśmiechnął się z żalem do Camilli. - Najwyraźniej uznałaś nasze zaręczyny za niebyłe, droga kuzynko. Mam nadzieję, że Gabriel da ci wiele szczęścia. Życzę tego wam obojgu.

Zarumieniała się, lecz nim zdobyła się na odpowiedź, pojawił się Gabriel, klepiąc się z zadowoleniem po kieszeni.

- Udało się. Zamienimy się tylko ubraniami i ruszamy.

- Czy to naprawdę konieczne? - skrzywiła się Camilla.

- Strzeżonego pan Bóg strzeże - odparła Delia.

Gabriel i Harry wyskoczyli z wagonu, a kobiety pozostały w pociągu i tam się przebrały.

- Skończyłyśmy - oznajmiła chwilę później Camilla.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił Gabriel.

Wystawił twarz na deszcz, jakby sprawiało mu to ogromną przyjemność.

Potem odwrócił się i wyciągnął rękę do przyjaciela.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Harry.

- Wystarczy, że będziesz dbał o Camillę. - Martin zniżył głos. - Mam dla ciebie jeszcze jeden rozkaz od naszego małego generała. Macie dostarczyć wóz do Pass Christian. Oczekuje go pułkownik Birch.

- Birch? Czy to znaczy, że armia federalna wkroczyła do Missisipi?

- Tak mi powiedziała Delythia. Gabriel kiwnął głową i się pożegnał.

- Z Bogiem. - Wyciągnął ramię, by pomóc Camilli zsiąść z wagonu. Pogłaskał ją po policzku, a potem popatrzył na dawną współpracownicę. - Żegnaj, Delio, jesteś wytrawną agentką. Polecę cię admirałowi.

- Bądź zdrow, kuzynie. - Posłała mu szeroki uśmiech i podała rękę Harry'emu.

- Idziemy. - Gabriel objął ramieniem Camillę i ruszyli w drogę.

Dotarli do wozu około trzeciej nad ranem i rozpoczęli niebezpieczną podróż przez miasto. Gabriel dziękował Bogu za burzę. W taką pogodę patrole były rzadsze, a wartownicy wykonywali swe obowiązki znacznie mniej gorliwie. Co jakiś

czas zerkał z niepokojem na Camillę. Domyślał się, że ociera twarz nie tylko z powodu deszczu. Było jasne, że boleje nad rozłąką z rodziną. Zrobiłby wszystko, by ulżyć jej w rozpacz, ale mógł ją wesprzeć jedynie modlitwą. Stwórca wyratował ich, kiedy sytuacja wydawała się beznadziejna. Był pewien, że stale nad nim czuwa i ocali ich jeszcze nieraz.

W pewnej chwili usłyszał ponaglące wołanie. Miał dwa wyjścia; uciekać albo liczyć na łut szczęścia. Rzut oka na pobladłą twarz Camilli wystarczył. Wstrzymał konie i spojrzał na młodego żołnierza w szarym mundurze.

- Przepustka?

Camilla zatrzęsła się jak osika i przyłożywszy sobie ręce do brzucha, zgięła się wpół.

- Coś się pani stało? - zainteresował się wartownik.

- Nie, nic. Trochę źle się poczułam.

- Lepiej zabiorę ją z powrotem na statek. - Gabriel cmoknął i pociągnął za lejce. - Do widzenia, panie poruczniku.

- Chwileczkę. Do „Księżniczki Magnolii” trzeba skierować się w tamtą stronę.

- Owszem, ale musimy jeszcze dostarczyć wóz.

Strażnik zawahał się. Trwało to tylko moment, ale im się wydawało, że upłynęła cała wieczność, zanim podjął decyzję. Gabriel zdążył w tym czasie odmówić niemal całą litanie.

- Przekażcie moje uszanowania generałowi. - Porucznik zasalutował i odszedł.

Camilla podniosła głowę dopiero kilka minut później. Była blada jak płótno, a na czoło wystąpiły jej kropelki potu.

- Chyba zwymiotuję.

- Tylko nie teraz. Nie mamy czasu. Kiedy wyjedziemy z miasta, możesz nawet pozwolić sobie na atak hysterii.

Westchnęła i wyprostowała plecy.

- Jeśli tak ma według ciebie wyglądać podróż pełna przygód, to znajdę sobie innego towarzysza.

Zanim opuścili Mobile, Gabriel pokazywał przepustkę jeszcze trzy razy. Camilla wprawdzie nie drżała ze strachu, ale nadal była przygaszona i smutna. Im bardziej oddalała się od bliskich, tym większe ogarniało ją przygnębienie.

Okolo szóstej wzeszło słońce.

Gdy spojrzała na Gabriela, spostrzegła, że marszczy brwi. Jego niepokój podsycił jej własne obawy. Znajdowali się dopiero w połowie drogi do Pass Christian. Rozpoczęła modlitwę o ocalenie. Panie, spraw, byśmy nigdy nie zapomnieli, skąd nadchodzi ratunek...

Nagle wóz się zatrzymał. Wyrwana z zamyślenia, rozejrzała się na boki. Na drodze nie było żywej duszy. Ciszę przerywał jedynie świergot ptaków.

- Co się stało? - zapytała z lękiem.

- Miałem z tym poczekać, aż wjedziemy na terytorium unii, ale nie mogę dłużej - wyjaśnił Gabriel. - Musimy ustalić pewne kwestie, Camillo.

Poczuła na sercu ogromny ciężar. Spodziewała się, że prędzej czy później to nastąpi. Harry ją przed tym przestrzegał. „Gabriel nigdzie nie potrafi zagrać miejsca. Umie czarować kobiety i zawsze stawia na swoim”.

Może to i lepiej, że postanowił nie zwlekać z tą przykrą rozmową, uznała i posłała mu promienny uśmiech.

- Och, nie martw się. Wiem, że to było tylko udawanie, które miało nam pomóc wykaraskać się z oparów. Nie zaprzataj sobie tym więcej głowy.

Spojrzał na nią z marsem na czole.

- Hm... może zanim mnie przepędzisz, powinienem ci coś pokazać.

- Pokazać? Co takiego?

Wyjął zza pazuchy złożoną kartkę.

- Co to jest? - Wyrwała mu ją z ręki. - Wygląda jak kartka z dziennika babki. Skinął głową.

- Była włożona w przepustkę, którą dał mi Harry. Przebiegła wzrokiem tekst.

- To fragment Księgi Ruth. - Zerknęła na niego zaintrygowana. - Nic nie rozumem.

- Wiadomość jest zaszyfrowana. Takim samym szyfrem jak przedtem meldunki. Podejrzewam, że pani St Clair sama wymyśliła ten kod. - Zwilżył wargi i przyjrzał jej się uważnie. - Dostałem nowe rozkazy, ale... tylko od ciebie zależy, czy je wypełnię.

- Ode mnie? - Poczula przyspieszone bicie serca. - Jak to?

- Pani St Clair każe mi odwieźć cię do Nowego Orleanu, żebyś tam przeczekala wojnę. Farragut uznał, że bardziej przydam się armii jako lekarz niż jako szpieg. Mam dokończyć studia na koszt rządu.

- Ach tak. Gratuluję, Gabrielu. Naprawdę się cieszę. Przecież zawsze o tym marzyłeś.

- Napisała też, że jeśli spędzimy noc na drodze, powinniśmy jak najprędzej znaleźć pastora i się pobrać.

- To niedorzeczne - orzekła. - W czasie wojny nikt nie przywiązuje wagi do konwenansów. Nie sądzę, by kogokolwiek w Nowym Orleanie interesowało, że byliśmy sami w podróży. Nie czuj się zobowiązany. Nie proszę, byś chronił moją reputację. Najlepiej dajmy już temu spokój.

Gabriel pociągnął Camillę. Stanęli obok wozu.

- Znów powiedziałem nie to, co naprawdę chciałem powiedzieć.

Zmarnowałem niejedną okazję, żeby wyznać ci, co czuję. Proszę, cię, kochana, spójrz na mnie.

Potrząsnęła uparcie głową i spróbowała wyrwać mu dłoń.

- To nie jest konieczne, naprawdę. Poza tym jestem już...

- Jeśli jeszcze raz przypomnisz, że jesteś zaręczona z Harrym, to palnę sobie w łeb.

Dopiero teraz podniosła na niego zatrwożony wzrok. Uśmiechnął się.

- Oboje wiemy, że kuzyn nie potrafiłby wyciągać cię z coraz to nowych kłopotów, w które nieustannie się pakujesz. Tak samo jak Byrd nie umie oduczyć Candy jeść papieru. Przyznaj, że jeśli zgodzisz się wyjść za mnie, świat stanie się o wiele bezpieczniejszy.

Odwróciła wzrok i zaczęła obracać w palcach kolczyk.

- Babcia naprawdę chce, żebyśmy się pobrali?

- Tylko jeśli i ty tego chcesz.

Dlaczego nie porwał jej jeszcze w ramiona i nie zaczął całować? Przecież robił to przedtem wiele razy. Czemu nie wykrzyczał, że ją kocha? Nie podobało jej się to. Wszystko odbywało się nazbyt spokojnie i układnie.

Wstała i zeskoczywszy z wozu, ruszyła przed siebie.

- Camillo! Camillo! Wracaj! Słyszysz?

Chwycił ją, gdy przeskakiwała kałużę. Złapał ją od tyłu w pasie i przycisnął do piersi. Szarpnęła się i spróbowała go odepchnąć.

- Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był Boazem!

- I bardzo dobrze, bo z tego co mi wiadomo, Boaz kochał nad życie swoją Ruth. - Roześmiał jej się wprost do ucha. - Camillo, wiesz przecież, że cię uwielbiam. Bez ciebie nie przebrnę przez studia. Proszę cię, przestań wierzgać. Kopiesz mnie w piszczel.

Położyła mu głowę na ramieniu i spojrzała w górę.

- Powiedziałeś, że mnie uwielbiasz? A może się przesłyszałam?

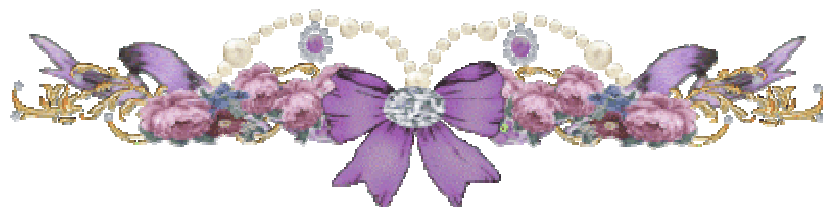
Pojął wreszcie, w czym rzecz, i musnął usta Camilli. Natychmiast przestała się opierać.

- Niełatwo ze mną wytrzymać, a jeszcze trudniej mnie kochać, ale cóż... zdaje się, że Bóg obarczył cię tym ciężarem. Jestem pewien, że z Jego pomocą uda ci się mnie zreformować.

- Kocham cię takim, jaki jesteś, Gabrielu - powiedziała z czułością Camilla. - Uwielbiam cię za twoją inteligencję, za twój dowcip i za to, że zawsze jesteś przy

mnie i wyciągasz mnie z tarapatów. Kocham też nowego ciebie, takiego, jakim uczyni cię Pan, którego niedawno odnalazłeś. I bardzo chcę za ciebie wyjść, jeśli łaska. - Uśmiechnęła się radośnie.

Porwał ją na ręce i zaniósł do wozu, obsypując jej twarz pocałunkami.



RS